



testament
k.s. Romana

TESTAMENT KS. ROMANA

PAMIĘCI KS. ROMANA FORYCKIEGO SAC
DUSZPASTERZA KRAJOWEGO 1988-2011
RUCHU SOLIDARNOŚCI Z UBOGIMI TRZECIEGO ŚWIATA
„MAITRI”



NAKŁADEM WSPÓLNOTY WARSZAWSKIEJ
RUCHU SOLIDARNOŚCI Z UBOGIMI TRZECIEGO ŚWIATA „MAITRI”
WARSZAWA 2011

SPIS TREŚCI

	strona
Spotkanie Pojednania, Liw, 2000 r.	7
❖ Część I	7
❖ Część II	13
Rekolekcje krajowe Ruchu , Lubin, lipiec 2008	20
❖ Nadzieja a wiara	20
❖ Przedmiot nadziei	26
❖ Nadzieja a indywidualizm	32
❖ Nadzieja a postęp, rozum i wolność	38
❖ Modlitwa szkołą nadziei	43
❖ Praca szkołą nadziei	49
❖ Cierpienie szkołą nadziei	54
❖ Sąd ostateczny naszą nadzieją	59
❖ Homilia z 24. 07. 2008 r. świętej Kingi	66
❖ Homilia z 25. 07. 2008 r. świętego Jakuba	71
❖ Homilia z 26. 07. 2008 r. świętych Joachima i Anny	73
❖ Homilia z 29. 07. 2008 r. świętej Marty	79
Charyzmat podlega rozwojowi	82
Spotkanie Krajowe 23.10.2010 r., Częstochowa	84
❖ Homilia	84
❖ Konferencja, Wrażliwość na człowieka biednego	86
Ostatni list do uczestników Ruchu z 27.12.2010	80
Pożegnanie Ołtarzew, 30.06.2011	93
Posłowie	94

Patrzę na Ruch i jego członków pod kątem wartości, które w nim i w nich się rodzą. Jestem świadkiem, jak udział w Ruchu rozwija osobowości i służy religijnemu dojrzewaniu jego uczestników. To dla mnie, a mówię o tym osobom trzecim, jest jednym z najmocniejszych i najbardziej przekonujących argumentów za wartością Ruchu. Jego członkowie łączą umiejętnie zdrową pobożność z praktyczną postawą. W Ruchu nie ma niczego z egzaltacji i z deklaracji, które nie mają pokrycia w życiu praktycznym. W początkach nawet działanie dominowało nad kontemplacją, ale szybko doszło do równowagi w postaci spotkań formacyjnych, adoracji i medytacji.

ks. Roman Forycki

fragment wywiadu „Wspólna Radość” około 1997 r.



XXX Spotkanie Krajowe Ruchu, Częstochowa 2006

SPOTKANIE POJEDNANIA 27/28 MAJA 2000 R. LIW

Część I

Na spotkaniu w Warszawie 16. stycznia 2000. roku Darek Beczek złożył propozycję spotkania pojednania o charakterze rekolekcyjnym. Opartego na milczeniu i rozważaniu pełnego tekstu „Kazania na Górze”. Zakończonego nabożeństwem pokutnym. Dzisiejsze spotkanie taki właśnie ma charakter. Wchodzimy od razu w temat spotkania. „Kazanie na górze” zgodnie z prośbą Dariusza już wcześniej wszyscy przeczytaliśmy. Znamy doskonale treść tego kazania i znamy już swoje refleksje. W tym dniu całkowicie nastawimy się na słuchanie tego, co Pan Bóg chce nam powiedzieć. W szczególny sposób uczulamy się na to, co Chrystus powiedział na samym początku na górze wygłaszając to kazanie, które zostało odczytane jako kontynuacja królestwa Bożego na ziemi. Chcemy w świetle słów kazania wygłoszonego przez Jezusa zobaczyć siebie. Przymierzyć siebie do obywateli tego królestwa. Zobaczyć swoje winy, za które chcemy prosić Boga i Braci o przebaczenie. Po prostu chcemy dostrzec, że pełne pojednanie z drugim człowiekiem wypływa z prawdziwego pojednania się z Bogiem. Taka jest też intencja tego dzisiejszego dnia. Zatem w Imię Boże.

Wiemy że „Kazanie na Górze” Jezusa zaczyna się od błogosławieństwa ubogich. Tak nam bliskiego. Tak się składa, że to błogosławieństwo było tematem wizyty Ojca świętego w diecezji ełckiej. Ono otwiera pozostałe, ono jest fundamentem. Pierwsze pytanie - czy rzeczywiście słowa Chrystusa „*Błogosławieni ubodzy duchem*” odnoszą się do nas, którzy w jakiś sposób szczycimy się rozumieniem ubóstwa i nędzy świata i szczycimy się rozumieniem tajemnicy tego ubóstwa, którego dotyczy błogosławieństwo Chrystusa? Czy Chrystus mógłby nas pochwalić jako ludzi ubogich duchem?

Jako członkowie Ruchu „*Maitri*” jesteśmy godni pochwały, przy założeniu, że w nas realizuje się błogosławieństwo. Tylko wtedy, gdy jesteśmy solą ziemi. Właściwie pierwsze słowa, które wypowiedział Jezus w „*Kazaniu na Górze*” po ośmiu błogosławieństwach odnoszą się do tych błogosławionych: oni są solą ziemi. Wy jesteście solą dla ziemi, tam dokąd docieracie ze swoim prawdziwym posłannictwem. A więc do najuboższych z ubogich. Gdy docieracie do ludzi odpowiedzialnych za nędzę świata. Także do tych, którzy są niewrażliwi na nią. Zwłaszcza tam, gdzie to posłannictwo zostaje przyjęte, tam ziemia - można powiedzieć - przestaje być wysuszonym duchowo stepem. Staje się oazą, domem wszystkich ludzi, miejscem w którym ludzie czują się braćmi.

Zaraz na samym początku „*Kazania na górze*” jest powiedziane, „... *lecz jeśli sól utraci swój smak*” To znaczy w momencie, kiedy ludzie wyczują, że nasze ubóstwo nie jest autentyczne, w momencie kiedy nie dostrzegą w nas świadectwa charyzmatu zawartego w Ruchu. „... *Lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić ..?*” Wtedy nie pomogą żadne kombinacje, żadna taktyka, żadne organizacje. Wszystko, co będziemy robić, nie będzie smaczne, będzie mdłe. Powiada Jezus: „... *na nic się nie przyda,*

chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi...". Gdy sól przestaje być solą, zło się rozprzestrzenia. Zło świata dokładnie wyznacza granice naszych zaniedbań. Najgorsze jest to, że taka sól przestaje być potrzebna. Staje się nieprzydatną, zasługuje na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. Człowiek, który przestaje być człowiekiem. Maitrowiec, który zapomina o treści swojego posłannictwa. Który zapomina o miłości w ewangelicznym tego słowa znaczeniu. Kiedy na przykład chce obdarzyć nią tylko niektórych a zapomina o miłości powszechnej. Wtedy jego życie traci smak. W życiu powstają restrykcje, zastrzeżenia, obawy, lęki nawet przed spotkaniem i przestaje być wielu ludziom potrzebny. Człowiek, który jest potrzebny oczekuje wielu. Ten, który przestaje być potrzebny, nawet wielu unika.

„... Wy jesteście solą ziemi...”, mówi Jezus. Czy te słowa są naszą radością, czy zawstydzeniem? Mówi do nas w *„Kazaniu na Górze”*, bośmy to kazanie wybrali. *„...Jesteście światłem świata...”*. Nasze powołanie - to być światłem, to znaczy: być na świeczniku. Jezus mówi *„...nie zapala się światła, nie kładzie się go pod korcem, ale stawia się go na świeczniku, aby świeciło wszystkim...”*. Nie tylko niektórym – wszystkim, Światło jest bardzo rozrzutne. Każdemu, kto się na nie otwiera, wszędzie świeci. To powołanie każe nam być ludźmi, którzy myślą o drugich, nie o sobie. A jeśli o sobie, to tylko po to, aby świecić innym. W tym mieści się wezwanie, by dać przykład. Pomoc niesiona najuboższym, to rzeczywiście wielki przykład dany ludziom, który może innym pomóc zdążać w tym samym kierunku. Tego nie da się ukryć i to nie powinno być ukryte.

Są jednak sprawy, które chcielibyśmy przed ludzkim wzrokiem ukryć. Są to te trudne momenty, kiedy np. stawia się nam pytania bardzo kłopotliwe: Jak to jest teraz w *„Maitri”*? Pytają ci, którzy znają Ruch od dawna. Pytają osoby, które skądinąd mają prawo wiedzieć, jak to właściwie jest? Trudne są te momenty. Nie wiadomo jak odpowiedzieć, kiedy podają pytania o podziały. Trudne są te pytania związane z brakiem wzajemnej solidarności. Nazywamy się Ruchem Solidarności z Ubogimi Trzeciego Świata. Głosimy tę solidarność, więc jest czymś naturalnym, aby ją pokazać między sobą.

Tak pytali i pytają również misjonarzy katolickich i misjonarzy innych wyznań. Jak to jest, głosicie tego samego Jezusa a nie jesteście razem? A może czasem nawet przeciw sobie? Wiemy, że te pytania zrodziły swego czasu ruch zwany dzisiaj eklezjalnym. *„Oikumene”* – wspólny dom, dzieci jednego Ojca, bracia w jednym domu. Może te pytania, które nam stawiają także zrodzą pragnienie życia w takiej jedności, jakiej pragnie Jezus. Przecież nie o to chodzi, aby nas chwalili, ale o to, *„...by chwalili Ojca, który jest w niebie...”*. Jakie to są fakty, kiedy chwalą Ojca, który jest w niebie? Oczywiście, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to co czynimy dla innych, najbardziej potrzebujących w świecie jest przedmiotem pochwał ze strony misjonarzy, ze strony tych ludzi, którzy otrzymują od nas pomoc. Jest jeszcze problem i zadanie pochwały. Nie tej, której oczekujemy. Ale tej, która jakby spontanicznie rodzi się jako odpowiedź. Gdy widoczna staje się nasza wzajemna solidarność, nasza miłość i nasz zapał. I tutaj jest aktualne słowo Jezusa z *„Kazania na Górze”*, gdy domaga

się, aby ludzie widzieli nasze dobre uczynki i chwalili Ojca który jest w niebie. Uczynki spełniane nie tylko dla ludzi dalekich. Ale także w stosunku do tych najbliższych, do których należą przede wszystkim członkowie Ruchu.

„Kazanie na Górze” jest zaprzeczeniem, jest kontestacją podziału jakiegokolwiek, jakiegokolwiek obcości między najbliższymi uczniami Jezusa Chrystusa. Możemy się różnić, ale jak ktoś powiedział, trzeba się pięknie różnić. Różniąc się trzeba umieć siebie nawzajem kochać w tych różnicach i wychwalać. Ojciec święty uczy nas, że trzeba rozmawiać nawet z wrogami. Jeżeli nawet sobie nie dowierzamy w naszych kontaktach, to powinniśmy wierzyć Bogu, że On, gdy się na taki kontakt odważamy, to On dopełni resztę. Wtedy właśnie spełnia się polecenie Jezusa - pokaż swoje dobre czyny światu, nie uciekaj do swojej kryjówki. Idź, jak św. Franciszek z Asyżu choćby do wezyra tureckiego. Idź do celi tego, który podnosi na ciebie rękę, jak Jan Paweł II poszedł do celi swego zamachowca. Jeżeli znosimy to prawo, które obowiązuje nas jako chrześcijan tylko dla swojej wygody, albo dlatego, że nam się wydaje ono niezgodne z naszym rozumowaniem, to czynimy się ludźmi małymi. Jezus mówi, że kto by zniósł jedno z tych przykazań będzie najmniejszy. Pomniejszamy się w oczach Boga i w oczach ludzi. To wcale nie jest tytuł do naszej dumy. Są sytuacje, w których pokazuje się nasza małość. Postępujemy wtedy jak faryzeusze, uczeni w Piśmie, którzy potworzyli sobie różnego rodzaju wybiegi, interpretacje, stwarzając pozory, że zachowują przykazania, a praktycznie ich nie zachowywali.

W „Kazaniu na Górze” Jezus pokazuje to na przykładzie przykazań piątego, szóstego i ósmego. Według Jezusa złamanie prawa, to nie jest tylko popełnienie zabójstwa, cudzołóstwa i krzywoprzysięstwa. To także gniewanie się na brata, to także złe pożądanie, a nawet każda przysięga niepotrzebna. Gniewanie się na brata w kontekście piątego przykazania otrzymuje bardzo wysoką rangę. Zauważcie - w kontekście przykazania Bożego *„Nie zabijaj”* znajdujemy taką interpretację w „Kazaniu na Górze”. Wiemy, że dzisiaj toczy się bój o prawo do życia ludzi, którzy są zagrożeni śmiercią, w obronie człowieka poczętego zagrożonego aborcją, eutanazją. Ostatnio ukazała się w diecezji pelplińskiej książka pod tytułem *„Życie i śmierć”*, pokazująca, jak ukrywa się prawdę tylko po to, aby móc zabijać. Nasze oburzenie jednak nie jest pełne, kiedy pod sąd stawiamy tylko tych, którzy zabijają. To nam mówi „Kazanie na Górze”. Pan Jezus mówi wyraźnie: *„...każdy kto się gniewa na swego brata podlega sądowi a Ja wam powiadam, kto by rzekł na swego brata <raka> podlega wysokiej radzie.”* Chrystus demaskuje wzajemne nieprawidłowe relacje. *„... A kto by mu rzekł bezbożnikowi, podlega karze piekła ognistego...”* Bardzo ostre są te wypowiedzi. Można bowiem zabić nie tylko fizycznie. Można zabić duchowo odbierając człowiekowi nadzieję, skazując go w jakiś sposób na izolację, nie podając mu ręki, nie ratując. Można go pograżyć w stanie, w jakim się znalazł. A przecież nawet w zapisach Ruchu „Maitri” jest mowa nie tylko o tych najuboższych materialnie. Tutaj zwraca nam uwagę „Kazanie na Górze” na tych bardzo ubogich duchowo. Negatywną rolę spełnia między innymi nasz gniew. Właśnie wtedy, kiedy człowiek jest w największej potrzebie, my się na niego gniewamy. Tak jakbyśmy się zagniewali na człowieka, który wyciąga rękę, który po-

trzebuje pomocy, który potrzebuje jałmużny, który umiera z głodu a my tej pomocy mu odmawiamy i gniewamy się, że on od nas czegoś jeszcze chce. Gniew sugeruje niecenzuralne określenia. On jest złym doradcą. Po prostu zabija.

Gniew według „Kazania na Górze” oznacza niezgodę, brak porozumienia. Jezus mówi o tym bardzo wyraźnie, kiedy zauważa iż są sytuacje, w których brat ma coś przeciwko swojemu bratu. A my po prostu przyglądamy się tej sytuacji biernie, nic nie robimy w tym kierunku, aby ją pozytywnie rozwiązać. Jezus każe zostawić wszystko, nawet modlitwę, nawet dar przed ołtarzem i pójść najpierw pojednać się z bratem. Jest rzeczą charakterystyczną, że w Kościele od dawna do Eucharystii mogli i mogą w dalszym ciągu przystępować i w pełni w niej uczestniczyć tylko ci, którzy przedtem się pojednali. Istnieje swoista kolejność. To jest właśnie w duchu „Kazania na Górze”. Może być jednak i tak, że czasem pojednanie przed Eucharystią staje się próbą obejścia pojednania się z bliźnim. Próbuujemy, jakby na zasadzie jakiejś może znajomości, pojednać się z Bogiem i jakby przeskoczyć te momenty związane z koniecznością pojednania się z drugim człowiekiem. Bo to wydaje się zbyt trudne. Jezus jednak nigdy nie dyspensuje z tego spotkania się z drugim człowiekiem i dlatego bardzo często dzisiaj po Soborze Watykańskim II Kościół proponuje społeczny charakter pokuty. To właśnie mamy dzisiaj zaplanowane pod koniec dnia.

Co to znaczy dla nas praktycznie? To znaczy, że potrzebny jest pośpiech w tym względzie. Tak bym to określił zgodnie ze słowami „Kazania na Górze”: pogódź się ze swoim przeciwnikiem szybko. Jezus przynagla. Czas nagli. Rok dwutysięczny jest prawie w połowie. Rok pojednania ludów, narodów, kościołów, religii. Powinien być szczególnym rokiem pojednania chrześcijan, także katolików, także członków Ruchu. Jeśli sprawa jest tak wydawałoby się oczywista, to po co my o tym mówimy? I to w takim gronie, tutaj? Mówimy o tym dlatego, że mimo wszystko próbujemy znaleźć pewne racje, aby na tę sprawę spojrzeć łagodnie. Nie tak surowo jak nam każe „Kazanie na Górze”. Opór jaki w tej sprawie stawiamy właściwie sprowadza się do jednego. Patrzymy każdy na siebie: to ja mam ciągle dać się bić? Mam przyjmować zło? Godzić się z nim, podczas gdy inny czuje się upoważniony, aby w jakiś sposób nade mną górować? A ja mam dawać mu znaki przyjaźni, wspólnoty? Istnieje w jakimś stopniu wśród nas ten problem.

Jezus rozwiązuje ten problem jednoznacznie: „...nie stawiajcie oporu złu...”. Jak to dziwne się wydaje, dla wielu niezrozumiałe: „...jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi...” Zwłaszcza niezrozumiałe w momentach, kiedy podnoszą się krytyki. I tu kończy się w pewnym sensie nasza ludzka logika. Na ten tekst wielu chrześcijan patrzy z przymrużeniem oka. Uważają ten tekst za nierealny. Tak, ten tekst jest nierealny - w znaczeniu, że jest nierealizowany. I dlatego można go jedynie uznać za nierealny, bo rzeczywistość jest inna. W rzeczywistości nasze życie chrześcijańskie w tym zakresie bardzo jest podobne do życia tych, którzy Ewangelii nie przyjmują. Ten tekst radykalnie domaga się od nas zmiany istniejącej sytuacji. Jest to jeden - można tak powiedzieć - z rewolucyjnych tekstów w najlepszym tego słowa znaczeniu. Myśmy opracowali bardzo skrupulatnie teorię naszej samoobrony. Jeżeli

mi ktoś wyrządzi zło, muszę w imię sprawiedliwości mu odpłacić. Jest to reminiscencja starej zasady, o której mówi Jezus: „... *słyszeliście, że powiedziano oko za oko, ząb za ząb...*”. Niestety ta zasada tkwi w nas i narzuca się naszemu myśleniu. Dość obca jest nam reakcja, której domaga się Ewangelia, by za zło płacić dobrem. Aby temu kto chce nam zabrać szatę, dać i płaszcz. A z tym, który nas zmusza, aby iść z nim tysiąc kroków, iść dwa tysiące. Kto tak wśród nas postępuje? Oto jest pytanie! Czy zdolny jestem posłuchać Jezusa w tej materii? Tu pokazuje się, jak daleko jesteśmy od Ewangelii.

Zdarza się, że choć chrześcijaństwo głosi właśnie takie zasady, to praktykują je ludzie, którzy formalnie chrześcijanami nie są. To jest paradoks. Tu jest ten punkt, który każe nam szukać również w innych religiach momentów, które jakby pozwalają nam w dialogu międzyreligijnym zobaczyć siebie. Cośmy zrobili z pewnymi zasadami życia chrześcijańskiego? Do nich oczywiście należy praktyka życia, która w istocie swej jest praktyką Ewangelii. Chrześcijaństwo w żadnym stopniu nie jest religią odwetu. Nie jest dodawaniem do istniejącego zła nowego zła. Jest czynieniem dobra. To jest to co znalazłem w niektórych waszych listach: żeby porzucić polemiki i nawet tłumaczenie się. A koncentrować się na świadectwie dobra, które ostatecznie zwycięży. W tym kierunku się mocno zjednoczyć, zmobilizować, podnieść się, odebrać się od pewnych spraw. Gdy dostrzegamy zło u drugiego, zadajmy sobie pytanie, co możemy zrobić dobrego dla niego, aby to zło przezwyciężyć. Jak temu człowiekowi pomóc, a nie jak go pognać, jak go skrytykować. Jakiego dokonać gestu miłości, który w tej chwili jest mu najbardziej potrzebny? Każdy gest miłości ma swoją wartość. Przecież to są te klejnoty, to są te wspaniałe skarby, które wnosimy do skarbca królestwa Bożego. Jezus wyraźnie mówi o miłości większej. O większych wartościach naszych czynów. O mniejszych też można mówić: one się mierzą tylko stopniem miłości. Jest to po prostu jakieś dawkowanie, jakieś aptekarskie wydzielanie miłości, które jest samo ograniczaniem siebie, jest pomniejszaniem naszego człowieczeństwa. Tak się dzieje, kiedy na przykład jesteśmy mili i dajemy podarunki miłości tym, którzy dla nas są mili. Chrystus wypowiedział się co do czynów, które nam dają satysfakcję, albo co do których jesteśmy zobowiązani dobrocią innych: „... *Tak robią ludzie tego świata. Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, co za nagrodę mieć będziecie? Czy i celnicy tego nie czynią...*” Znamy to. A więc istnieją gesty miłości, którymi Pan Bóg się nie zachwyca. Powiedzmy sobie szczerze, tylko my jesteśmy nimi zachwyceni. One dają nam samozadowolenie. Chcielibyśmy się najchętniej zamknąć w wąskim gronie przyjaznych nam osób. Uprawiać tam swoją jakby zamkniętą miłość. Może istnieć egoizm we dwoje i egoizm w grupie. Jezus natomiast rzuca nas między wilki, między nieprzyjaciół. Musimy to uznać za autentyczne. Klimat naszego posłannictwa i tam każe nam rozwinąć skrzydła. Rozwinąć miłość w największych trudnościach. Te trudności nas sprawdzają. W wielu życiorysach świętych znajdujemy momenty w których wychwalają Pan Boga za to, że dał im się sprawdzić. Tak, dał się im pokazać, wykazać, zwłaszcza w punkcie, którym jest męczeństwo.

W „Kazaniu na Górze” znajduje się epokowy tekst w tej sprawie: „...Słyszeliście, że powiedziano ‘będziesz miłował bliźniego swego a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził’, a ja wam powiadam, miłujcie waszych nieprzyjaciół, módlcie się za tych, którzy was prześladują...”. Stąd takie miłe były echa, kiedy mówiono o konieczności modlitwy w intencji konkretnych osób, które są nam znane, które sprawiły Ruchowi wiele kłopotu i nawet wiele zła wyrządziły. Większą wartość przedstawia ta miłość niż miłość przyjaciół. Taka jest Ewangelia. Dopiero w tej miłości przekraczamy rubikon pogaństwa i możemy mówić, że tak kochamy, bo jesteśmy chrześcijanami. A nie, bo taka jest nasza logika. Tylko dlatego, że mamy Ojca w niebie, który jak to w „Kazaniu na Górze” Jezus podkreślał: „...zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych...”. Jeżeli mnie na to stać, to znaczy otrzymałem moc Ducha. To jest tytuł do radości.

Najgłębszą więc racją naszej miłości, nie są przesłanki logiczne, choć one też prowadzą do takiego wniosku, gdyby tak bardzo logicznie iść do końca, ale miłość Ojca w niebie. Ojca, którego powinniśmy naśladować, aby być jego dziećmi. Miłość doskonała Ojca w niebie to wzorzec ostateczny naszej miłości. Dlatego mamy ten dzień modlitwy, spotkania z Bogiem Ojcem i z Chrystusem. Bardzo bliskie są te wzorce dla kształtowania naszego stosunku do innych. W tym sensie powiedział Jezus: „...bądźcie więc doskonali wy, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski...”. Nasza miłość jest w pełnym tego słowa znaczeniu cnotą teologiczną, jeśli jest wzorowana na miłości Ojca w niebie. Dopóki jest inną miłością, nie jest miłością chrześcijańską. Jest jakąś formą, ale innej miłości. Tutaj dotykamy zasadniczej sprawy naszego chrześcijańskiego życia. Jest ono na tyle autentyczne na ile dominuje w nim miłość tego rodzaju. Wszystko inne jest w naszym życiu naprawdę drugorzędne. Ważne jest o tyle, o ile ma związek z tą miłością, na ile jest jej wyrazem, na ile do niej prowadzi. Nieważne, albo szkodliwe jest wszystko, co jest obojętne w relacji do tej miłości. A tym bardziej, co nie jest jej przejawem, ani do niej nie prowadzi. W „Kazaniu na Górze” mamy szereg ostrzeżeń przed postawami, które nie stanowią świadectwa naszej miłości jak np. czyny, których celem nie jest Bóg ani drugi człowiek.

Wtedy, gdy mamy własny cel, własne wywyższenie np. w oczach ludzi, czy to gdy chodzi o jałmużnę, modlitwę, czy post, czy o każdą inną formę autoreklamy. Te ważne czyny, mogą w oczach Boga stać się bezwartościowe, jeśli ich motywem staje się wzgląd ludzki. Dlatego mówi Jezus: „... gdy dajesz jałmużnę, niech nie wie lewica, co czyni prawica...”. Pod tym kątem „Maitri” powinno też spojrzeć, na dary ofiarowane Trzeciemu Światu. Jak w świetle tych słów ma patrzeć na swoje działania. Czasem może jest potrzebna jakaś reklama, ale tu nie chodzi aby siebie reklamować. Aby zachęcić innych, raczej trzeba pokazać potrzebę, sytuację, nie tyle to, co my robimy. Myślę, że można reklamować innych. Jak najbardziej jeden drugiego. Także nieprzyjaciół nawet. Tych, którym się coś udaje lub którzy w jakikolwiek sposób z nami współpracują. Jezus mówi: „... gdy się modlicie, nie módlcie się po to aby ludziom się pokazać, gdy poście nie dajcie poznać po sobie, że poście...”, Potrzebna jest nam skromność daleko idąca. Musimy to sobie wziąć do serca, bo ludzki wzgląd niszczy czystość

naszej miłości i nagrodę u Ojca. Nasze czyny po prostu nie mają wartości wewnętrz-



Rada Ruchu, Zalesie Dolne

nej. Nie na tej zewnętrzności polega nasz dar, ile na tym wnętrzu.

Miłość także nie sądzi. To znaczy nie potępia drugich. Nie dyskwalifikuje ich według ich wad i grzechów. Dostrzega w drugich przede wszystkim to, co dobre. Akceptuje dobro. Jak bardzo dalecy jesteśmy od takiego ideału! Wbrew zakazowi Chrystusa „...nie sądzcie...” - my sądzimy. I jeszcze nam się wydaje, że pod naszym sądem podpisuje się Pan Bóg! A to jest właśnie nie tak. Pan Bóg nie podpisuje się pod naszymi sądami właśnie z tej prostej przyczyny, że najczęściej są one niesprawiedliwe. Niesprawiedliwość polega na tym, że do sądenia bliźniego przykładamy inną miarę, niż do sądenia siebie. Ludzie, którzy mocno krytykują innych sami najczęściej oburzają się, gdy są krytykowani. U bliźnich zwykle zauważamy więcej zła niż u siebie. Bywa, jak mówi Jezus, że „...dostrzegamy drzazgę w oku bliźniego, u siebie belki nie dostrzegamy...”. Ta prawda jest wciąż aktualna.

Część II

Chrystus wzywający do przyjaźni, najwyższej formy miłości - to jeszcze jest wciąż naszym zadaniem. Nawiązując do refleksji nad „Kazaniem na Górze” myślę, że to za-

danie trwało dziś przez cały dzień w różnych formach. I trwa teraz, po refleksji modlitewnej, po sakramencie Pokuty, po Eucharystii, przed nabożeństwem pokutnym.

Wydźwięk „Kazania na Górze” jest jednoznaczny. Ojciec święty w spotkaniu z wszystkimi oddzielonymi braćmi i siostrami podejmował je jako wątek swojej wypowiedzi. Wydaje się, że Kazanie na Górze i modlitwa Arcykapłańska Jezusa Chrystusa stanowią swego rodzaju dwie klamry, które splatają wszystkie wypowiedzi Chrystusa. I dlatego chciałbym teraz poddać taką myśl, abyśmy dokonali refleksji nad Ruchem jako wspólnotą. Nie wiem, czy kiedyś podejmowano taki temat, ale bardzo często ten temat podejmuje kardynał Ratzinger z Kongregacji Doktryny Wiary. Mianowicie, że Kościół w swoich początkach był ruchem i że ruchy leżą na sercu każdego Pasterza Kościoła Świętego, który ma w nich swoje oparcie. Są one znakiem i synonimem powszechności Kościoła a zwłaszcza szczególnej jedności i dlatego w roku 2000 wśród różnych akcentów na czoło wysuwa się pragnienie realizacji jedności różnych form Kościoła. Rok 2000 w dokumentach papieskich określony jest jako Rok Pojednania i Zjednoczenia w Chrystusie.

Pojednanie zawiera w sobie słowo jedność. Pojednanie to jest też jednanie tych, którzy byli rozdzieleni. Człowieka z Bogiem, człowieka z człowiekiem, społeczności mniejszej z większą, różnych społeczności między sobą. Tak, żeby 2000. lecie tajemnicy wiary chrześcijańskiej stało się czasem pojednania. Czytamy w Konstytucji Dogmatycznej o Kościele, żeby *„dla wszystkich, którzy wpatrują się w Chrystusa, Jego Kościół, sakrament wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego, stał się znakiem prawdziwej nadziei”*. Cały Kościół jest sakramentem jedności dla ludzkości. Jest modelem, propozycją zjednoczenia w Kościele wszystkich grup, wszystkich społeczności, które powstają. Jest formułą, którą proponuje się, która może ze sobą ludzi zjednoczyć.

Wiemy jakie momenty jednoczyły w naszej historii, historii Ruchu „Maitri”. Wiemy jak jednoczy zaangażowanie się na rzecz najbiedniejszych. Jak jednoczy wspólny duch, tam gdzie z entuzjazmem podejmuje się sprawy Kościoła, które są w centrum zainteresowań całego Kościoła, ale którymi oporna rzesza wierzących chrześcijan się nie interesuje. Każdy ruch uwrażliwia na coś, o czym zapomnieliśmy, co trzeba wskrzesić, co jest jakimś punktem martwym w Kościele. Do tej pory tym punktem martwym były różnego rodzaju zaniedbania nasze w wierze, które Ojciec święty w Jubileuszowym rachunku sumienia wyznał. Wśród grzechów synów i córek Kościoła dzisiaj, w dobie przełomu tysiącleci na czoło wysuwa się zdecydowanie podział, nieporozumienia, niezrozumienia. Zakradają się one między braci i siostry Kościoła Świętego tak, że ten Kościół przestaje w pewnym momencie być znakiem. Podział chrześcijan na różne wyznania jest wielkim zgorszeniem dla świata i trzeba sobie powiedzieć, że podział każdej społeczności Kościoła będzie zawsze zgorszeniem dla świata. Czasem tak jest nawet w „najświętszych” środowiskach mówiąc w cudzysłowie. Taki podział odbija się bardzo negatywnym echem i to bardzo daleko, nie tylko w środowisku, ale w środkach masowego przekazu. Podobnie jak kamień rzucony w wodę tworzy falę, która rozchodzi się bardzo daleko.

Moglibyśmy zrobić w tym miejscu bardzo ważki rachunek sumienia w dziedzinie naszego oddziaływania jako wspólnoty na innych. O nas się pytają, nami się interesują, mamy jeszcze swego rodzaju, trudno może powiedzieć sławę, ale dobrą renomę, której trzeba sprostać. Dlatego też przytoczę słowa Jana Pawła II z *„Tertio Millennio Adveniente”*, które pośród najbardziej żarliwych błagań w tej nadzwyczajnej godzinie dziejów, kiedy się zbliża nowe tysiąclecie, powinniśmy czytać jako słowa skierowane również do nas: *„Kościół prosi Pana, aby wzrastała jedność między wszystkimi chrześcijanami rozmaitych wyznań aż do pełnej komunii. Wyrażam gorące życzenie, aby Jubileusz stał się okazją do owocnej współpracy w celu odkrycia tego, co nas łączy, a co z pewnością jest większe od tego, co nas jeszcze dzieli...”*. Czy o nas samych zwłaszcza nie możemy tego powiedzieć, że jest większe, wielokrotnie większe to, co nas łączy niż to, co czasem nas dzieli? Czemu tak bardzo sobie tym zawracać głowę i jakby hamować bieg ku własnej osobistej świętości, czy hamować rozwój wspólnoty czy entuzjazm naszych prac, które podejmujemy? *„Koniec Drugiego Millenium”* - czytamy w punkcie 34 - *„wzywa nas wszystkich do rachunku sumienia a także do stosownych poczyznań, abyśmy wobec Wielkiego Jubileuszu mogli stanąć, jeśli nie całkowicie pojednani”* - bo to różnie bywa, Ojciec święty wypowiada się bardzo realistycznie - *„... to przynajmniej o wiele bliżsi przezwyciężenia podziałów powstałych w Drugim Tysiącleciu”*. Są sprawy, które trzeba w tym Drugim Tysiącleciu koniecznie zamknąć i nigdy do nich nie wracać. Dlaczego? Dlatego, że one się ciągną, opóźniają nasz postęp, nasz rozwój, właśnie z punktu widzenia ekumenicznego.

Rok ten będzie szczególną sposobnością, aby wspólnie skierować wzrok ku Chrystusowi, Jedynemu Panu, podejmując próbę stania się jednym w Nim, zgodnie z Jego modlitwą do Ojca. Uwypuklenie centralnego miejsca Chrystusa, Słowa Bożego i wiary, co czynimy również w tym dniu, z pewnością spotka się z zainteresowaniem i życzliwym przyjęciem ze strony chrześcijan innych wyznań. Po prostu to, co proponujemy innym, sami musimy wykonywać. *„Chodźcie, zobaczcie”* - tak mówi Jezus do pierwszych zainteresowanych Swoich uczniów. Może to was zainteresuje? Oto mamy taką propozycję, w tym ruchu ku jedności, który zwie się ruchem ekumenicznym. Uczestniczą w nim ci, którzy wyznają Boga w Trójcy Jedynego, a w Jezusie wyznają Pana i Zbawcę. Chrześcijanie innych wyznań usprawiedliwieni z wiary przez Chrzest należą do Ciała Chrystusa. Tego przez wiele lat, wiele dziesięcioleci i stuleci katolicy sobie nie uświadamiali. Wydaje się to takie oczywiste - przypomina nam o tym *„Dekret o Jedności Chrześcijan”*. Analogiczne może być tak, że my sobie nie uświadamiamy tego, że to, co rzekomo nas dzieli, jeszcze nie jest podziałem. Jest tylko różnorodnością w naszej wspólnocie. To jest ogromnie ważne - aby się prawdziwie kochać musimy się umieć różnić. Bo jesteśmy różni, każdy jest inny. Są drogi własne, które są bogactwem każdej wspólnoty. Kościół to widzi w odniesieniu do braci i siostr odłączonych. Powinniśmy widzieć to i my, a czasem tego nie widzimy we własnym Kościele Katolickim. Po prostu nie umiemy w ten sposób patrzeć na życie, na sytuację, na drugiego człowieka.

Do wielkich osiągnięć ekumenii należą Deklaracje o Chrzcie, o Usprawiedliwieniu. Czy to nie jest zachęta Kościoła, abyśmy z okazji Wielkiego Jubileuszu takie deklaracje we własnym gronie umieli poczynić, dotyczące uzgodnień, jakiejś jedno-myślności? W czym wyraża się nasza wspólnota w obliczu 2000. lecia Zbawiciela świata? Powstają różnego rodzaju komisje, komitety obchodów. Dobrze by było, byśmy pewnego rodzaju inicjatywy, które są czasem zupełnie zwyczajne, umieli wpisać jako uwielbienie Zbawiciela świata. Jako naszą radość Jubileuszową na rzecz jedno-ści chrześcijan. Dokumenty wymieniają drogi, które prowadzą do jedności. Wskażę tutaj analogię do tekstu „*Kazania na Górze*”, bo on dotyczy wszelkich dążeń do jedno-ści. Mianowicie: pierwszą drogą jest pokuta, drugą jest modlitwa, trzecią jest dialog, czwartą - pokazanie obecności Chrystusa w owocach wiary. Chodzi o owoce naszej pracy, które składamy ludziom, którym wychodzimy naprzeciw, których wspoma-gamy, których podnosimy także w człowieczeństwie, z którymi się jednoczymy, so-lidaryzujemy.

I tak pierwszym krokiem jest analiza przeszłości i terażniejszości. Kościół dokonał tego w rachunku sumienia z dwudziestu stuleci. Pokuta jest przyznaniem się do grzechu, jest żalem za grzechy popełnione zwłaszcza w stosunku do bliźnich. Wśród grzechów domagających się szczególnego wysiłku, pokuty i nawrócenia jak mówi Ojciec święty w „*Tertio Millennio Adveniente*”, trzeba z pewnością wymienić te, które zaszkodziły jedności jakiej Bóg pragnął dla swego ludu. Mówił tutaj o bolesnych rozdarciach często więc nie bez winy ludzi z jednej i z drugiej strony.

Drugimi ważnym krokiem jest zrozumienie, że jedność nie jest dziełem tylko wy-siłków ludzkich. Czasem rozkładamy ręce, niestety nie udaje się, wydaje się, że nie ma możliwości porozumienia z drugim człowiekiem, który tego nie chce. Pan Bóg wtedy nas doświadcza i mówi do nas wyraźnie: to nie jest twoje dzieło – zjednocze-nie. Ty masz robić, co do ciebie należy. O jedność musisz prosić, modlić się tak, jak modlił się Jezus w swojej Modlitwie Arcykapłańskiej. U schyłku obecnego tysiącle-cia Kościół powinien zwrócić się z jeszcze żarliwszym błaganiem do Ducha Świętego prosząc Go o łaskę zjednoczenia chrześcijan. To jest problem kluczowy - powiada Ojciec święty - dla ewangelicznego świadectwa w świecie. Może więcej jeszcze trze-ba modlitwy i to równoległe do pokuty, równoległe do podejmowanych wysiłków. W punkcie 34. wspomnianego dokumentu czytamy: „...osiągnięcie tego celu nie może być owocem wyłącznie ludzkich wysiłków, choć są one nieodzowne. Jedność jest w ostateczno-ści darem Ducha Świętego”. Zresztą o tym wspominamy na początku każdej Mszy Świętej.

Trzecim krokiem jest dialog. Są ludzie, którzy nie chcą podejmować dialogu. Otóż Ojciec święty powiada, że aby rozwiązać rozbieżności należy prowadzić dialog. Pan Bóg od wieków podejmuje dialog z człowiekiem. Choć mógłby On tego nie robić, rozmawia z człowiekiem. Zauważmy, że Pismo Święte pełne jest dysput, sporów z Panem Bogiem. Jest w tym wymiarze potrzebny olbrzymi wysiłek i kontynuacja dia-logu - mówi Ojciec święty.

I wreszcie czwarty krok – ukazanie obecności Chrystusa w owocach wiary. Dobrze by było i trzeba to w jakiś sposób zrobić, aby Ruch „Maitri” podsumował te wspaniałe świadectwa, które już zostały dane na przestrzeni lat. Zwłaszcza, że w tym roku przeżywa swoje 25. lecie w naszym narodzie i u tych, którzy poza granicami Polski w tym Ruchu biorą udział. Trzeba pokazać te świadectwa w sposób bardzo skromny, mniej więcej tak jak w Dziejach Apostolskich. Niedawno czytaliśmy o Pawle i Barnabie, jak wrócili z Antiochii i opowiadali o tym, co Pan Bóg zdziałał wśród pogan za ich pośrednictwem. Czyli nie „co myśmy zrobili” ale „co Pan Bóg zrobił”. Myśmy Mu podali rękę, otworzyliśmy się dzięki Jego łasce i oto jaką dał nam radość. Pokazać radość tych, którzy głodni otrzymują pokarm, otrzymują możliwość kształcenia się, otrzymują opiekę, otrzymują miłość, która o nich pamięta, także w „Adopcji Serca”.

To świadectwo jest potrzebne światu, na równi ze świadectwem, o którym mówi Ojciec święty, ze świadectwem męczenników naszych czasów. Bo męczennik to właściwie świadek, koronny świadek krwi. Albo świadek miłości. Świadkowie miłości muszą dojść bardziej do głosu w środkach społecznego przekazu. Rzadko kiedy oglądamy świadków miłości Bożej i umiłowania do końca bliźniego. Ci żywi świadkowie muszą chodzić po świecie. Byłoby czymś wspaniałym, żeby to świadectwo które już jest, ono nie może być zapomniane, było większe, wspanialsze, dawało o sobie znać. Oto tam są ci świadkowie, oni nie mówią o sobie, nie myślą o sobie, myślą o innych, myślą o tobie, który możesz tam przyjść i możesz się spotkać. Ojciec święty w swoim liście apostolskim „*Tertio Millennio Adveniente*” nazywa to ekumenicznym świadectwem świadków, świętych męczenników, którzy mówią głośniejsz niż podziały. Osobiście upatruje on w tym jedną z najskuteczniejszych metod przewycięzania wszelkich podziałów. Wtedy najwyżej pozostanie tylko jeden podział na tych, którzy kochają i tych, którzy jeszcze boją się miłości. Tych którzy wchodzi w dialog i tych którzy jeszcze stronią od dialogu, uciekają w swoją własną samotność. W tym kontekście powraca wezwanie Jezusa Chrystusa w „*Kazaniu na Górze*” do porzucenia złości, gniewów, pamiętania różnych win, przewin wobec nas uczynionych, to wezwanie ewangeliczne – „...niech słońce nie zachodzi nad zagniewaniem waszym...” Po prostu Jezus chce, żebyśmy nawet dniem zamknęli wszelkie zło, wszelką rdzę duchową. A cóż dopiero mówić gdy zamyka się całe tysiąclecie!

Po tej refleksji nastąpi nabożeństwo pokutne, które ma swój program, w którym spotykamy się oko w oko ze sobą. Niech nikt nie ma najmniejszej wątpliwości, że tak czynili święci. Pomyślmy, że każdy z nas jest tym dłużnikiem i czasem tym nielitościwym dłużnikiem z Ewangelii, który nie spłaca długu wobec bliźnich. Gdybyśmy w dogłębnej refleksji porównali to wszystko, co Pan Bóg dla nas czyni, doszlibyśmy do wniosku, jak znikome jest to, co my czynimy w odpowiedzi na tę wielką miłość. Przyspieszylibyśmy kroku, zaczęlibyśmy śpieszyć się z miłością, żeby zdążyć. Wejście w nowy wiek domaga się odnowy naszej tożsamości, spojrzenia w sposób krytyczny na błędy, niewierności, niekonsekwencje i zaniedbania. Tak mówi Ojciec święty we wspomnianym liście. Każdy jubileusz jest wezwaniem do odnowy, ale ten

w szczególny sposób. Jan Paweł II w swoim wezwaniu do odnowy użył szczególnych terminów: „*oczyścić pamięć*”. My bardzo często podkreślamy, że możemy przebaczyć, ale będziemy pamiętać. Oczyszczyć pamięć, to odważniej i pokorniej uznać swoje błędy. Po prostu, jeżeli pamiętam i patrzę na swoje błędy, to umiem zapomnieć błędy innych. Zobaczyć odległość, która dzieli nas od ideału. Wtedy w tym świetle jasno ukazują się potrzeby biednych i najbiedniejszych ludzi, zepchniętych na margines przez społeczności ludzkie. To do nas wydaje się w szczególny sposób odnosić ta zachęta. Zauważcie też, że rok Jubileuszowy jest wezwaniem do odwiedzania różnych miejsc świętych, aby zyskiwać odpusty zupełne. W tym wszystkim nie powinniśmy zapomnieć, że jest takie miejsce święte, o którym ludzie najmniej pamiętają - jest to człowiek, właśnie najuboższy. Jest powiedziane, że jednym z warunków uzyskania odpustu zupełnego jest „*udanie się niejako*” – cytuję „*w pielgrzymkę do Chrystusa obecnego w nich*”. Myślę, że Ruch „*Maitri*” już dawno wyruszył w tę pielgrzymkę, ale byśmy w tym roku Jubileuszowym byli tego świadomi, że to jest też pielgrzymka do miejsca świętego, do sanktuarium, które zostało wpisane w warunki uzyskania odpustu jubileuszowego.

Na koniec, ponieważ zbliża się nabożeństwo pokutne, chcę przypomnieć, że nasze zaniedbania i grzechy mają charakter społeczny. Nie ma takiego grzechu popełnionego przeciwko Bogu, który by jednocześnie nie był grzechem popełnionym przeciwko bliźniemu. Dawniej to dzielono na grzechy społeczne, indywidualne. Ale właściwie to każdy grzech, każda wina popełniona wobec Boga ma swoje reperkusje w życiu ludzi. Nie ma grzechu tak osobistego, którego drugi człowiek nie byłby jakąś przyczyną, złym przykładem, zachętą, towarzystwem. Trafnie w swoim dialogu pokazuje to Katarzyna Sjeneńska. Aż zdziwiłem się, że z taką pewnością to powiedziała, ale to przecież Doktor Kościoła. „*Wszystkie grzechy popełniane przez bliźnich*” - powiada ona – „*wszystko dobro czynione przez bliźnich, jeżeli tak się sprawy mają, to za grzech też trzeba razem przeproszać*”. Nie każdy w swoim kącie. Tak jak wspólnie dziękujemy za nasze wspólne dobro i indywidualne dobro, tak wspólnie też powinniśmy przeproszać Boga i siebie. Tak i tu powinniśmy być jedno w tym akcie przeproszenia. Zauważcie, wiemy o tym dobrze, że On chce, aby każdy najpierw pojednał się ze swoim bratem, że tak powiem do kompanii przebaczenia. Pan Bóg mówi coś w tym rodzaju: potrzebuję jeszcze innych, nas dwóch nie wystarczy. Taką mowę kieruje Pan Bóg do nas i zwłaszcza powinien być obecny dziś w tym pojednaniu. Kto w naszej świadomości albo w rzeczywistości jest w tym momencie najdalej od nas powinien być przywrócony do bliskości. Kiedyś już powiedziałem wam zdanie, które ma podstawę głęboko teologiczną, że dokładnie Pan Bóg jest tak daleko od nas, jak daleko jest od nas ten brat, ta siostra, których najmniej lubimy, kochamy. Bóg utożsamia się z tym najmniejszym nie tylko w porządku materialnym, braków jedzenia, niezbędnych dobrych warunków materialnych.

Bóg akceptuje społeczny wymiar grzechu, gdy jako warunek współpracy ze sobą stawia współpracę z drugim człowiekiem. Teraz dochodzimy do niesamowitych wniosków: taką jest nasza współpraca z Bogiem, jaka jest współpraca z drugim

człowiekiem. Proszę zauważyć: nie da się po kumotersku załatwić współpracy z Bogiem bez tego szerszego kontekstu społecznego. Nie wystarczy też żałować, że Pan Bóg został obrażony. Zasmuciłem Pana Boga, a więc w kącie Go gdzieś tam pocieszę, przeproszę i sprawa załatwiona. To nie wystarczy. W naszej pokucie warunkiem jest złożenie postanowienia poprawy Bogu samemu, ale postanowienie to słyszy spowiednik. Wiele wspólnot robi takie postanowienia razem, żeby sobie wzajemnie pomagać.

Nie mówię o policyjnym pilnowaniu, ale o życzliwej pomocy. Inna jest pokuta społeczna, prawdziwa pokuta społeczna. W pierwszych wiekach nawet posuwano się do tego, że istniało społeczne wyznanie win, tak zwana Spowiedź Powszechna, publiczne wyznanie grzechów. Gdzieś tam jeszcze w zakonach praktykuje się ją. Święta Tereska od Dzieciątka Jezus spowiadała się najpierw swojej siostrze zanim poszła do spowiednika. Dzieci idące do Pierwszej Komunii Świętej czasem spowiadają się ze swoich win rodzicom, żeby sprawdzili, czy wszystko się zgadza.

Czasem można uprawiać też wielki indywidualizm w pokucie, tak że jest nieobiektywna i mało skuteczna. Człowiek żyje w złudzeniu. Zresztą Święty Jakub mówi „...wyznawajcie jedni drugim wasze grzechy...”, czyli jest podstawa do tego nawet w Piśmie Świętym. W Dziejach Apostolskich powiedziane jest, że wielu przychodziło wierzących, aby ujawnić publicznie swoje ukryte uczynki (Dz. Ap. 19,18). Proszę przeczytać. Przy wyznaniu grzechów, zwłaszcza gdy jesteśmy we własnym gronie, można sobie wiele rzeczy powiedzieć. Nie, żeby oskarżać innych, ale by oskarżać siebie. Własne przyznanie się do winy mobilizuje i zachęca innych. Ktoś, kto myślał, że jest najlepszy też jakoś dochodzi w takiej atmosferze do przekonania, że u niego nie jest tak jak powinno być.

Ostatnie zdanie: oprócz naszej indywidualnej pokuty ten rok domaga się wspólnotowej pokuty, chciałbym to zdanie wypowiedzieć jako uzasadnienie dla nabożeństwa pokutnego, które jest wspólnotowe, które teraz na zakończenie dzisiejszego dnia jest bardzo na miejscu.

ks. Roman Forycki

dla zachowania potoczności tekstu cytaty nie zostały skorygowane

REKOLEKCJE KRAJOWE RUCHU „MAITRI”, LUBIN, LIPIEC 2008

Rozważania o chrześcijańskiej nadziei na podstawie encykliki papieża Benedykta XVI „*Spe salvi*”

NADZIEJA A WIARA

Temat tych rekolekcji wydaje się być bardzo bliski Ruchowi „Maitri”, ponieważ wiąże się ściśle z posłannictwem niesienia nadziei ubogim. Trzeba by też zwrócić uwagę, że ten temat już był, jak sobie przypominam, przeze mnie podejmowany na Spotkaniu Krajowym Ruchu, gdzie poruszałem tematy: „*Nadzieja w życiu chrześcijanina*” oraz „*Co znaczy być świadkiem nadziei wobec biednych*”. Ukazanie się encykliki Benedykta XVI „*Spe Salvi*” wzbudziło jednak słuszne pragnienie, żeby uczestnicy Ruchu postawili sobie pytanie, co dzisiaj Kościół i sam papież myśli na ten temat, co kładzie nam na nasz umysł i na nasze serca pod rozwagę.

Nowa encyklika odbiła się dość mocnym echem w literaturze teologicznej, zwłaszcza w międzynarodowym czasopiśmie „*Communio*”. Przed swoim pontyfikatem Benedykt XVI był członkiem komitetu redakcyjnego tego czasopisma. Stąd jeden jego numer został w całości poświęcony jego pontyfikatowi. Istnieje fachowa dyskusja teologiczna wokół Encykliki, natomiast gorzej jest z dotarciem jej treści do szerokiego ogółu członków Kościoła, pomimo, że te treści zasługują na szersze zainteresowanie. Co niesie ze sobą Encyklika?

Nadzieja, jak wiemy, należy do trzech głównych cnót chrześcijańskich, które nazywane są teologicznymi, lub naukowo - teologalnymi. Jako taka, współdecyduje ona o tym, czy naprawdę jesteśmy chrześcijanami. Mówiąc o naszym chrześcijaństwie zwykle ograniczamy się jednak do mówienia o miłości lub o wierze, co jest oczywiście bardzo ważne, ale nadzieja trochę za bardzo pozostaje w cieniu tamtych cnót. Ona się z nimi ściśle wiąże. Ważne jest, aby ten brak uzupełnić. Jest to temat ogromnie szeroki, ale w tych rekolekcjach interesuje nas głównie to, co w swojej encyklice mówi Benedykt XVI. Jednym z podstawowych akcentów tej encykliki jest podkreślenie, że nadzieja nasza ściśle wiąże się z naszą chrześcijańską wiarą. I właściwie od tego rozpoczyna encyklikę.

Na przykładzie tekstów biblijnych, zwłaszcza Listu do Hebrajczyków, Listu św. Piotra Apostoła, Listów św. Pawła do Tesaloniczan i do Efezjan papież wykazuje, jak bardzo ściśle nadzieja wiąże się z życiem chrześcijańskim. List do Hebrajczyków traktuje o wierze, o tym, że jest ona niewzruszonym wyznaniem nadziei. Dopóki wiara nie jest wyznaniem nadziei, nie jest wiarą. Wiara nie polega na tym, że tylko uznajemy istnienie Boga, ale jest połączona z zaufaniem do Niego. Z nadzieją otrzymania tego wszystkiego, o czym wiara nam mówi. Pierwszy List św. Piotra podkreśla, że razem z przekazem wiary powinniśmy przekazywać poganom nadzieję. Jeżeli nadzieja nie łączy się z przekazem wiary, to ten przekaz jest mało autentyczny. Tak pisze św. Piotr w swoim Pierwszym Liście.

Podobnie mówi Pierwszy List św. Pawła do Tesaloniczan: „*Nie chcemy bracia, byście trwali w niewiedzy co do tych, którzy umierają, abyście nie smucili się jak wszyscy, którzy nie mają nadziei*” (1Tes 4,13). Charakterystyczne jest dla św. Pawła przeciwstawianie chrześcijan ludziom, którzy nie mają nadziei. Na tle innych chrześcijanie odznaczają się szczególną nadzieją. I ta wytryska z ich oblicza i z ich postępowania. A List do Efezjan po prostu podkreśla, że nie jest rzeczą pożądaną, aby Efezjanie byli jak ci, którzy nie mają nadziei. Wszystko więc sprowadza się do tego, czy jesteśmy ludźmi nadziei. Jest to pierwszy znak, że jesteśmy prawdziwie wierzący. List do Efezjan mówi jeszcze, że wszyscy zostaliśmy powołani do jednej nadziei.

Jak podkreśla Benedykt XVI, z Pisma świętego wynika, że nasze chrześcijańskie powołanie jest powołaniem do nadziei. Szczególnie mocno o nadziei mówi List do Hebrajczyków. Święty Paweł stwierdza w nim wyraźnie, że nadzieja jest treścią naszej wiary, jest trwaniem w tym, czego się spodziewamy, czego jeszcze nie widzimy, a o czym mówi wiara. Jest nawet czymś więcej - jest obecnością, jakby w zarodku tego, czego jeszcze nie widzimy. Jest to już obecność w nas tego, co ma być. Jest to nowa wolność związana z istnieniem nadziei, dla której warto porzucić wszelkie inne nadzieje. Widać to w szczególny sposób - podkreśla Papież - w życiu męczenników, którzy wszystko stawiają na jedną kartę, bo mają wielką nadzieję. Tę nadzieję próbują podjąć też osoby konsekrowane i wszyscy chrześcijanie, którzy podejmują jakiegokolwiek wyrzeczenie.

Poświęcenie się ma źródło w chrześcijańskiej nadziei. List do Hebrajczyków podkreśla, że wiara jest dowodem tych rzeczy, których nie widzimy. Papież jeszcze jako kardynał napisał na ten temat artykuł do „*Communio*”. Stwierdził w tym artykule, że protestanci - a był z nimi w nieustannym dialogu - dzielają obecnie interpretację katolicką tego Listu, chociaż dawniej o nadziei mówili jako o subiektywnym przekonaniu. Protestanci obecnie uważają, że Luter i jego naśladowcy mylili się, interpretując słowo „*dowód*” jedynie jako przekonanie subiektywne, które można mieć albo można go nie mieć.

Interpretacją tych tekstów świętych jest cała tradycja Kościoła. Chrześcijańska tradycja, jak podkreśla Benedykt XVI, prawie że utożsamia nadzieję z wiarą. Właściwie gdy mówimy o wierze, mówimy także o nadziei, która określa chrześcijan jako ludzi nadziei - tych, którzy mają nadzieję. Zresztą po tym, cośmy usłyszeli z tekstów biblijnych ci, którzy mają nadzieję to św. Ignacy Antiocheński, św. Klemens Rzymski. Te wspinałe listy do Efezjan właśnie o tym mówią.

Czym jest ta nadzieja? Papież próbuje uzasadnić ją także od strony intelektualnej – w jaki sposób nadzieja jest zakotwiczona w samym człowieczeństwie. Powiada, że człowiek jest bytem, który oczekuje więcej niż to, co sam sobie może dać. Nadzieja jest oczekiwaniem czegoś, czego człowiek sam sobie nie może dać. Nadzieja w ludzkim bytowaniu jest swego rodzaju antycypacją tego, co ma nadejść. Człowiek sam nie może jednak spowodować, aby to coś nadeszło. Jest to po prostu oczekiwanie na to coś, ale także na kogoś, kto to coś ma dać człowiekowi.

Wierzyć i mieć nadzieję to odnaleźć trwały grunt prawdziwej rzeczywistości, na której można się oprzeć. Nadzieja opiera się na tym gruncie. Oczekiwanie dzięki temu nie trafia w próżnię. Jest ktoś, kto gwarantuje spełnienie się nadziei. Wspomniany grunt jest nieporównywalnie ważniejszy niż wszystkie inne gwarancje, zwłaszcza materialne. Człowiek dla tego gruntu gotów jest porzucić wszystkie swoje zabezpieczenia, które posiada. Często jest tak, że ludzie nie mający nadziei w życiu używają wielu zabezpieczeń, ubezpieczeń, podwójnych zamków i drzwi, itd. Tymczasem, jak mówi Ewangelia, kto chce ratować tylko własną skórę, ten się zatraci, bo grunt, na którym stoi nie jest prawdziwy. Człowiek kieruje się często pseudonadzieją, która kończy się prędzej lub później rozczarowaniem. Warto tu przypomnieć, że w tradycji Kościoła Katolickiego uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego jest szczególnym świętem, które przypomina, że nasza nadzieja jest z Chrystusem. U Boga w niebie, do którego Jezus wstępuje. Tam jest nasza nadzieja.

Kim więc jest człowiek, który ma nadzieję? – pyta papież. Wobec rozróżnienia: wierzący - niewierzący, trzeba określić, co oznacza „mieć nadzieję”. Kto może mieć nadzieję? Dlaczego można o jednych powiedzieć, że nie mają nadziei, a o innych, że nadzieję mają? Na pewno ten, kto ma nadzieję, ma ją na lepszą przyszłość najogólniej biorąc. Oczekuje w przyszłości większej radości, szczęścia, których jeszcze tutaj nie ma. Wydawałoby się, że nadzieja jest powszechna, że nie ma człowieka, który by jej nie pragnął. Ernst Bloch (1885-1977), człowiek niewierzący napisał grubą książkę pod tytułem „*Zasada nadziei*” (niem. „*Das Prinzip Hoffnung*”). Twierdzi w niej, że tylko niewierzący jest człowiekiem nadziei. Oczywiście pisał to człowiek żyjący rzeczywistością Republiki Demokratycznej Niemiec, a więc w czasach komunizmu, marksista. Mówi on, że marksista ma nadzieję, ponieważ zna sposób i drogę przemiany świata. Wie, jak uczynić świat rajem. Ma nadzieję realną. Tymczasem ludzie wierzący – jak twierdzi Bloch – mają nadzieję nierealną, ponieważ pokładają nadzieję w Bogu, który nie istnieje. Nadzieja religijna jest według niego nadzieją sfingowaną, skoro jest związana z nadzieją w Boga, którego według ateisty nie ma.

Otóż nadzieja chrześcijańska faktycznie zakłada wiarę i przyjęcie istnienia Boga, ale to nie wszystko. To za mało i tego nie wiedzą ateści, że to za mało. Deści w czasach nowożytnych także przyjmowali istnienie Boga, który według nich stworzył i nakręcił nasz świat jak zegarek. Byli jednak ludźmi niereligijnymi, nie uznającymi Boga za kogoś, komu człowiek powinien oddawać kult. Uznawali, że Bóg nie interesuje się człowiekiem. Ich wiara była wiarą w istnienie Boga bez nadziei, że ten Bóg mógłby coś jeszcze dla człowieka uczynić. Takie pojęcie Boga ma również niejeden ateista. Stąd tak ważne jest podkreślenie, że z naszą wiarą wiąże się ściśle nadzieja, że Bóg jest naszą nadzieją. On jest spełnieniem naszych marzeń i jeszcze więcej niż marzeń i oczekiwań.

Konsekwentny człowiek wiary pokłada swoją główną nadzieję w Bogu. Nadzieja ta rodzi się z poznania Boga na drodze wiary, poznania kim On jest. Jest Bogiem zatroskanym o człowieka. Jest Miłością. Zależy Mu na człowieku. Stwarza człowieka na obraz i podobieństwo swoje. Chce go obdarzyć wszystkim, co tylko jest

możliwe, nawet własnym życiem. Według Benedykta XVI, Ewangelia nie jest tylko przekazywaniem nowych informacji o Bogu. Jest też wlewaniem nadziei w człowieka, jest formacją. Pojawiło się wiele wspaniałych dzieł na temat Ewangelii jako źródła informacji, ale mniej jako źródła formacji. To, co tutaj mówię, może też być tylko informacją. Przyjmiecie to do wiadomości i nic więcej. A może być formacją, gdy Słowo Boże będzie kształtować później Wasze życie. Wlewanie nadziei w człowieka kształtuje człowieka. Bóg jest nadzieją. Człowiek odkrywa Go wciąż na nowo. Zwłaszcza po latach przeżytych w beznadziei, Bóg może nagle stać się nadzieją człowieka. Tej sprawie, co jest niezwykle jak na encyklikę, poświęca Benedykt XVI dużo miejsca. Opisuje nawrócenie się kobiety, która po latach różnych udręk i beznadziei spotyka Boga.

Na drodze niewiary nie ma pełnej nadziei. Może być różna nadzieja, ale nie ma nadziei ostatecznej dotyczącej sensu życia. Każde inne poznanie, także filozoficzne i teologiczne, nie rodzi takiej nadziei. Można również studiować teologię jako informację. Ateista może zdawać egzaminy z teologii na piątkę. Tak jest z informacją, która nie rozwija wiary. A zatem nadzieja zakłada nie tylko istnienie Boga, ale zakłada, że Bóg swoim istnieniem i tym, co do nas mówi, kształtuje nasze istnienie. On jest gwarancją, że nasze istnienie wypełni się treścią. Gdy tego przekonania płynącego z wiary nie ma, nie ma nadziei.

Papież podkreśla, że ludzie, którzy nie żyją Bogiem, znajdują się na krawędzi pewnego rodzaju rozpacz i niespełnienia się, ponieważ człowiek sam nie jest w stanie zrealizować swoich marzeń i oczekiwań. Gwarancję spełnienia daje tylko obietnica Boga. Na innym miejscu za świętym Pawłem papież przypomina, że ci, którzy nie wierzą w Zmartwychwstanie też nie mają nadziei. Podkreślamy często, mówiąc o tajemnicy Zmartwychwstania, że to ono przywróciło nadzieję uczniom Jezusa, którzy zwątpili. Którzy w pewnym momencie uznali, że to już koniec wszystkiego. Stąd żywienie nadziei możliwe jest tylko w wierze. Nadzieja wskazuje na wiarę jako ważną podstawę. Słaba wiara odbija się echem w słabej nadziei.

W wierze Bóg daje człowiekowi siebie, a my Go przyjmujemy. „Czy wierzysz?” – w ten sposób często pytał Jezus tych, którym chciał coś dać. Finalnym owocem wiary jest nadzieja i spełnienie się tej nadziei. Bóg jest Bogiem nadziei. Jako zwycięzca jest dla człowieka niebem, do którego człowiek dąży. Bóg spełnia ważne dla człowieka nadzieje, zwłaszcza te, które przyobiecał człowiekowi, które wiążą się z jego większym dobrem. Po prostu w Bogu nadzieja człowieka odzyskuje swoją niezawodność. Przedmiot tej nadziei jest wolą Boga. A jeżeli Pan Bóg czegoś chce, to w sposób konsekwentny to realizuje. Obawa dotyczy jedynie tego, czy człowiek spełni warunek wiążący się z nadzieją, czy będzie ufał. Jest to obawa nie przed Bogiem, ale przed sobą samym. A w konsekwencji przed sprawieniem Bogu zawodu. Zawiodłem, czyli Bóg zawiodł się na mnie. Nie ja zawiodłem się na Boga, ale odwrotnie. Bóg mi na pewno nie sprawi zawodu, jeżeli spełnię postawiony przez Niego warunek.

Nadzieja jest to nowy fundament, na którym człowiek może się w swoim życiu oprzeć. Stąd odzyskanie nadziei jest czymś jeszcze bardziej fundamentalnym niż odzyskanie wiary. Można stracić wiarę, ale można nie stracić nadziei. Nadziei, że się uwierzy. Spotkałem ludzi niewierzących, którzy nie stracili nadziei w uwierzenie. Bo gdy człowiek traci nadzieję, to właściwie wtedy traci wszystko. To przecież na bramach piekła wypisany jest napis: *„Wy, którzy wchodzicie, porzućcie wszelką nadzieję”*. To jest właśnie piekło, to jest definicja piekła, to jest definicja definitywnego końca.

Przykład nadziei daje nam Kościół pierwotny. Właśnie dlatego wzorce Kościoła pierwotnego są porywające. W wielu okresach odradzania się Kościoła wraca on do entuzjazmu nadziei pierwszych uczniów Jezusa. Żyjący nadzieją wierzą, że nie żywioty, nie materia rządzą światem, ale osobowy Bóg. Było to znamienne w czasach, kiedy panował zwłaszcza stoicyzm, że wierzono w siły kosmiczne, które rządzą człowiekiem i wszystkim. W starożytnej Grecji znane było pojęcie fatum, poddanie człowieka przeznaczeniu. Był to determinizm bez wyjścia, jakieś kleszcze. Otóż według chrześcijan nic w tym świecie nie jest ostateczną instancją. Nic w nim nie zniewala tych, którzy spotkali Boga osobowego. Są ludźmi wolnymi. O nadziei mówią już wczesnochrześcijańskie sarkofagi. Gdy zwiedzałem katakumby św. Kaliksta, uderzyły mnie wspańiałe ilustracje śmierci. Pełne radości i zwycięstwa, tchnące niesamowitą perspektywą. Nie jest to ponury cmentarz, jaki czasem widzimy na naszych chrześcijańskich ziemiach.

Chrystus Pasterz, Chrystus Filozof mówi nam, co znaczy być człowiekiem, jaka jest nasza droga, jaki jest cel. Wzywa, abyśmy niczego się nie lękali. Nadzieja rozprasza wszelkie wątpliwości ludzkie. Ludzie jednego Kościoła, którzy są dla siebie braćmi, w niebie szukają swojej ojczyzny. Cała tradycja Ojców Kościoła podkreśla, że nasza ojczyzna jest w niebie, tutaj jesteśmy pielgrzymami. Chodzić po ziemi, a mieć oczy utkwione w niebo - to jest właściwa postawa chrześcijańska. Postawa tej wyprostowanej istoty wśród zwierząt. Przejawia się to na przykład w stosunku św. Pawła do zbiegłego niewolnika Onezyma. Apostoł odsyła go do jego pana Filemona prosząc, aby go przyjął nie jak niewolnika a jak umiłowanego brata. Marksieści zinterpretowali tę sytuację jako podtrzymywanie przez św. Pawła niewolnictwa. Tymczasem w chrześcijaństwie niewolnik nie jest już niewolnikiem. Filemon przyjął go nie jako niewolnika, a jako umiłowanego brata. Jest to zniesienie wszelkiej niewoli tego świata.

Nadzieja jest wciąż zagrożona w naszym życiu, które staje się bardzo nerwowe. Żyje się tylko tym, co zewnętrzne, poddając się codziennej, niszczącej małościowości. W tym bardzo szarym życiu, jakby wyczerpują się ludzkie nadzieje. Optymizm przechodzi w ponuractwo, pewność w zwątpienie. Chrześcijańska nadzieja jest zagrożona, tak jak zagrożone są miłość i wiara. Cnoty te są ze sobą ściśle powiązane. I tylko ufność, wskrzeszenie nadziei wyciąga człowieka z tej szarzyzny życia, z tego, co namacalne, opromieniając jego codzienny trud, pozwalając dostrzec światłość świata i śpiewać ze świętym Franciszkiem z Asyżu *„Hymn do Słońca”*.

Ratujemy nadzieję wtedy, kiedy ratujemy wiarę. Nadzieja ma czasem dłuższy żywot niż wiara i jest ostatnią deską ratunku. Gdy znikają wszystkie małe nadzieje, wtedy właśnie wschodzi nadzieja fundamentalna. Bardzo często nadzieja chrześcijańska jest określana jako nadzieja wbrew nadziei. Kiedy gasną wszystkie ludzkie nadzieje, ta nadzieja świeci w całym swoim majestacie, jak to podkreśla między innymi życiorys tak czczonego w „*Maitri*” świętego Franciszka z Asyżu, zwłaszcza pod koniec jego życia. Niesamowicie nadzieja rozbłysła u człowieka, który był pozbawiony wszystkiego, nawet władzy we własnym zakonie. Wtedy nadzieja doszło do zenitu.

Dlatego w tych rekolekcjach chcemy wejść w tajemnicę naszej nadziei. Chcemy przede wszystkim siebie zapytać, na ile nadzieja w nas daje o sobie znać. Nadzieja, którą w nas wlewa Duch Święty, który jest nam dany. Ona jest darem otrzymanym od Boga. Nie jest nadzieją czysto ludzką, skoro jest nią Bóg. Ta ludzka tak często zawodzi. Jest wiele tekstów świętych, które mówią żeby nie pokładać nadziei w człowieku – „*Przeklęty, który pokłada nadzieję w człowieku zamiast w Bogu*”.

Oczywiście, gdy patrzymy na sprawę od strony ludzkiej, to moglibyśmy się zgodzić z niektórymi mówiącymi, że nadzieja jest matką głupich. Weszło to nawet w przysłowie. Biorąc pod uwagę Pismo Święte, pokładanie nadziei w człowieku jest głupotą. Człowiek może zawieść i często zawodzi. Znamy ludzi, którzy mogliby swój życiorys określić jako jedno pasmo niespełnionych nadziei.

Na czym polega niezawodność nadziei Boskiej? Jest to spełnienie się woli Bożej w naszym życiu. Wszystkie nadzieje, które są zgodne z wolą Bożą, a które są dla nas najlepsze, spełnią się niezawodnie. „*Dostąpiwszy usprawiedliwienia przez wiarę*” – pisze św. Paweł w Liście do Filipian – „*zachowajmy pokój z Bogiem przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, dzięki któremu uzyskaliśmy przez wiarę dostęp do tej łaski, w której trwamy i chlubimy się nadzieją chwały Bożej, a nadzieja zawieść nie może, ponieważ miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który jest nam dany*”.

Zdobyc pewność nadziei, to jest ogromna łaska. O to trzeba się gorąco modlić. To jest łaska, która nas wyzwala z wszelkich trwóg i niepokojów. Powstaje pytanie: w jakim stopniu ja mam tę nadzieję? Patrząc na życie przeciętnych chrześcijan można by powiedzieć, że nie widać w nim nadziei. Zatrwożeni chrześcijanie krzątają się jak poganie, szukając różnych ludzkich nadziei. A w parze z tą gonitwą zabezpieczenia swojej nadziei w czysto ziemskim wymiarze, idzie lęk, wzrastający lęk o to, żeby nie utracić tego, co się ma. „*Żyją tak jakby Boga nie było*” – podkreślił Sługa Boży Jan Paweł II. Gdy jako chrześcijanie schodzimy na mieliznę, to wtedy właściwie nasze życie nie różni się od życia ludzi niewierzących. Nasze życie nie może być świadectwem, dopóki tej różnicy nie ma, dopóki ona jest niewidoczna. Dopóki tak jest, to po prostu nie mamy temu światu nic do powiedzenia. Dlatego warto przyjrzeć się obecności nadziei w nas.

Skrajnym grzechem przeciwko nadziei jest rozpacz, która jest całkowitym odejściem od drogi zbawienia w przekonaniu, że zbawienie jest nieosiągalne. A z

drugiej strony grzechem przeciw nadziei jest zuchwałość, liczenie na zbawienie bez kroczenia drogą zbawienia, absolutna lekkomyślność, traktowanie miłosierdzia Bożego jako motywacji trwania w grzechu. Grzechem przeciw nadziei jest także chorobliwa bojaźń, skrupuły. Pan Jezus powiedział do św. Faustyny: *„Najbardziej bolą mnie grzechy nieufności, grzechy ludzi dobrych, którzy Mi nie ufają, nie pokładają we Mnie pełnej nadziei”*.

Dlatego pytania wnoszące w nas nadzieję, niech będą przedmiotem rozmowy z Jezusem i z Bogiem w naszej refleksji rekolekcyjnej. Można też rzucić okiem nie tylko na teksty biblijne, ale także na teksty z dokumentów soborowych. O tym, że wiara wzbudza nadzieję, mówi Konstytucja Dogmatyczna o Kościele, Dekret o Apostolstwie Świeckich, a także inne bardziej szczegółowe dokumenty. Gdy śpiewamy wielki hymn *„Ciebie Boże wychwalamy”*, to na końcu spotykamy piękny werset: *„W Tobie, Panie, zaufałem, nie zawstydzę się na wieki”*. Niech jednym z celów naszych rekolekcji będzie staranie się o bycie coraz bardziej ludźmi nadziei. Amen.

PRZEDMIOT NADZIEI

Wiele miejsca w encyklice papież Benedykt XVI poświęca przedmiotowi chrześcijańskiej nadziei – czego my się spodziewamy? Nazywa chrześcijańską nadzieję nadzieją przyszłego świata. Chciałbym tutaj wspomnieć spotkanie, które miało miejsce na ulicy Pszczyńskiej w Warszawie. Wychodząc z naszego pallotyńskiego domu spotkałem dwoje młodych ludzi. Okazało się, że byli to świadkowie Jehowy, którzy postawili mi pytanie: *„Czy jestem zadowolony z tego świata, z takiego, jakim on jest?”* Oczywiście odpowiedziałem: *„No jakże? Tyle jest zła, trzeba go zmieniać.”* Odpowiedzieli: *„O tak, my to właśnie głosimy!”* Był to tylko wstęp, a potem głosili co innego. Ważne z tego jest to, że nadzieja przyszłego świata towarzyszy niemal każdemu człowiekowi. Wielkie ideologie obiecują lepszy świat, wspanialszy od tego, który jest. Obiecują jakieś tam *„kokosy”*, a niekiedy radykalną zmianę rzeczywistości, np. różnego rodzaju rewolucje. Nadzieja chrześcijańska jest nadzieją, która nie zamyka się w tym świecie - można by powiedzieć - który jest. Nie jest też żadnym konformizmem ze złem. Prawa rządzące światem dla człowieka chrześcijańskiej nadziei nie są nijakiego pochodzenia. Bóg Osobowy, który rządzi światem, do którego człowiek ma się modlić, od którego może wszystko otrzymać – to jest jego Nadzieja. Chrześcijanie to ludzie, którzy nie mają nadziei w tej ziemi, tak jak nie mają tutaj swojej właściwej ojczyzny. Szukają jej w niebie, o czym mówi wspomniany już List do Hebrajczyków, a także List do Filipian św. Pawła.

Społeczeństwo aktualne nie jest zadowalające dla chrześcijan. Pewnego rodzaju niezadowolenie z tego co jest, należy do natury chrześcijańskiego życia. Jest to dążenie do nowego społeczeństwa, nowego świata, nowej ziemi. Stoi za tym nadzieja, której nie tłumaczy ten świat, która go przewyższa swoją doskonałością. Nadziei takiej nie mają ci, którzy nie spotkali Boga. Taka nadzieja przed nimi jest zakryta, jest niedostępna. Nadzieja nowego świata nie jest nadzieją w sensie politycznym. Wła-

śnie to różni nadzieję chrześcijańską od nadziei innego typu, nadziei nowego świata ludzi myślących tylko w sposób naturalistyczny. Jest to nadzieja w sensie duchowym, wewnętrznym. Nawet, gdy stan rzeczy, struktury świata pozostają te same, to świat wewnętrznie może się zmienić. Pan Jezus nie jest Spartakusem, bojownikiem o wolność polityczną. Sam starał się wyeliminować z mentalności swoich uczniów takie myślenie. Nadzieja, o której mówi chrześcijaństwo, jest mocniejsza niż cierpienia niewoli. Jest nadzieją przemiany świata od wewnątrz. Nie tylko zmiany struktur świata są konieczne w każdym ustroju. Świat, gdy nie będzie przemieniony od wewnątrz, nie będzie żył nadzieją chrześcijańską, która niewolnika przemienia w umiłowanego brata. W Kościele wszyscy niezależnie od swego statusu społecznego są braćmi i siostrami. Napelnieni są bowiem tym samym Duchem, siadają przy jednym Stole, są w jednym Domu. Gdy tak nie jest, to tam nie ma pełnego chrześcijaństwa.

Nadzieja, o której mówi Ojciec święty, jest nadzieją poznania pełnej prawdy i pełnego życia. Jezus przychodzi do nas jako droga prowadząca do tego życia i zresztą sam nazywa się *„drogą, prawdą i życiem”*. On sam przeszedł tę drogę, jako Człowiek wszedł do królestwa śmierci, zwyciężył śmierć, powrócił stamtąd i teraz towarzyszy nam i daje nam pewność tej drogi. To nie jest droga, którą my mamy przetrzeć. On już przetał ścieżki, a my możemy iść za Nim. Przedmiotem nadziei jest coś, czego nie znamy. Gdy na przykład ktoś, komu ufamy, nas prowadzi, nie wiemy dokąd nas dokładnie zaprowadzi, czasem sprawia nam niespodziankę. Tak Jezus prowadzi swoich uczniów. Przedmiot tej nadziei nie jest przez nas w pełni doświadczany, zresztą jest powiedziane, że *„ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, co Bóg przygotował tym, którzy Go miłują”*. Można powiedzieć, że przedmiot nadziei jest w pewnym sensie zaskoczeniem, gdyż przerasta nasze wyobrażenia. To, że przedmiot nadziei nie jest doświadczany wielu przyprawia o rozpacz, ale innych mobilizuje do pozytywnych zrywów. Jednym z imion nieznanej rzeczywistości, ku której człowiek zdąża i którą proponuje Bóg, jest życie wieczne. W naszym wyznaniu wiary mówimy *„wierzę w życie wieczne”*. Może za mało się nad tym zatrzymujemy. Nazwa ta bowiem budzi wiele zastrzeżeń we współczesnym świecie. Musimy sobie powiedzieć jasno, jednym z nich jest rozumienie życia wiecznego jako życia, które znamy, a które będzie jedynie przedłużone, które nie będzie miało końca. Wielu lęka się nawet takiego życia, wielu nie chce w ten sposób żyć i dlatego odsuwa takie myślenie od siebie. Wieczność jako ciąg następujących po sobie chwil bez końca – to jakoś nie jest *„strawne”* dla człowieka uwikłanego w doczesność. Zatem studiować, zgłębiać naturę wieczności to jest jedno z naszych wielkich zadań. Być chrześcijaninem to znaczy żyć nadzieją życia wiecznego, to znaczy nie pokładać nadziei w tym życiu i w tym świecie, oczekiwać innego świata. Było to tak żywe u pierwszych chrześcijan, z przepasanymi biodrami i zapalonymi pochodniami chcieli iść przez życie. Chodzić po ziemi, ale mieć oczy utkwione w niebo, oznacza być w czasie, ale iść ku wieczności, mieć ją jako perspektywę. Być w świecie, jakby w łonie matki, aby się z niego narodzić dla nieba. Nic dziwnego, że śmierć Świętych nazywana jest narodzinami dla

nieba (łac.: *dies natalicia Sanctorum* – dzień narodzenia świętych dla nieba). Bardzo często obchodziło się wspomnienie świętego w dniu jego narodzin dla nieba.

Co zatem jest przedmiotem naszej nadziei? Marzenia i oczekiwania ludzkie są różne, ale wszystkie można właściwie sprowadzić do jednego mianownika: żyć pełnią życia. W książce „*Być człowiekiem*” ksiądz Phil Bosmans wykazuje, że żyjemy tylko małym procencikiem naszych możliwości życiowych. Dlatego to życie jest tak mało szczęśliwe. Ewangelisci powiedzieliby mało błogosławione. Tylko przez jakiś czas, lub od czasu do czasu, żyjemy a reszta to jakaś mierna egzystencja. Nadzieja chrześcijańska jest przede wszystkim nadzieją życia, jest dążeniem do życia wiecznego, jest nadzieją spełnienia się Bożych obietnic w naszym życiu. Nadzieja nie pozwala człowiekowi spodziewać się jedynie spełnienia się obietnic ziemskich, tych, które dają ludzie. Obietnic, których często nawet ludzie nie spełniają dlatego, że często nie są w stanie ich spełnić, że po prostu mówią na wyrost. Ta nadzieja dotyczy przede wszystkim życia w pełni szczęśliwego, wiecznego.

Pytamy się więc czym jest nadzieja życia wiecznego? Czym jest wieczność? Czy tego życia naprawdę się spodziewamy? Jest to jedno z ważkich pytań rekolekcyjnych. Odpowiedź mogłaby wypaść niekorzystnie dla nas. Często nie spodziewamy się, żeby to nasze życie miało trwać wiecznie. Za mało jest w nas tego życia wiecznego. Zresztą codzienne życie nie jest częścią życia wiecznego, jest jakimś przelotnym epizodem, jakimś odpryskiem, jakimś może niekiedy innym życiem. Według św. Augustyna my życia wiecznego pragniemy, choć tak naprawdę nie wiemy, czego pragniemy, dlatego wybieramy często jakiś inny rodzaj życia. Wiemy tylko bardzo ogólnikowo, że życie wieczne nie jest podobne do życia doczesnego. Wiemy, że życie takie powinno istnieć, dlatego do niego dążymy. Św. Augustyn nazywał tę naszą wiedzę „*uczoną niewiedzą – docta ignorantia*” (św. Augustyn, Listy 130,28; DSLG, nr 348). Jest to dążenie do życia, które rzeczywiście jest w sferze nadziei, które inspiruje do życia błogosławionego, szczęśliwego. Jedyną podstawą tego dążenia dla człowieka wiary są Boże obietnice, stąd widzimy tutaj wielką współzależność nadziei od wiary. Gdy ta wiara jest słaba, to i nadzieja będzie słaba. Jednak Pan Bóg pokazuje nam w swoim objawieniu, że Jego obietnice spełniają się. Cały Stary i Nowy Testament, to jeden wielki dowód spełniających się obietnic Boga. I to co do kropki, co do joty. A zwłaszcza w Jezusie Chrystusie spełniają się wszystkie obietnice Starego Testamentu. Realizują się też one w życiu chrześcijańskim. W miarę, jak człowiek spełnia warunki prawdziwie chrześcijańskiej nadziei staje się ona obecna w życiu. Właśnie to opisują święci w swoich dziennikach duchowych - jak realizuje się w nich nadzieja chrześcijańskiego życia. Owocem tej nadziei jest pokój, radość, chrześcijański optymizm, odwaga w głoszeniu prawdy, odwaga w obronie sprawiedliwości, prawdziwie wewnętrzna wolność.

Cała historia zbawienia od Abła począwszy, aż do czasów, w których pisany jest List do Hebrajczyków – jak podkreśla Papież Benedykt XVI – potwierdza spełnianie się tego rodzaju nadziei. Nadzieja życia wiecznego jest nadzieją, dla której człowiek może i chce wszystko oddać. Umie pogodzić się z utratą dóbr, które dla niego są na-

wet konieczne i niezbędne, które są podstawą jego utrzymania. Mówi o tym List do Hebrajczyków, w którym św. Paweł pochwała współcierpienie uwięzionych adresatów Listu, którzy z radością przyjęli rabunek ich mienia w czasie prześladowań, mając na uwadze dobra wyższe tj. wiarę. Ona nadała ich życiu nowy fundament, na którym mogli się oprzeć i dzięki temu mogli zrelatywizować swoją ufność pokładaną w dobrach materialnych – uczynić ją mniej ważną. Ta nowa wolność pojawiła się nie tylko w męczeństwie, które jest tak charakterystyczne zwłaszcza dla pierwszych wieków, ale i w całych wiekach w historii chrześcijaństwa, i w wielkich wyrzeczeniach starożytnych mnichów. Tutaj Ojciec święty wspomina ludzi z czasów św. Franciszka, czego on jest szczególnym przykładem, ale i ludzi współczesnych, którzy dla odnowy świata idą drogą np.: życia konsekrowanego, włączając się do ruchów religijnych, pozostawiając troskę o siebie jakby na uboczu. Z ich nadziei nowego świata rodzi się nadzieja wielu ludzi, którzy z nimi się stykają, którym pomagają, którym niosą nadzieję.

Oczywiście nie zawsze i nie wszyscy chcą żyć takim życiem. Tak jest i prawdopodobnie tak będzie do końca świata. Niektórzy nie tylko nie chcą żyć na tym świecie, którzy świadomie podejmują samobójstwo, czy poddają się eutanazji, ale także nie chcą życia wiecznego, bo wyobrażają sobie to życie jako przedłużenie życia ziemskiego w nieskończoność. Dla wielu życie wieczne nie jest atrakcyjne. Powiedziałbym, że niektórzy nawet urządzają sobie anegdoty na temat tego życia wiecznego, że to będzie nudne. Współczesny amerykański filozof Carl Ginet (ur. 1932) w dziele „*Istnienie i wieczność*” pisze, że kategoria wieczności jest dziś w niełasce. Faktycznie myślenie nasze przenikają bardzo mocno kategorie doczesności. Nauka współczesna i wiele kierunków filozoficznych, jak np. egzystencjalizm nie widzą możliwości, żeby coś istniało poza czasem. I z tego powodu a nie ze względu na ateistyczną postawę powiadają, że jeżeli Bóg jest wieczny, to nie istnieje, bo nie ma miejsca w myśleniu tych ludzi na jakikolwiek byt, który byłby wieczny, który nie istniałby w czasie i przestrzeni, a więc w tych kategoriach fizykalnych. Nauka więc w dużym stopniu nie sprzyja myśleniu o wieczności. Przyjmuje, że jest to kategoria wymyślona przez człowieka.

A my obracamy się w sferze nadprzyrodzoności. W czymś, co wybiega poza możliwości konstrukcji myślowych człowieka. Dlatego nasza nadzieja życia wiecznego, jakkolwiek ona by była, nie znajduje wsparcia w otoczeniu. Bywa przez to otoczenie osłabiana i z tego tytułu ledwo kształtuje nasze życie. Kiedyś pytanie o wieczność było pytaniem zasadniczym. Święty Bernard z Clairvaux, kiedy przychodził do klasztoru, postawił sobie pytanie: „*Quid hoc ad aeternitatem?*” - „*Co mi to pomoże do wieczności?*” Patrzył na wartość wszystkich rzeczy pod kątem wieczności. Zresztą nawet poganie, starożytni Rzymianie w zakresie ziemskim ukuli dewizę: „*Quidquid agis, prudenter agas et respice finem*” - „*Cokolwiek czynisz, czyń roztropnie i patrz na koniec*” (maksyma przypisywana Solonowi, a także Owidiuszowi). To jest mądrość – patrzeć na wszystko pod kątem końca. Do czego to prowadzi? Często dla człowieka nie żyjącego nadzieją ten koniec, po prostu to jest rodzaj śmierci, to jest koniec abso-

lutny. Tymczasem, Drodzy, jesteśmy pytani dziś, my tutaj obecni także, ale i wszyscy chrześcijanie byliśmy już zapytani w obrzędzie Chrztu Świętego, właśnie o tę sprawę, która potem „*idzie do szuflady*” – jak to się mówi – „*ad acta*”. „*O co prosisz Kościół Boży?*” – pyta kandydata do Chrztu szafarz tego sakramentu. Odpowiada kandydat do chrztu albo rodzice chrzestni: „*O wiarę.*” „*A co daje ci wiara?*” Odpowiedź – „*Życie wieczne*”. Jak to łatwo się wtedy wymawia, jak łatwo daje się taką odpowiedź. Kto pochylił się nad tą odpowiedzią?

Życie wieczne – wiara jest tu substancją nadziei. Pytanie zasadnicze brzmi: w jakim stopniu naprawdę chrześcijanin, kiedy dorasta i rozwija się, chce tego życia wiecznego? Czy każdego dnia w wieczornym rachunku sumienia pytam siebie: czy ja dzisiaj chciałem życia wiecznego? Czy też miałem swoje nadzieje, które do czegoś prowadzą, ale ostatecznie nie wiadomo do czego. Mieć życie wieczne, to jakby być straconym dla zwykłego życia. Dlatego, że życie to są wybory. To jest wybieranie tego, co prowadzi do życia wiecznego i odrzucania tego, co do niego nie prowadzi. To odróżnienie nadziei, która jest naszym pomysłem ludzkim od nadziei, która jest darem Boga. Pan Bóg chce, abyśmy szli tą drogą, która jest naszym życiem wiecznym. Dlaczego nią nie idziemy? Dlaczego tak słabo idziemy? Dlaczego w takiej nieświadomości jest dla nas ta droga? Dlatego, że nie spełniamy warunków chrześcijańskiej nadziei.

Pod koniec tego rozważania chciałbym zaakcentować właśnie warunki, które sprawiają, że nasza nadzieja może stać się nadzieją chrześcijańską, nadprzyrodzoną boską cnotą. Jednym z nich jest cierpliwość, stałość, wytrwałość. Ponieważ nadzieja co do obietnicy jest niezachwiana, jest po prostu niezawodna – to musi nie być nadzieją chwiejną, niestałą, doraźną obecną tylko dziś, a już jutro nie. W cierpliwości waszej posiadziecie wszystko, dusze wasze – jest powiedziane. Język grecki nazywa to *‘η ‘υπομονή* (hypomone), czyli cierpliwość. Potrzebna jest umiejętność oczekiwania połączonego z cierpliwym znoszeniem prób, które wiążą się z tym oczekiwaniem. To jest warunek dostąpienia obietnicy. Izraelici mówili o umiejętności oczekiwania Boga. Dla nas oznacza to umiejętność skutecznego zwalczania przeciwności, przewycięzania ich, przeżywania ich w obecności Jezusa Chrystusa Zmartwychwstałego.

Drugim warunkiem jest otwarte i uczciwe mówienie prawdy, nawet wtedy, gdy grozi to nie tylko nieprzyjemnością dla nas, ale niebezpieczeństwem utraty wielu dóbr doczesnych. Greckie *‘η ‘υπόστασις* (hypostate) oznacza zdecydowanie, odwagę i odnosi się do osoby, która nie ma wątpliwości, nie uchyla się od otwartego mówienia prawdy, nawet gdy mogłoby to być dla niej niebezpieczne. Wybiera zatem bardzo trudną sytuację dla siebie, nawet taką, która jest dla człowieka życiowo patrząc beznadziejną. Jest to nadzieja wbrew nadziei – można powiedzieć wyraźnie. Nadzieja chrześcijańska tym góruje nad innymi nadziejami. List do Hebrajczyków o takim ukazywaniu prawdy mówi, że tego rodzaju działanie prowadzi do owoców, które przekraczają ludzkie oczekiwania. A przeciwne postępowanie, ukrywanie prawdy z lęku, prowadzi na zatracenie. Według 2 Listu św. Pawła do Tymoteusza zasadniczą

postawą chrześcijanina powinien być nie duch lęku, ale duch mocy, miłości i trzeźwego myślenia. Czyli absolutnemu zaufaniu do Boga powinna towarzyszyć troska o to, co jest przedmiotem nadziei: czuwanie, aby spełnić wolę Bożą; czekanie, które nie



Rekolekcje Ruchu, Kanie Helenowskie 2010

jest bezczynnością, które jest zapracowaniem się dla Boga, żeby być doskonałym narzędziem w Jego ręku. Jeżeli czemuś ufam, to mogę traktować siebie jako tego, który nie jest przyczyną wykonania, ale jest warunkiem. Bóg da wszystko, jeżeli ja dam wszystko od siebie, co mogę. A więc w sumie dochodzimy do takiego momentu, kiedy uświadamiamy sobie potrzebę troski o naszą nadzieję, aby ona była prawdziwie nadzieją życia wiecznego. Nadzieja, jak każda cnota, podlega rozwojowi, ma charakter dynamiczny. Może być większa lub mniejsza, tak jak wiara. Jezus często ganił uczniów za to, że byli małej wiary. Można powiedzieć, że byli też małej nadziei. W momencie, kiedy Jezus wzywa ich: „Ufajcie!” – znaczy to, że wzywa ich do na-

dziei. Ufność jest ściśle związana z nadzieją, jest wyrazem tej nadziei. Cnota nadziei podlega rozwojowi. Jeżeli się nie rozwija, to zanika, upada. Człowiek traci wspaniały dar, który otrzymał. Marnuje ten dar. Ucieka w jakiś tchórzliwy zakamarek życia, który nie jest po drodze do życia wiecznego.

Mam nadzieję, że czas tych rekolekcji jest też owocowaniem w dobrym kierunku. To, cośmy sobie uświadomili na samym początku, że w zależności od tego, jak spełniamy warunek nadziei, nadzieja w nas się realizuje. I dlatego myślę, że w czasie adoracji, która teraz nastąpi, zechcemy powierzyć Jezusowi nasze nadzieje. Przede wszystkim będziemy Go prosić, aby ukształtował w nas nadzieję, dzięki której On

może wszystko nam dać. Wszystko to, co chciałby nam dać. Kiedyś skarżył się do św. siostry Faustyny, że za mało Mu ufamy. Powiada, że gdybyśmy Mu ufali, więcej byśmy otrzymali. A gdyby ufność nasza była w nieskończoność, nie byłoby granic w tym, co moglibyśmy otrzymać. Dlatego na końcu naszej koronki do Miłosierdzia Bożego mówimy Mu: „Jezu ufam Tobie”. Amen.

NADZIEJA A INDYWIDUALIZM

Spróbujmy sobie uświadomić, że to co jest cenne, a nawet bezcenne może być zagrożone. Próbuje się ten skarb czasem imitować, podrabiać a nawet fałszować. Dotyczy to chrześcijańskiej nadziei. Co się wtedy dzieje? Zamiast cnoty, pięknej cnoty chrześcijańskiej, otrzymujemy jej pozory. Otrzymujemy fałszyfikat cnoty udawanej i nieprawdziwej. Tak może się stać z nadzieją kiedy dotyka ją rys indywidualizmu.

Mówi o tym papież Benedykt XVI w swojej encyklice „*Spe Salvi*”. Dzieje się tak, gdy zaczyna nas zadawała nadzieja własnego zbawienia. Nadzieja owszem - życia wiecznego, ale tylko dla siebie a nie dla innych. Bez myślenia o drugich możemy myśleć tylko o sobie także w perspektywie zbawienia wiecznego. W związku z tym Benedykt XVI stawia pytanie: czy moja nadzieja dotyczy tylko własnego indywidualnego zbawienia, bez zainteresowania się zbawieniem i szczęściem drugih ludzi? Jest to pytanie bardzo zasadnicze: czy można radować się samemu, gdy inni cierpią, lub idą złą drogą?

Papież zauważa, że to podejrzenie leży u podstaw krytyki chrześcijaństwa zwłaszcza w czasach nowożytnych. Chciałbym bardzo mocno zwrócić na to uwagę, bo to jest moment o kolosalnym znaczeniu w ogóle, a także dla losów chrześcijaństwa. To właśnie w tych czasach zinterpretowano nadzieję chrześcijańską w duchu indywidualizmu. Co to znaczy rozumieć nadzieję indywidualistycznie? Ponieważ grozi to każdemu, proszę sobie to dokładnie uświadomić. Znaczy to tyle, co sądzić, że jest to nadzieja, która nie interesuje się tym, czy inni również mają nadzieję. Byle ja bym miał nadzieję. Ja mam gwarancję, a inni mogą jej nie mieć. Interesuję się jedynie własnym zbawieniem. Nawet niektóre wezwania w misjach ludowych brzmiały: „*ratuj swoją duszę*”. Każdy ma się uratować od tego złego świata, a świat niech się zawali.

Ojciec święty zauważa, że zbawienie nie zawsze było rozumiane jako rzeczywistość wspólnotowa. Wspomniany w rozdziale czwartym encykliki List do Hebrajczyków mówi wyraźnie o wspólnotowym charakterze zbawienia. Również w pierwotnej tradycji Kościoła, nasi Ojcowie traktują grzech jako rozbitcie jedności rodzaju ludzkiego, wieżę Babel jako miejsce pomieszania języków i obraz tego co jest korzeniem wszelkiego grzechu. Natomiast odkupienie uważają za przywrócenie prawdziwej jedności we wspólnocie wierzących, która jest jednością z ludem. Jest w tym obecne „*my*”, które zakłada wyjście z „*ja*”, niezatrzymywanie się na „*ja*”.

Później problem ten podjął wielki doktor Kościoła św. Augustyn (354-430), kiedy się zastanawiał nad istotą szczęścia człowieka. Kiedy człowiek jest szczęśliwy? Czy

może być szczęśliwy sam? Czy też do szczęścia potrzeba, aby był szczęśliwy z drugimi? Co to znaczy „życie szczęśliwe”, „błogosławione”? Pisał o tym w liście do bogatej wdowy rzymskiej Proby. Zauważa on, że zgodnie ze słowami Psalmu 144: „*szczęśliwy lud, którego Bogiem jest Pan*”, aby być szczęśliwym trzeba należeć do ludu. Trzeba być szczęśliwym z drugimi. Trzeba spełnić warunki o których mówi św. Paweł w swoim Pierwszym Liście do Tymoteusza, do których należą m. in. miłość płynąca z czystego serca, dobre sumienie i wiara nieobłudna, jak on to określił.

Próba realizacji właśnie tej wizji szczęścia i tej nadziei były klasztory. Życie klasztorne obserwowane jedynie od zewnątrz, było mylnie pojmowane jako ucieczka od świata, jako zamknięcie się. „*Fuga mundi*” (oderwanie od świata), jak mówiono po łacinie. Dziś na to Kościół zwraca uwagę, że w zasadzie nigdy nie chodziło w życiu klasztornym tylko o to, aby stworzyć bardzo partykularną wspólnotę. Odgradzano się od świata, ale to odgrodzenie od świata symbolizuje odgrodzenie od świata zła, o którym mówi Pismo święte. Odgrodzenie od świata było po to, aby wyjść do tego świata i ten świat ratować. Jedni szli na pustynię, a drudzy potem do nich przychodzili i tam doznawali nawrócenia. W naszych czasach sługa boży, Jan Paweł II zwracał uwagę, że klasztory powinny być azylem dla człowieka często zagubionego, aby się w nich odnalazł w prawdziwym życiu. W okresie wędrówki ludów, kiedy Benedykt zakładał swoje klasztory, również chodziło o pewną stabilizację. O to, aby znaleźć grunt pod nogami, aby pokazać na czym można stać, żeby zażegnać rozbieżności istniejące wśród ludzi i żeby już tu stworzyć wspólnotę między ludźmi i tę wspólnotę potem rozwijać. Widoczne jest to w klasztorach Średniowiecza, którym niekiedy przypisuje się uchylenie się od odpowiedzialności za świat. Twierdzi się, że poszukiwano w nich jedynie własnego zbawienia. Tymczasem wielki reprezentant Średniowiecza, św. Bernard z Clairvaux (1091-1153) głosił obowiązek zakonników wobec całego Kościoła i wobec świata. Pseudo-Rufin (IV/V w.) mówił, że: „*rodzaj ludzki żyje dzięki nielicznym, właśnie tym, którzy znaleźli grunt w jedności*”. Gdyby ich nie było świat przestałby istnieć.

Na przestrzeni dziejów pojawiało się wiele takich wypowiedzi, że ze względu na dziesięciu sprawiedliwych Bóg ratuje świat od zagłady. Zakonnicy, a więc ci, którzy mają powołanie do kontemplacji, są i byli pracownikami, którzy uprawiają ziemię, kształtują ducha, przygotowują nowy raj, który daje chleb dla duszy i dla ciała. Tradycja Kościoła po prostu pokazuje, że zbawienie dokonuje się w procesie tworzenia wspólnoty z ludźmi. Polega na poszukiwaniu tych, którzy zginęli. Ewangelia pokazuje, że Jezus przyszedł szukać tych, którzy zginęli. Uczył, że należy pozostawić dziećmi i młodzieżą, aby szukać jednej, aby wspólnota była cała.

Nadzieja prawdziwie chrześcijańska jest nadzieją z drugimi. Chcę to określić dokładniej w tym rozważaniu. W tej sprawie, w dobie Soboru Watykańskiego II, a więc już w XX wieku, interweniował wielki teolog, Henri de Lubac (1896-1991). Został on potem jako ksiądz mianowany kardynałem, co należy do pewnych wyjątków. Z pewnością niektórzy czytali jego dzieła. W swoim głównym dziele „*Catholicisme. Aspects sociaux du dogme*” (*Katolicyzm a aspekty społeczne dogmatu*) stawia tezy i od razu

daje na nie odpowiedzi. Pisze on: „Znalazłem radość? Nie! Znalazłem tylko moją radość. A to jest rzeczą w przerażający sposób odmienną. Radość Jezusa może być indywidualna. Może napęłnić jedną osobę, i ta osoba jest zbawiona. Żyje w pokoju [...], teraz i na zawsze, ale tylko ona. Ta samotność w radości nie przeszkadza jej. Przeciwnie: właśnie ona jest wybrana! Cała szczęśliwa idzie przez pole walki z różą w ręku.” A potem w swojej refleksji de Lubac pisze, że nie na tym polega życie wieczne, aby samemu być zbawionym. Samemu się cieszyć. Samemu żyć tym życiem.

Niestety w czasach nowożytnych dokonała się przedziwna przemiana w rozumieniu chrześcijańskiej nadziei. Stało się to pod wpływem jej indywidualistycznego charakteru, albo powiedziałbym ściślej: indywidualistycznej interpretacji nadziei chrześcijańskiej. Źródłem tego przełomu było przypuszczenie, że posłanie Jezusa skierowane jest tylko do jednostki. Czyli ma charakter indywidualistyczny. Charakterystyczny dla tej przemiany stał się brak odpowiedzialności za drugiego człowieka i egoistyczne poszukiwanie zbawienia. Chciałbym tu wtrącić uwagę, że po raz pierwszy oficjalnie w dokumentach kościelnych o powołaniu do apostołstwa wszystkich członków Kościoła mówi dopiero Sobór Watykański II. Nie zdajemy sobie sprawy z faktu, że jakkolwiek były w przeszłości takie osoby jak choćby św. Wincenty Pallotti (1795-1850) w XIX w. oraz błogosławiony Fryderyk Ozanam (1813-1853), którzy przypominali, że wszyscy są odpowiedzialni, to jednak piętno indywidualizmu ciążyło nad Kościołem. Indywidualizm jest jednym ze źródeł sekularyzacji, która rozpoczęła się w dziewiętnastym wieku.

Drugim źródłem, na które bardzo chciałbym zwrócić uwagę, odejścia od chrześcijańskiej nadziei w czasach nowożytnych, było zastąpienie wiary w Boga wiarą w postęp naukowy. Nikt nie może zaprzeczyć temu, że czasy nowożytne są okresem znacznego rozwoju nauki i techniki. W wyniku tego uwierzono, że utracone w raju, z powodu grzechu, panowanie człowieka nad światem i nad stworzeniem, może być przywrócone przez rozwój nauki i techniki. W wielu umysłach ludzkich dokonało się przewartościowanie wiary w Boga na wiarę w postęp. Towarzyszył temu ogromny optymizm, można powiedzieć - jakaś inna nowa nadzieja. Chrześcijańska nadzieja w czasach nowożytnych nie jest już kierowana do Jezusa Chrystusa. Mówię globalnie. Oczywiście, to nie dotyczy nigdy wszystkich. Mówię o tendencjach zasadniczych. Jest to nadzieja, która poszukuje raju ziemskiego. Charakterystyczne, że jest to poszukiwanie raju ziemskiego, które obiecuje powrót do raju.

Różnego rodzaju ideologie i utopie, łącznie z marksizmem, wyraźnie mówią o potrzebie zbudowania raju na ziemi. Raj ma być przywrócony przez naukę. Stąd jedyny słuszny światopogląd to światopogląd naukowy. Przynajmniej w moich czasach szkolnych tak mnie uczono. Światopoglądem takim miał być marksizm, z którym ściśle wiązała się praktyka. Od czasów nowożytnych wiara staje się domeną prywatną i pozaziemską, niezwiązaną z tym światem i z naszym życiem, czyli nie dotyczącą życia człowieka. Czy ten los podziela także chrześcijańska nadzieja? Jej kryzys, który wtedy został zapoczątkowany, ogólnie mówiąc w świecie trwa do dnia dzisiejszego. Zmieniają się adresaci, do których człowiek kieruje swoje oczekiwania. Zamiast od

Boga, od wiary w Jezusa, człowiek oczekuje odkupienia i odzyskania utraconego raju od nowo odkrytego związku nauki z praktyką. Wiarę przesuwa on na plan dalszy, prywatny, pozaziemski, nieistotny dla tego świata. Wiąże się to ściśle z kryzysem nadziei. Nowy rodzaj nadziei otrzymuje miano wiary w postęp. Wierzy się, że dzięki nauce dojdzie do odkryć, z których wyłoni się zupełnie nowy świat, królestwo człowieka. (...) Ideologia „nowego świata” była powielana. Wydawało się na początku, że technika pójdzie w kierunku ratowania człowieka i jego wygody. Wszystko będzie. Przypominam sobie, że mówiono, że w ogóle nie trzeba będzie niczego gotować. Człowiek łyknie tabletkę i będzie miał smaki różnych obiadów, różnych smakołyków za jednym zamachem. Nie będzie musiał pracować. Warto tu dodać, że to nieszczerne myślenie zapoczątkował Francis Bacon (1561-1626). W teorii poznania uchodzi on za głównego przedstawiciela empiryzmu. Rzadko się jednak mówi o tym, czego on dokonał w mentalności nowożytnej. W stosunku do spraw wiary nie jest on do pominięcia. Ten myśliciel stawiał sprawę wyraźnie i to właśnie on w sferze pojęć zamienił chrześcijańską nadzieję na całkiem inną nadzieję. Tę inną nadzieję nazywał różnie: wiarą w postęp, oczekiwaniem, że świat zamieni się w raj za sprawą odkryć i wynalazków naukowych. W tej zaś wierze w postęp coraz większą rolę odgrywać ma rozum i wolność.

Rozum i wolność są to kategorie nowożytne. Jest w nich obecna nadzieja, ale oznacza ona oczekiwanie na królestwo rozumu i całkowicie wolnej ludzkości. Polega ona na prostej wierze w dobroć i niezawodność rozumu ludzkiego. I w niezawodność i dobroć ludzkiej wolności. Przyjmuje się, że to co człowiek w wolności swojej spełni, to zawsze będzie świetne i wspaniałe. W tym ujęciu sugeruje się wyzbycie jakichkolwiek ograniczeń dla rozumu. Potem oznaczało to „*sapere aude*” - „*miej odwagę posługiwać się własną mądrością*”, dewiza Horacego (65-8 p. Ch., którą E. Kant (1724-1804) uczynił dewizą Oświecenia oraz hasła Rewolucji Francuskiej wolności, braterstwa i równości. A także sprzeciwu wobec obowiązku nakładanego przez Kościół lub państwo. Wolność oznacza w tym ujęciu pełne nieskrępowanie w działaniu. Dziś nazwalibyśmy to raczej dobrowolnością albo nawet samowolą.

Tego typu nadzieja znajdowała swój wyraz przede wszystkim w różnych rewolucjach. Pierwszą była Rewolucja Francuska (1789-1799). Została ona przyjęta w całej Europie entuzjastycznie. Ze względu na głoszone przez nią hasła Emanuel Kant powitał ją jako „*stopniowe przejście od wiary kościelnej ku wyłącznemu panowaniu czystej wiary religijnej*”. Przy czym czysta wiara religijna rozumiana była przez niego jako wiara rozumowa. Nie wiara, która jest łaską, tylko wiara w rozum. Odchodzenie od nadziei chrześcijańskiej ma zatem swoje konkretne globalne przyczyny w świecie. Pierwszy etap to Rewolucja Francuska, jako próba ustanowienia panowania rozumu i wolności. Również w sensie politycznym. Charakterystyczne dla tego etapu są dwa dzieła Emanuela Kanta. Jedno nosi tytuł: „*Zwycięstwo dobrego pryncypium nad złym i ustanowienie królestwa Bożego na ziemi*”. Tytuł bardzo pobożny, w którym stwierdza on, że stopniowe przejście od wiary do panowania rozumu stanowi przybliżenie się do Królestwa Bożego i podkreśla, że rewolucje mogą ten proces przyspieszyć. Króle-

stwo Boże pojawia się według niego tam, gdzie się wychodzi poza wiarę. Kant był jednym z głównych ideologów rewolucji. O tym nie piszą specjalnie podręczniki. Trzeba czytać jego dzieła.

Po omówionym wieku XVIII nastał wiek XIX, w którym wiara w postęp nie osłabła. Znalazła swoje ujście między innymi w marksizmie. Wytworzyła się nowa sytuacja społeczna. Rozwój techniki i uprzemysłowienia doprowadził do powstania klasy robotników przemysłowych, to znaczy proletariatu, żyjących w dramatycznie złych warunkach, co opisuje zresztą Fryderyk Engels (1820-1895). Wymagało to radykalnych zmian i po rewolucji XVIII. wiecznej, tak zwanej burżuazyjnej, pod koniec XVIII wieku przychodzi czas na tak zwaną rewolucję proletariatu. Program tej rewolucji przygotowuje Karol Marks (1818-1883). Kolejna rewolucja jest nie tylko krytyką teologii, ale także krytyką polityki i państwa. Gwarancją postępu staje się już nie nauka ale polityka. Charakterystyczne jest, że pozostaje wiara w postęp, ale przekonano się już, że nauka nie daje tego czego się po niej spodziewano. Trzeba przyspieszyć politycznie bieg wypadków. Trzeba jak gdyby wyrwać te sukcesy, które gdzieś się kryją, a które nauka może nawet spowolnić. I tą drogą zaprojektować postęp teoretycznie. Jak wiemy dokonał tego Karol Marks. Dzisiaj mniej się mówi o marksizmie. System ten się skończył, ale powinno się wiedzieć, co on zrobił. Co jest przyczyną tego, że świat jest dziś taki, a nie inny. Benedykt XVI dokładnie opisuje w encyklice te sprawy.

W wieku XIX trwało przekonanie, że rozum i wolność, to droga nadziei i postępu. To tkwi także w tak zwanym scjentyzmie dzisiejszym. Prawda teraz stawia na naukę. Zaczyna się po prostu ratowanie rozumu i wolności, w różny sposób. Z niewoli przechodzimy w dążenie do wolności. Z wolności w nowe formy niewoli, i tak dalej. Był to oczywisty błąd Marksa. Bardzo precyzyjnie wskazał, jak dokonać przewrotu, ale nie powiedział, jak sprawy się potoczą dalej. Rewolucja, która przelewała krew, dokonywała ogromnych okrucieństw, często była też źródłem spustoszenia ekonomicznego. Po prostu nie wiadomo było co robić potem. Była to idea rzucona w pustkę. Czysta obietnica. Pamiętamy ogromny głód panujący w Rosji po rewolucji bolszewickiej. Takim okazało się to nowe Jeruzalem, o którym wciąż mówiono w różnych obietnicach. Królestwo Boże, w którym wszystko miało należeć do wszystkich - komunizm właśnie na tym miał polegać. Uczono mnie tego w szkole. Miał to być ostatni najwspanialszy etap rozwoju ludzkości. Że był to błędny kierunek, zauważył nawet Lenin (1870-1924), ale już po rewolucji. Za późno. Miało być zniesienie państwa, zniesienie władzy, pełna wolność, a tymczasem wszystko szło jak najdalej w innym kierunku. Marks głosił, że aby się utrzymać przy władzy potrzebna jest dyktatura. Mordowano wszystkich przeciwników. Nawet najbliższych towarzyszy. Marks zapomniał o człowieku i jego rzeczywistej wolności. O tym, że człowiekiem nie da się sterować i że z natury swojej człowiek często nie idzie w dobrym kierunku. Człowiek to nie tylko produkt warunków ekonomicznych, jak się wydawało i jak nakazywał materializm. Nie przewidywano, co może nastąpić po takiej rewolucji. Uważano, że pozbawienie władzy klasy panującej automatycznie zapoczątkuje nowe

Jeruzalem. Również Polsce po II wojnie światowej, przypominam sobie ten czas, likwidowano obszarników. Kto miał za dużo ziemi ten musiał się podzielić, bo inaczej groziło mu więzienie.

Czas pokazał jak nieużyteczne i szkodliwe dla człowieka było zastępowanie chrześcijańskiej nadziei wiarą w postęp. Można wskazywać punkty, tej drogi do nikąd. Te ludzkie mrzonki. Marks i marksizm nazwały mrzonką nadzieję chrześcijańską spełnianą gdzieś tam w zaświatach. Okazało się jednak, że prawdziwą mrzonką była to, że człowiek o własnych siłach zbuduje raj na ziemi. Jest to prawdziwa utopia. Dlatego trzeba chronić autentyczność nadziei chrześcijańskiej. Pokazywać czym ona jest. Mówię o niej w tym kontekście, że w praktyce chrześcijan stała się ona indywidualistyczna. Marksizm właśnie dlatego mógł odwołać się do haseł społecznych i zbudować pojęcie socjalizmu. Idei w zasadzie dobrej. Doprowadziło do tego zaniebdanie aspektów społecznych dogmatu, które nastąpiło w określonym okresie tradycji Kościoła. Nie chciałbym wdawać się w dalsze szczegóły problemu indywidualistycznej nadziei, bo te są dokładnie opisane w encyklice.

W tym momencie chciałbym zauważyć, że nadzieja nieegoistyczna akcentowana jest także przez uczestników Ruchu „*Maitri*”. Dobrze jest, żebyśmy wiedzieli, po której stronie jesteśmy, gdy podkreślamy odpowiedzialność za drugich. Mamy poczucie odpowiedzialności za świat nędzy, za potrzeby naszych Braci i Sióstr, nie tylko w kraju, nie tylko w Europie, ale i na innych kontynentach. Poczucie odpowiedzialności za tych, którzy cierpią nędzę, cierpią głód, są zagrożeni cielesnie i duchowo. To jest wejście w społeczny charakter chrześcijańskiej nadziei. Do charyzmatów przecież Ruchu należy niemożność bycia szczęśliwym, gdy ma się świadomość, że tyle ludzi nie ma tego szczęścia. Taka była świadomość Jezusa Chrystusa, gdy przychodził na świat. To była świadomość świętych, którzy podejmowali różnego rodzaju inicjatywy w tym kierunku. To jest świadomość błogosławionej Matki Teresy z Kalkuty. To nie jest nic innego, jak podkreślenie, że nadzieja chrześcijańska nie może być indywidualistyczna. Papież podkreśla: nadzieja nie może być egoistyczna czy egotyczna. Powinna wyrażać się w solidarności z najbardziej biednymi. Wzywanie do tej solidarności, to jest jej szerzenie i upowszechnianie. Jest to orędzie ewangeliczne, które myślę, powinno być częścią aktywności Ruchu Solidarności z Ubogimi Trzeciego Świata.

W związku z tematem poddaję pod refleksję rekolekcyjną każdemu z nas pytanie: Czy nie jest czasem tak, że moja nadzieja szczęścia i życia wiecznego, która wyłania się z moich modlitw, nie ma na sobie piętna indywidualistycznego „ja”? Musimy zwracać uwagę sami sobie, że nie ma szczęścia osobistego bez szczęścia z drugimi. Nie jest najważniejsze, moje szczęście, szczęście mojej wspólnoty. To nie jest nadzieja chrześcijańska. Bóg chce, aby wszyscy byli zbawieni, jak pisze św. Paweł w jednym ze swoich listów - żeby wszyscy byli szczęśliwi i błogosławieni. Nadzieją każdego z nas powinno być w miarę możliwości, doprowadzenie do szczęścia tych wszystkich, na których mam wpływ, których może osiągnąć moja jakakolwiek inicjatywa. Czy jestem w stanie swoim szczęściem i radością dzielić się z drugim? Może za mało jest

tęgo w kontaktach? Przeżywam szczęście i radość, niech w tym szczęściu też uczestniczą inni, żeby oni podobnie się radowali, jak ja. Z każdym, kto jest smutny i tej radości nie ma, powinienem dążyć w miarę możliwości do kontaktu tego typu. Co robię w tym kierunku? W ramach oczywiście moich możliwości. Czasem sięgamy daleko, tam gdzie sięgnąć nie możemy. Potrzeba więcej modlitwy. Są inni, bliżej nas, do których możemy sięgnąć. To, co tak zaakcentowała kiedyś w swojej wypowiedzi błogosławiona Matka Teresa – Trzeci Świat jest w Europie. Trzeci Świat jest w Warszawie. Mówiła to tu w Warszawie na jednej z uroczystości konsekracji przez jej siostry. Dlatego z Indii i nie tylko stamtąd, siostry wyruszają w różne zakątki świata. Udają się do wielkich metropolii, które zdawałoby się, są symbolami ludzi bogatych, a gdzie panuje też wielka nędza i to często większa niż gdzie indziej. Zwłaszcza nędza duchowa.

Każdy z nas musi więc stawiać sobie pytanie: czy zamiast nadziei, która wyrasta z wiary, nie stawiam czasem też na inne nadzieje? Czy nie kuszą mnie różne ludzkie nadzieje? Zwłaszcza to, że w sposób jakiś organizacyjny i techniczny załatwi się różne sprawy. Bywa tak, jak się tak niekiedy bliżej przypatrzeć akcjom niektórym charytatywnym, że to jest próba działania bez zaangażowania osobistego i osobistego kontaktu. Po prostu rzeczowo i w sposób rozpracowany naukowo, ale bez osobistego kontaktu. Owszem, nauka powinna służyć nadziei ale jej nie zastępować. Nie zastępować tej nadziei, którą niesie człowiek, który pokłada nadzieję w Bogu i uczy tej nadziei także tych do których idzie. Czy nie kusi mnie świat swoimi nadziejami? Próbą zbudowania rajy ziemskiego przy rezygnacji z liczenia na Boga i stawianiu całkowicie na ludzki rozum, wolność?

Cóż te wszystkie próby podejmowane w historii przyniosły człowiekowi? Patrząc krytycznie – dość opłakane konsekwencje. Każdy z nas może się też o tym przekonać, kiedy wchodzi na tę drogę, kiedy w pewnym momencie życia staje nad gruzami swojej własnej aktywności. Pytamy wtedy: po co było to wszystko? Bo to wszystko, co nie jest z Boga, to się w gruzy obraca. Próżno człowiek buduje. Śpiewamy nawet w nieszpórach: „*Gdy nie buduje Bóg*”. Jan Paweł II nazwał to paradoksalnie próbą zbudowania Bogu królestwa bez Boga. Takie pytania stawiamy sobie w ramach naszej dzisiejszej refleksji, a ponieważ jest ktoś, kto nazywa się Matką Nadziei to do Niej teraz zanieśmy prośbę odmawiając „*Zdrowaś Maryjo*”. Matko Nadziei módl się za nami. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

NADZIEJA A POSTĘP, ROZUM I WOLNOŚĆ

W tym rozważaniu chciałbym podkreślić, że papież Benedykt XVI w kontekście nadziei ostrzega, żeby nie popaść w drugą skrajność, kolejne niebezpieczeństwo, które polega na tym, że odrzuca się postęp naukowy i techniczny. Tęgo Kościół nie czyni nigdy. Czy odrzuca wolę rozumu lub wolność? Przeciwnie, papież akcentuje bardzo mocno, że należy unikać w życiu wszelkich działań nierozumnych. A wszelkie zniewolenia nie odpowiadają linii życia chrześcijańskiego. Ojciec święty w encyklice

zaznacza, że błędem jest próba zastąpienia chrześcijańskiej nadziei wiarą w postęp naukowy i techniczny. Nie przekreśla to jednak postępu naukowego, gdy zaprzęgnięty jest on w służbę człowieka. Bo taka jest hierarchia wartości. Przedmiotem krytyki jest traktowanie postępu jako jedyne, najważniejszego środka zaprowadzenia Królestwa Bożego na ziemi. Przedmiotem krytyki jest również niejeden owoc tego postępu, ponieważ są owoce postępu, które nie są korzystne dla człowieka. Tego rodzaju krytyka postępu naukowego i technicznego zaczęła się już na dobre w XIX wieku. W wieku XX niemiecki filozof Teodor Adorno (1903-1969) wyraził tę krytykę w sposób szczególnie mocny, kiedy poruszył umysłami wierzących w postęp mówiąc, że sprowadza się on do postępu od procy do mega bomby. Według niego postęp oferuje nowe możliwości dobra, ale i daleko idące możliwości zła, które przedtem w ogóle nie istniały. Wszystko zależy od tego w czyich rękach są te możliwości, w jakich umysłach i w jakich sercach. Postęp jest w encyklice wyraźnie terminem dwuznacznym. Jest ofertą nowych możliwości, ale i daleko idącymi nowymi możliwościami zła, które przedtem nie istniały. Tak się dzieje, gdy z postępem technicznym nie idzie w parze postęp duchowy. Wtedy postęp można nazwać z punktu widzenia życia chrześcijańskiego pseudo-postępem.

To samo powiada Benedykt XVI na temat rozumu i ludzkiej wolności. Rozum to wielki dar Boga. Dzięki niemu odrzucamy wszystko, co jest nierozumne w życiu ludzkim. Powstaje jednak pytanie o jaki rozum chodzi? Już Kant rozróżnił w swoich dziełach rozum teoretyczny i rozum praktyczny. Jednemu przyznawał kompetencje, drugiemu ich odmawiał. Czy chodzi o rozum, który jest odbiciem rozumu Boga? Czy o rozum powiedzielibyśmy rozwichrzony? Niepoukładany? Krytykujący nawet fundamentalną logikę? Który z rozumem Boga się w ogóle nie liczy? Są prawdy, do których człowiek własnym rozumem nie dochodzi. Jeżeli rozum ludzki uważa, że on posiadał wszelkie prawdy, jak to się mówi posiadał ten rozum – wszelkie rozумы, to jest to błąd.

Tak samo gdy chodzi o wolność. Wolność jest ogromnym darem Boga. Żadna z istot ludzkich, istot żywych na ziemi, nie cieszy się taką wolnością jak człowiek. Wolność ta jednak domaga się zharmonizowania z innymi wolnościami. Z wolnościami innych osób ludzkich, ale i z wolnością Boga. Bez tego wolność nie jest wolnością, ale jest dowolnością i samowolą. Chrześcijańska nadzieja postuluje rewizję pojęć: wolność, rozum i postęp. Rozum nie może zapominać gdzie są jego źródła. Dzięki czemu i komu jest on rozumem. Powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje z rozumem, gdy te korzenie są odcięte. Prostym przykładem może być chociażby zniszczenie komórek mózgu odpowiedzialnych za myślenie i rozumowanie człowieka. Nawet odcięcie biologiczne już sprawia, że człowiek nie może myśleć. Odcięcie biologiczne od korzeni nie jest jedynym możliwym odcięciem. Częstszym jest odcinanie się człowieka od samego Twórcy tego mózgu i warunków jego funkcjonowania. Wtedy fizjologicznie zdrowy mózg nie ma światła, nie ma właściwego rozeznania dobra i zła. Zaciera się w nim ta różnica.

Podobnie wolność oderwana od prawdy i dobra przestaje być wolnością. Gwarrantcją wolności jest poruszanie się w obrębie prawdy, w obrębie jej światła. A to ostatecznie jest możliwe, gdy prawda zakorzeniona jest w Bogu. Tak więc nadzieja chrześcijańska domaga się skorygowania podstawowych pojęć, którym się dzisiaj szafuje często bezmyślnie i ustawienia tych pojęć w hierarchii - na ile one służą człowiekowi. Na ile one mogą jeszcze rozbudzać i rozwijać chrześcijańską nadzieję. Jest to ciekawe studium. Rozmyślanie na ten temat można przeprowadzać wielokrotnie. Podobnie jak korygowanie idei postępu. W naszym życiu chrześcijańskim często pytamy się czy dokonuje się w nas postęp duchowy. Czy na przykład jest postęp w modlitwie? Czy też zatrzymaliśmy się na jakimś etapie wstępnym? Inny przykład: wiedza wielu chrześcijan zatrzymuje się gdzieś na etapie dziecięcej nauki katechizmu. Tak może być z każdym w każdej dziedzinie. Tak może być również w dziedzinie duchowej, moralnej, religijnej.

Jeżeli chrześcijanin nie pokłada ostatecznej nadziei w postępie materialnym lub technicznym, to na pewno stawia na postęp duchowy. O tym trzeba mówić. A jeżeli byśmy postawili sprawę tak, że odcinamy się od postępu w ogóle, to byłby to absurd. Te dwa rodzaje postępu jednak różnią się w sposób zasadniczy. Pierwszy jest postępem sumarycznym. Dlaczego? Dlatego, że każde pokolenie wnosi nowe wynalazki, nowe odkrycia i one są skarbcem następnych pokoleń. Następuje coraz większe poznanie materii, coraz większe jej opanowanie. Ten drugi postęp nie ma takiego charakteru. Tu zdobycze dawnych pokoleń nie są stopniem do dalszych odkryć w zakresie życia duchowego. Tutaj ludzie wciąż na nowo rozpoczynają od początku. Ustosunkowują się propozycji zastanych. Dlatego jest sens wracania do początku chrześcijaństwa. W życiu duchowym każde pokolenie ludzkie jest nowym początkiem. Owszem, może ono czerpać z doświadczeń poprzedniego pokolenia, ale może też te doświadczenia odrzucić. Spuściznę moralno-duchową poprzedniego pokolenia może nawet przekreślić. Niestety, obietnice lepszego świata, które wiążą się z postępem materialnym nie uwzględniają tej różnicy. Są więc one po prostu propozycją, która jest nie do zrealizowania. Są złudzeniem, tych którzy chcieliby postęp materialny przerzucić na dziedzinę duchową. Według Benedykta XVI postęp sumaryczny możliwy jest tylko w zakresie materialnym. Zdobycze bowiem techniczne umożliwiają dalsze wynalazki, jak tego przykładem jest historia. Coraz większe panowanie nad przyrodą. Takiego postępu nie ma w sferze moralności. Zresztą wielokrotnie, w różnych kontekstach stawiano pytanie: czy ludzkość postępuje w dziedzinie moralnej? Czy jest coraz lepsza? Nie ma odpowiedzi, że tak. Zawsze można odrzucić cały dorobek historii, ponieważ człowiek wybiera bez przerwy. W tej dziedzinie wybiera od nowa.

Różnica między postępem materialnym a postępem duchowym czasem się zaciera, bo w niektórych dziedzinach materialnych to, co się nazywa postępem, nie jest nim rzeczywiście. Konkretnie rozwiązania techniczne w dziedzinie życia codziennego często oznaczają zamianę lepszego na gorsze. Możemy też to powiedzieć czasem o żywności lub o ubiorze.

Według papieża, ponieważ człowiek jest wolny, nigdy na świecie nie zaistnieje definitywnie ugruntowane królestwo dobra. Jest to niesamowite stwierdzenie tej encykliki. Obietnica lepszego świata jest obietnicą fałszywą. W pewnym sensie kłóci się to z naszą intuicją. Gdy mówimy o jednej owczarni, o jednym pasterzu, gdy mówimy o pojednaniu, o jedności rodzaju ludzkiego, wydaje się nam, że jednak przyświeca nam nadzieja lepszego świata. Nawet powstał ruch kościelny, o nazwie „*mondo migliore*”. Papież jednak mówi, że założenie na ziemi swego rodzaju raju jest po prostu niemożliwe. Z tym, że podkreśla on, że człowiek tego własnymi siłami nie dokona, chociaż wydaje się, że przy założeniu całkowitego nawrócenia się ludzkości, jest to możliwe. W każdym razie papież mówi raczej o strukturach tego świata, że one nie są w stanie do tego się przyczynić. Nie wystarczą sprawiedliwe struktury, nie wystarczą nowe struktury społeczne, państwowe, nowe ustroje. Polityka, ekonomia - to wszystko mówi papież jest ambiwalentne. Może służyć dobru i złu. Zależy od tego jakim jest człowiek.

W 26. punkcie encykliki papież mówi, że człowiek zostaje odkupiony przez miłość. Przez miłość, która nie gaśnie wraz z jego śmiercią. Ona przechodzi do wieczności, bo to jest życie wieczne. Ona jest potężniejsza od śmierci. Gdyby jej nie było, to wszystko inne nie pomoże. Jedyne realne postępy, to postępy w miłości. Dla tego, kto nie zna Boga, chociażby miał wielorakie nadzieje, w gruncie rzeczy, nie ma nadziei. Wraca Ojciec święty do tego, co powiedział na samym początku. To nadzieja, to ona utrzymuje człowieka w prawdziwym życiu. Nadzieja chrześcijanina bowiem, to jest właśnie życie wieczne.

Dochodzimy do punktu stwierdzenia, czy wieczność jest w nas, czy jej nie ma. To co jest w nas nieprzemijające, to już jest obecne. Jest w nas zadatek życia wiecznego. Ewangelia w wielu przypadkach dlatego wzywa, żebyśmy zaskarbili sobie skarby, które nie rdzewieją, nie niszczej, nie przemijają. Mole ich nie zżerają, ale zachowują się. Ktoś wymyślił nawet, żeby ciało swoje uczynić nieśmiertelnym. W jaki sposób? W taki, żeby pracować nad nim, aby nadawało się do zmartwychwstania. To ciało zmartwychwstałe będzie także istnieć w wieczności. Jest to ciało przemienione. Jak z tego ciała wyrzucić wszystko, co jest przemijające? Możemy mówić, że była taka osoba, która uczyniła swoje ciało zdolne do natychmiastowego zmartwychwstania. Czczymy Ją jako Wniebowziętą, z duszą i ciałem. Jest to perspektywa życia każdego człowieka - ukierunkowanie na wieczność. Nie było niczego, co by zatrzymywało Ją na ziemi. Cała była dla nieba, dla wieczności. W tym kontekście pytamy się w czasie tych rekolekcji świętych: jak wykorzystujemy dary otrzymane od Boga, aby pielęgnować w sobie nadzieję, a nawet obecność życia wiecznego?

Jak wykorzystujemy dar rozumu? Św. Paweł powiada, żebyśmy rozumnie żyli na tym świecie, nie jak błędni rycerze, którzy nie wiedzą, co wybierać. Byśmy byli dziećmi wolności. Ku wolności jesteśmy wyzwoleni. Momenty przeżyte tutaj w łączności z Bogiem nabierają sensu. Jak wykorzystujemy nasz postęp duchowy, a także naukowy i techniczny. Te wszystkie rzeczy mają być podporządkowane naszemu wzrostowi duchowemu. Św. Maksymilian Maria Kolbe mówił, że dla Niepokalanej

gotów jest latać samolotem po świecie, żeby szerzyć Jej kult. O tyle, o ile postęp materialny i techniczny służyć duchowemu i moralnemu powinny być wykorzystane. Św. Wincenty Pallotti w pięknej modlitwie do Królowej Apostołów prosi, żeby miał łaskę wykorzystania wszystkich środków, jakie stoją do dyspozycji, naturalnych i duchowych i nadprzyrodzonych, aby szerzyć Bożą chwałę i służyć bliźnim. W tym też duchu powstawały dokumenty Soboru Watykańskiego II. Ojcowie Soborowi mówili się tam z poszczególnymi dokumentami, odrzucali je i przyjmowali, bo chcieli bardzo, żeby one służyły duszpasterstwu Kościoła, żeby nie były suchą teorią. Otóż Sobór Watykański II w tej materii dużo powiedział - w jaki sposób wykorzystać postęp dokonujący się w świecie, jak się ustosunkować do tego postępu. Mniej więcej po tej linii prowadzi encyklikę Benedykt XVI.

Myślę, że Ruch „*Maitri*”, gdyby miał większe możliwości techniczne i naukowe, to by je wykorzystał. Istnieje zawsze w Kościele problem środków bogatych i ubogich. Przez to, że środki służą ubogim, to one mogą być bogate, bo postawione są we właściwej służbie. Jako zadanie rekolekcyjne i domowe jawią się następujące cztery punkty. Otóż po pierwsze: rozważyć własny stosunek do roli rozumu w swoim życiu. Jaki on jest? Jak wykorzystujemy całą dostępną nam wiedzę? Ktoś stwierdził, że nie wykorzystujemy swojej wiedzy, którą już mamy. Jedynie jej pewne elementy. Wiemy o wiele więcej niż z tego korzystamy i wprowadzamy to w życie. To jest pierwsza sprawa.

Druga sprawa. Nasz stosunek do wolności. Nie została ta sprawa przerobiona nawet w mentalności chrześcijan katolików. Bardzo często wolność utożsamia się z dowolnością i z samowolą. Nie stawia się im ograniczeń. Otóż człowiek wolny jest ograniczony prawdą i dobrem. Trzeba to jasno postawić. Każde działanie, które nie jest oparte na prawdzie i nie zmierza ku dobru, nie jest wolnością. Jest samowolą. Bo nasza wolność, to jest naśladowanie wolnego Boga, a Bóg zawsze wybiera to, co dobre. Bóg jest wolny i dlatego ściśle rzecz biorąc nie ma wolności wyboru między dobrem a złem. To nie jest wolność. Wolność jest wtedy, gdy człowiek nie jest niewolnikiem, nie jest skrupowany, nie jest zniewolony i może swobodnie wybierać dobro. I odwrotnie, jeżeli kogoś wsadzą do więzienia za przestępstwa, to został ograniczony w czynieniu zła. Nie został on ograniczony w wolności, proszę zauważyć, bo jeżeli on się wyrwa do czynów przestępczych, to ograniczona zostaje jego samowola a nie wolność. W tej dziedzinie jest dużo nieporozumień. Nadzieja musi się realizować tylko w perspektywie wolności. Osobiście nie jestem za jakimkolwiek ograniczeniem wolności. Ograniczać należy tylko samowolę i dowolność, która często skłania się ku złu.

I trzecie pytanie. Co jest dla mnie prawdziwym postępem? Dobrze przy okazji byłoby zapytać się tutaj w czasie tych rekolekcji świętych - jakże jest z moim postępem duchowym? W całej historii Kościoła wszyscy mistrzowie życia duchowego podkreślają, że sensem naszego istnienia na ziemi jest postęp duchowy. Nie możemy stać w miejscu. Czasem gdzieś to nam ucieka. I w związku z tym od czasu do czasu musi



Kanie Helenowskie

być kontrola - czy w ostatnim okresie dokonał się postęp duchowy, czy nie? Czy rokujemy nadzieję?

I wreszcie czwarty punkt. Jak w tym wszystkim rozwija się moja chrześcijańska nadzieja? Co jej przeszkadza? Co ją gasi? Czy sytuacje z punktu widzenia ludzkiego beznadziejne w moim życiu stają się ogniem zapalnym rozbudzającym moją nadzieję chrześcijańską, która jest nadzieją wbrew nadziei? Nadprzyrodzony charakter tej nadziei ujawnia się dopiero wtedy, kiedy zawodzą wszystkie ludzkie nadzieje. Po to mamy przykłady świętych, które pokazują, jak w sytuacji beznadziejnej można z chrześcijańską nadzieją przebić się i zwyciężyć.

To są cztery punkty na zakończenie tych rozważań. Amen.

MODLITWA SZKOŁĄ NADZIEI

Ojciec święty Benedykt XVI wskazuje gdzie i jak mamy uczyć się chrześcijańskiej nadziei. Porusza ten problem zwłaszcza w punktach 32. i następnych encykliki. I oczywiście pada akcent na znaczenie modlitwy w tej sprawie. Modlitwa jako miejsce uczenia się nadziei. Jest to miejsce najwłaściwsze. W niej Pan Bóg daje człowiekowi nadzieję w szczególny sposób. Powiada Ojciec święty, że nawet gdyby nikt inny tej nadziei nie dawał, to On daje. Tam nadzieja jawi się w szczególny sposób jako dar Boga. Dar, o który prosimy i który otrzymujemy jako łaskę. Także sama modlitwa jest modlitwą w nadziei, jest ćwiczeniem nadziei, jest próbą nadziei. Częsta modli-

twą staje się naszą jedyną nadzieją, gdy nie ma innych widoków i nadziei. Modlitwa jednak, nie powinna sprowadzać się do swego rodzaju ostatniego „koła ratunkowego”. W chrześcijaństwie powinna być ona klimatem rozwoju naszej nadziei, pielęgniarką nadziei. Powinna być dowodem na to, w Kim w różnych sprawach dnia i nocy pokładamy naszą nadzieję. Powinna to być prawdziwa szkoła nadziei, do której pilnie uczęszczamy.

Wielką prawdą o modlitwie jest fakt, na którą zwraca uwagę papież Benedykt XVI. Mówi o tym także Katechizm Kościoła Katolickiego. A mianowicie nawet gdyby człowieka nikt nie słuchał, Bóg go wciąż słucha. Bóg jest słuchaczem człowieka. Gdy już nikt nie chce z nim rozmawiać, Pan Bóg zawsze chce i szuka tej rozmowy. Jeżeli już nikt nie chce mi pomóc, Pan Bóg wychodzi naprzeciw z propozycją pomocy. Nawet, gdy jestem skazany na całkowitą samotność, wtedy też nie jestem sam. Mój kolega, ks. Jan Pałyga napisał książeczkę pod tytułem „*Nigdy nie jesteś sam*”. Benedykt XVI wspomina postać kardynała Nguyena van Tuana, który spędził w więzieniu 13. lat, z czego 9. w zupełnej izolacji od ludzi i który pozostawił po sobie cenną książkę, której tutaj nie można nie zacytować. Nosi ona tytuł „*Świadectwo nadziei*”. Ksiądz, który jest teraz kardynałem, w kontekście swojego doświadczenia życiowego odkrywa naturę modlitwy, która kształtowała jego postawę nadziei. Źródłem jego nadziei w tym odosobnieniu, jak pisze, była świadomość, że Bóg go słucha. Nikt go nie słucha, ale Bóg go słucha. I on może mówić do Boga, który go słucha. Nie mówi w pustkę. Dzięki temu jego nadzieja nie zgasła, dzięki temu mógł on być potem świadkiem nadziei dla całego świata.

Modlitwa rozwija naszą nadzieję, ponieważ rozwija nasze pragnienie Boga i tęsknotę za Nim. Sprawia, że życie nasze staje się oczekiwaniem Boga, nabiera swoistego wymiaru eschatologicznego. Człowiek wtedy żyje w postawie, w której niemal nieustannie woła: „*Panie Boże, przyjdź!*” Tę funkcję modlitwy scharakteryzował kiedyś św. Augustyn w swej homilii 1 Listu św. Jana, gdzie określił modlitwę jako ćwiczenie się w potęgowaniu swego pragnienia Boga. Określił ją jako rozszerzenie serca, powiększenie tego serca - nie w sensie chorobliwym. To, co potem kiedyś Kardynał Tysiąclecia tak podkreślił, rozszerzenie serca tak, by tam się znalazło miejsce dla wszystkich, aby nie było to serce zbyt ciasne, otwierało się na Boga, na ludzi. Trzeba więc to serce oczyścić. Jest też pieśń eucharystyczna śpiewana w procesjach: „*Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie*”. Trzeba zrobić miejsce, to znaczy oczyścić. To kiedyś akcentowała błogosławiona Matka Teresa, gdy mówiła, że jeżeli serce jest wypełnione czymś innym Pan Bóg przychodzi, ale nie znajdując miejsca, odchodzi. Wypełnione serce. O tym mówiła też kiedyś w swoim przemówieniu do kapłanów. Dlaczego jest kryzys? Bo serce jest wypełnione czymś innym - tym, co sprzeciwia się Bogu. Używa tutaj tego porównania również papież, że trzeba oczyścić z octu naczynia - mówi to za św. Augustynem - z octu, aby napęłnić je miodem. Tak, trzeba oczyścić serce. Modlitwa dokonuje tego, dobra modlitwa. W ten sposób ona osiąga to, czego nie osiągają naj-mądrzejsze słowa, największe czyny. W tej dziedzinie, choćbyśmy stawali na głowie, bez modlitwy niewiele uczynimy. To oczyszczenie z różnych płonnych nadziei po-

kładanych w człowieku, władzy, pieniądzu, protekcjach, układach, sympatiach nawet, to oczyszczenie sprawia, że człowiek zaprasza Boga w swoje życie - jest miejsce dla Ciebie.

Modlitwa w ten sposób staje się nie tylko warunkiem naszego własnego szczęścia, ale także szczęścia i dobra wielu innych. Właśnie nadzieja społeczna, nieegoistyczna, nie-indywidualistyczna nadzieja tu się rodzi. Zauważcie, że Pan Jezus, ucząc nas modlitwy, kazał ją odmawiać w liczbie mnogiej. Człowiek modlący się staje się prawdziwą nadzieją dla drugich, zwłaszcza dla tych, którzy się nie modlą, albo mają trudności z modlitwą. Modlitwa czyni nas ludźmi nadziei. Zarówno tymi, którzy pokładają szczególną nadzieję w Bogu, jak i tymi, którzy stają się nadzieją dla innych. Dla ludzi nadziei wszystko staje się możliwe. Jak powiedział Anioł do Maryi *„U Boga nie ma nic niemożliwego”*. Niemożliwość staje się możliwością dla człowieka, który jest złączony z Bogiem. W ten sposób człowiek nadziei staje się świadkiem prawdy słów Jezusa *„Beze mnie nic nie możecie uczynić.”* To co jest najważniejsze dla człowieka jest efektem modlitwy. *„Proście, a otrzymacie”* - mówi Jezus. Brak Wam miłości - proście. Brak świętości - proście.

Niczego w porządku zbawienia, w porządku nadprzyrodzonym nie możemy uczynić bez modlitwy. Widać to w Starym Testamencie na przykładzie sługi Elizeusza, który bezskutecznie usiłował przywrócić życie dziecku Szunemitki. Wykonał wiele zabiegów reanimacyjnych, położył nawet na chłopcu swą łaskę, która kazała rozstępować się wodom. Tutaj jednak nie była skuteczna. Ale tam nie ma informacji, że się przedtem pomodlił. Uczynił to dopiero potem. Podobnie było z apostołami, którzy pod górą Przemienienia bezskutecznie próbowali uzdrowić chłopca z jego choroby, bo mieli nadzieję w sobie. Potem Jezus zstępując z góry zwrócił im uwagę: ten rodzaj wypędza się modlitwą i postem. Zapamiętajcie to sobie. Modlitwa jest potrzebna, aby być człowiekiem miłości. Nie ma też innej drogi, jak tylko zapalić się boskim ogniem, być więc z Nim w ścisłym kontakcie, wciąż z Nim przebywać. To gwarancja, że ogień w nas nie tylko nie zgaśnie, ale będzie się odznaczał coraz większym płomieniem. Jak żelazo w ogniu, tak człowiek w Bogu zatopiony staje się odbiciem Jego żaru.

Modlitwa, to warunek spełnienia naszego oczekiwania na wielką miłość. To jest też warunek w ogóle spełnienia się naszego powołania do świętości. Wielu chrześcijan traci nadzieję na własną świętość, albo w ogóle jej nie ma, bo patrzą oni na swoje słabości. Wydaje się im, że świętość ich życia całkowicie zależy od nich, a skoro nie widzą szans w swoich własnych siłach, rezygnują. A przyczyna jest w tym, że nie modlą się o to, albo mało modlą się o to, albo zostawiają to innym. Stają się w tej dziedzinie ultra-grzeczni: *„Może kolega, może pan, może ty, może ona, ale nie ja!”* To było tak charakterystyczne, zwłaszcza zanim powstał dekret soborowy *„O powszechnym powołaniu do świętości dla wielu”*. Natomiast wielu świętych, niemal każdy, od wczesnej młodości, wśród swoich modlitw ma modlitwę o świętość. *„Panie, że Ty tego chcesz, a tego chcesz, to ja też tego chcę ze wszystkich sił i proszę o to, daj mi tę łaskę, uczyni mnie świętym/świętą. Boże chcę być nawet wielkim świętym.”* To przecież nie przesada.

Na tę sprawę zwrócił uwagę nam Jan Paweł II w swym wielkim liście „*Novo millennio ineunte*” - „*Na początek nowego tysiąclecia*” wydanym jako program nie tylko na dziś, na jutro, na rok, na 10 lat, na 100 lat, na całe 1000 lat. Można powiedzieć, że jest to program na 1000 lat. A co tam podkreśla? Podkreśla, że modlitwa jest warunkiem realizacji naszego powołania do świętości, że bez niej możemy w życiu swoim czynić różne rzeczy, podejmować różne działania, być aktywnym nie tylko w trosce o siebie, ale także w trosce o innych. Bez modlitwy jednak nie da się zrealizować własnej świętości. Bez niej może być to, czego obawiał się nawet wielki Apostoł narodów św. Paweł, że troszcząc się o innych, aby sam nie został odrzucony. Bez modlitwy nie tylko nie ma postępu w życiu duchowym, ale wręcz panuje zastój. Modlitwa więc jest dowodem, że wkraczamy na drogę świętości zdecydowanie, bo faktycznie jest ona nieustannym karmieniem się świętością Jezusa, poznawaniem go, naśladowaniem. To, czego brakowało w modlitwie faryzeuszów i uczonych w Piśmie.

Mówiąc o pedagogice świętości, Ojciec święty w tym wspomnianym już liście apostoelskim pokazuje, że jej podłożem „*powinno być chrześcijaństwo, wyróżniające się przede wszystkim sztuką modlitwy. Tą sztuką jest nasze zakorzenienie się w kontemplacji i modlitwie, ścisła więź z Jezusem, prowadząca na głębie życia Bożego.*” Zauważcie, Jan Paweł II mówi o życiu chrześcijańskim, które wyróżnia się sztuką modlitwy, nie modlitwą, tylko sztuką modlitwy. Czyli nie chodzi tu o pierwszą lepszą modlitwę. Chodzi o modlitwę, której nauczyliśmy się, nad którą pracowaliśmy, która stała się swoistym arcydziełem. Chodzi o modlitwę w wielkim stylu, głęboką, życiodajną, wpływającą na nasze życie. Taką jest modlitwa, którą określa papież jako bogata, ponadprzeciętna, modlitwa pokorna, ufna, w którą angażuje się człowiek cały, nie połowicznie, nie w roztargnieniach, ale w szukaniu chwały Bożej, szukaniu woli Bożej. Tylko taka modlitwa jest prawdziwie modlitwą wielkiej nadziei. Im większa modlitwa, tym większa nadzieja.

I zauważcie, w przeciwieństwie do tej modlitwy, istnieje modlitwa, która nazywa się modlitwą złą, jak ją określa Pismo Święte, która nie niesie nadziei, która wprowadza człowieka w złudzenie i w tym sensie jest ta modlitwa nawet gorsza niż jej brak w ogóle. Bo człowiek robi sobie wrażenie, że się modli. Modlitwa zła, to ta, która nie spełnia warunków modlitwy dobrej, bo albo jest odmawiana w dobrowolnym roztargnieniu, podkreślam dobrowolnym, bo niedobrowolne roztargnienie nie psuje modlitwy naszej, albo brak w niej dostatecznej pokory i ufności. Albo jest modlitwą niewytrwałą: „*ot tak od razu, albo zaraz, albo wcale Panie Boże*”. Wreszcie modlitwą, która dąży jedynie do zaspokojenia, jak mówi św. Jakub, swoich żądz, swoich planów. Nie otwiera się na plan Boga. Powiada tenże apostoł: „*Modlicie się, a nie otrzymujecie, bo źle się modlicie*”. To powinniśmy też wziąć sobie do serca.

Zresztą nagana modlitwy złej, występuje też w Starym Testamencie, gdzie Bóg woła do Żydów: „*Nie chcę waszych modlitw. Mam już ich dość*”. Łącznie z zanegowaniem ofiar „*Nie chcę ich*”. Bóg nie chce modlitwy, która nie przynosi mu chwały, która jest dotknięta rutyną, która sprowadza się jedynie do poruszania wargami, która jest czysto zewnętrzną. A taka modlitwa czasem nam grozi. Nawet wierność takim

modlitwom nie sprawia, że stają się one autentyczne. Praktycznie przywiązujemy dużą wagę do modlitwy słownej. Zresztą tej modlitwy nauczył Jezus swoich uczniów. Modlitwa taka jest w zasadzie treścią wszystkich naszych modlitw wspólnych, zwłaszcza liturgicznych. Takiej modlitwy rodzice uczą swoje dzieci. Modlitwa jest modlitwą w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo *oratio* (łac. modlitwa) pochodzi od łacińskiego słowa *os, oris* (łac. usta, oblicze). Stąd ustna modlitwa - mówienie do Boga. Posiada ona wielką tradycję i mając to na uwadze, moglibyśmy uważać, że tą modlitwą przede wszystkim powinniśmy wypełnić nasze życie. Można powiedzieć że tak jest, ale modlitwa to nie tylko słowa, to jest myśl, to jest wola, to jest serce, to jest cały człowiek. Modlitwa może stać się modlitwą mechaniczną, gdy zatrzymuje się tylko na ustach, gdy nie przenika do wnętrza. Dlatego trzeba iść w modlitwie dalej, trzeba wejść w jej treść.

Święta Teresa mówiła, że „*Ojciec Nasz*” można odmawiać godzinę. Gdy chce się odmówić tę modlitwę rzeczywiście z pełną świadomością tego, co ona w sobie zawiera, a jeszcze bardziej gdy to, co ona zawiera, przenosi się w życie, wtedy staje się to, czego Jezus pragnie, że trzeba zawsze się modlić, nigdy nie ustawać. Że przychodzi taki moment, że modlitwa po prostu staje się milczeniem. Modlitwa nasza jest przede wszystkim drogą do spotkania się z Bogiem, do przeżywania tego spotkania, osobistego spotkania i dlatego modlitwa nawet liturgiczna może być zła, jeżeli jej uczestnicy osobiście nie spotykają się z Bogiem. Może stać się modlitwą warg, modlitwą mechaniczną. Ta modlitwa powinna być w nas wciąż odnawiana, wciąż powinniśmy siebie pytać, jak wyglądało moje spotkanie z Bogiem. A tu kryterium jest otwarcie się na nadzieję i niesienia nadziei innym. Kiedy stajemy się w niej sługami nadziei, którą daje nam Bóg, który daje na przekaz, wtedy podtrzymujemy świat, aby otwierał się na Boga. Jak niektórzy mówią „*podtrzymujemy ten świat, aby nie runął do końca*”.

Aby ta modlitwa była dobrą i autentyczną, musi być spotkaniem osób, a nie tylko myśleniem o czymś. Gdy spotkamy tę drugą osobę, którą jest Bóg, On myśli o tym, co nam dać, nawet gdybyśmy wielu prośb swoich Jemu nie przedstawiali. Życie duchowe, podkreśla Sobór Watykański II, nie pokrywa się po prostu z udziałem w świętej liturgii. Oprócz modlitwy liturgicznej człowiek musi schodzić do swojej komórki, tam w ukryciu modlić się do swego Ojca, kiedy nikt na niego nie patrzy, nie zwraca uwagi, kiedy jesteśmy z Nim sam na sam. Między innymi temu służą rekolekcje święte. Odgradzamy się od najbliższych, żeby być całkowicie dla Boga. Jest to też symbol pewien, że warto dla samego Boga żyć. Potrzebę takiej modlitwy pokazuje sam Jezus, gdy często udaje się na osobne miejsce i modli się do Ojca. Takim osobnym miejscem była Jego modlitwa na pustyni przed publiczną działalnością, była modlitwa w Ogrójcu, do której wprowadził zaprosił apostołów, ale oni nie dopisali. W Starym Testamencie taką modlitwę praktykował Mojżesz, gdy wchodził na Górę Synaj, czy do namiotu. Praktykowali ją w historii Kościoła pustelnicy wszystkich czasów, eremici, ludzie więcej lub mniej zamknięci w klasztorach swoich. Jest to próba naśladowania modlitwy Jezusa na osobności rozmawiającego z Ojcem. Bez umie-

jętności modlenia się indywidualnego, nie ma autentycznej modlitwy wspólnotowej. Chciałbym to podkreślić. Ludzie modlący się, mający osobisty kontakt z Bogiem, gdy modlą się razem, to nadają tej modlitwie nowy wymiar. Ale to, że powinni umieć modlić się bardzo osobiście jest podstawą wszystkich modlitw.

Mówi się stąd o przygotowywaniu do modlitwy wspólnej, że powinno być ono bardzo osobiste. Jezus wyraźnie w swoim kazaniu powiada: Gdy się modlisz, wejdź do twej izdebki i tam stawaj wobec Ojca. On ma być świadkiem jedynym twojej obecności. On chce z tobą rozmawiać. Możemy sobie wyobrazić sytuację między ludźmi, kiedy wygłaszamy jedynie wobec siebie jakieś przemówienia do większej ilości, a nigdy ze sobą nie rozmawiamy, szybko doszlibyśmy do wniosku, że coś nie w porządku jest w tym naszym życiu. Niektórzy powiadają, że znakiem tego, że ktoś się modli jest to, że chodzi do kościoła nie tylko wtedy, gdy idzie tłum i razem wielu idzie dla towarzystwa, ale wtedy, gdy sam się wybierze osobiście, klęknie przed Jezusem w Najświętszym Sakramencie. A Jezus mu odpowie - Ja jeszcze bardziej tego chcę. Bardzo mocno podkreślają znaczenie takiej modlitwy święci, wielcy mistrzowie modlitwy, życia duchowego, mówią o znaczeniu tej właśnie samotności z Bogiem, samotności, która nie jest absolutną samotnością, ale samotnością wobec ludzi. Dzięki tej modlitwie człowiek staje rzeczywiście twarzą w twarz z Bogiem. Gdy modlimy się bez świadków, jesteśmy całkowicie wolni od jakichkolwiek konwenansów, które obowiązują skądinąd także w modlitwie wspólnej. Możemy tę modlitwę odmawiać na stojąco, klęcząc, siedząc, leżąc krzyżem. *„Gdy się modlicie – mówi Jezus w swoim Kazaniu na Górze – nie bądźcie jak obłudnicy. Oni lubią w synagogach i na rogach ulic wystawać i modlić się, żeby się ludziom podobać. Ty zaś, gdy chcesz się modlić, wejdź do swej izdebki, zamknij drzwi i módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu, a Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie.”*

Modlitwa w ukryciu. Jeszcze, żeśmy dobrze może w naszym chrześcijaństwie nie rozszyfrowali tej modlitwy. Naprawdę wielu ludzi ogranicza się do modlitwy wspólnotowej. Bez umiejętności tej modlitwy istnieje niebezpieczeństwo modlitwy faryzejskiej, czy modlitwy tylko na pokaz. Modlitwę w ukryciu praktykują święci. Na przykład o Janie Pawle II mamy takie wyznanie: *„rozmyślanie, różaniec, brewiarz, droga krzyżowa, msza święta, to była jego porcja poranna”*, jak zapisuje w jego życiorysie siostra Józefa Zdybiska w książce *„KUL o Janie Pawle”*. Skąd ona by mogła to wiedzieć? Wiemy, że Jan Paweł II bywał często w Warszawie na konwencjach, zatrzymywał się u siostr urszulanek na Wiślanej i tam mogły być siostry świadkami jego porządku dziennego, modlitwy wieczorem. Kiedy wracał po sesji Episkopatu, zapisuje ona, czekali na niego różni ludzie, z którymi rozmawiał. Około godziny 22:00 szedł do kaplicy i modlił się długo, długo. Ówczesny profesor etyki Leon Białkowski (1885-1952), zaświadcza, że był chyba jedynym, który w przerwach między zajęciami na KUL-u modlił się w naszym kościele. Według oświadczeń księży jako alumn studiował dogmatykę w kaplicy na klęczkach przed Najświętszym Sakramentem. Takie i tym podobne spostrzeżenia poczynili różni ludzie, co do modlitwy Jana Pawła II.

W każdym razie chcemy też poddać rewizji właśnie to miejsce uczenia się chrześcijańskiej nadziei. Jak ono wygląda? Św. Ignacy, który określał czas na modlitwę, potrafił też być bardzo ogólnikowy, bardziej niż dzisiejsze przepisy: *„Każdy wybierze czas najbardziej stosowny dla siebie, w ciągu którego pozostanie bez ruchu, w myślowej modlitwie, co najmniej pół godziny, całe od razu, bądź podzielone na krótsze okresy”*. (...) W nauce chrześcijańskiej jest to próba asymilacji jogi do chrześcijańskiej modlitwy. Piśsze: *„kontemplacyjna faza w codziennym rozmyślaniu może trwać 10 lub 15 minut, lecz jej długość w rzeczywistości podlega dużym wahaniom i ma zresztą drugorzędne znaczenie”*. *„Nie dbam o to – jak pisze ktoś inny – jak długa lub jak krótka jest twoja modlitwa, lecz jak skuteczna, jak żarliwa”*.

Postaw sobie pytanie: Jaką jest moja modlitwa? Bo taką jest moja nadzieja. Jakie jest moje sam na sam z Bogiem? Bo taka jest nadzieja modlitwy wspólnotowej. Czy cieszy mnie modlitwa w ukryciu, kiedy widzi mnie tylko Ojciec, modlitwa na osobności? Czy umiem w największym rozgardiaszu świata znaleźć tę komórkę? Tak, jak legendarny Pele - dziennikarze to odnotowali - że przed meczem krył się w jakimś zakamarku, żeby tam szeptem pomodlić się do Pana. Czy widzę wartość takich chwil? Tego rodzaju modlitwy? One mogą całkowicie zmienić moje życie, uczynić je autentycznym, wielkim. Jak człowiek, który wystarczy pochylić czoła - jak mówi poeta - aby zwyciężył zgoła.

PRACA SZKOŁĄ NADZIEI

Encyklika *„Spe salvi”*, podejmuje również zagadnienie działania i pracy jako miejsca uczenia się nadziei. Chcemy uczynić ten temat przedmiotem naszej rekolekcyjnej refleksji, zwłaszcza, że znajdujemy się w miejscu, w którym te dwa elementy duchowości szczególnie się podkreśla – *ora et labora*. W duchowości benedyktyńskiej praca i modlitwa są bardzo ważne i tu w tym miejscu możemy nauczyć się jak je łączyć w codziennym życiu. Zastanówmy się teraz jaki zachodzi związek między pracą i nadzieją.

Każda sensowna praca jest podejmowana z nadzieją, że przyniesie oczekiwany rezultat. Rolnik sieje w nadziei, że coś z wyrośnie z posianego ziarna. Wychowawca wychowuje w nadziei, że wychowanek przyjmie oczekiwane postawy. Inżynier buduje z nadzieją, że ludzie będą wygodnie i bezpiecznie mieszkać. Odkrywca dokonując odkryć przyczynia się do rozwoju nauki i też w jakiś sposób powiększa dobro wspólne. Możemy powiedzieć, że bez posiadania nadziei trudno cokolwiek sensownego podejmować, zwłaszcza gdy praca wymaga większego nakładu sił. Bez niej gasną i inne nadzieje, te mniejsze związane z codziennym trudem. Codziennność zaczyna człowieka męczyć. Często ludzie mówią, że są zmęczeni życiem, zwyczajnym szarym życiem. A tym bardziej, gdy przychodzą niepowodzenia, gdy się wszystko wali, gdy patrzą na gruzы swoich wysiłków – to wszystko ich obezwładnia duchowo i zniechęca. Bez większej nadziei, że wysiłek człowieka ma sens, mimo licznych nie-

powodzeń, nie można budować przyszłości. Człowiek ustaje w działaniu, zawiesza je, bądź w ogóle z niego rezygnuje.

W encyklice „*Spe salvi*” w rozdziale 35. znajduje się znamienne zdanie: *Każde poważne i prawe działanie człowieka jest czynną nadzieją*. Papież podkreślając nadzieję jako *czynną* chce powiedzieć, że nadzieja nie jest tylko biernym oczekiwaniem. Czasami podejmowanie działań dla realizacji większego dzieła, zwłaszcza nadprzyrodzonego, które opiera się na nadziei może napotkać na trudności. Tak, że czynności zostaną zawieszone. Wtedy, gdy jest nadzieja, jest ta ostateczna siła, która nie zawodzi, która jest podstawą najpiękniejszych ludzkich czynów i która potrafi uratować ludzką aktywność w chwilach kryzysu, których doświadcza człowiek. Nie znaczy to, że my bez Boga możemy budować Jego królestwo, ale to oznacza, że dzięki tej nadziei stajemy się prawdziwymi pomocnikami Boga. Pan Bóg w tym dziele nie traktuje naszej pomocy w taki sposób jak na przykład matka, która pozwala małemu dziecku, żeby razem z nią niosło jakiś ciężar. On rzeczywiście chce podzielić się z nami swoją pracą. Pan Bóg chce być tym, Który współdziała i oczekuje, żeby człowiek z Nim współdziałał. Z takim współdziałaniem Bóg związał swe obietnice. Mając to na uwadze św. Paweł w liście do Tesaloniczan pisze: *nie jedliśmy za darmo chleba, ale pracowaliśmy w trudzie i zmęczeniu, we dnie i w nocy, aby dla nikogo z was nie być ciężarem. Nie jakobyśmy nie mieli do tego prawa, lecz po to, aby dać wam samych siebie za przykład do naśladowania* (2Tes 3, 8-9). Być może św. Paweł mógłby powiedzieć, że jest zajęty apostołowaniem i nie będzie podejmował żadnej pracy, a przecież, jak wiemy, zajmował się wyrabianiem namiotów. Podobną myśl wypowiada w słowach *Kto nie chce pracować, niech też nie je!* (2Tes 3, 10). Kto nie chce pracować nie ma prawa korzystać z owoców pracy innych.

Przyjrzyjmy się jeszcze postawie samego Jezusa. Jego praca w Nazarecie jest okryta milczeniem. Jezus pracował u boku św. Józefa, ale jak Jego praca dokładnie wyglądała tego nie wiemy. Różni artyści próbowali i próbują tę pracę odtworzyć. W 1957 roku Papieski Instytut Sztuki Sakralnej zorganizował wystawę malarską pt. „*Chrystus przy pracy*”. Wzięło w niej udział około pięciuset artystów z całego świata. Prace przedstawiały Chrystusa jako murarza, tokarza, siewcę, ogrodnika, cieślę a nawet górnik. Jednak szczególną uwagę zwracało płótno, które przedstawiało Jezusa jako dokera, który po całodiennej harówce, wraca do domu, siada za stołem i zgrabiętymi rękami obejmuje kubek gorącej herbaty. Krytycy nazwali to dzieło historią człowieka bardzo wyczerpanego. Chrystus doświadczył zmęczenia przy pracy. W całym Jego życiu trudno Go sobie wyobrazić jako niezapracowanego. Jezus poddał się prawu pracy, które to prawo przez Boga zostało dane każdemu człowiekowi. Pracował, jak człowiek i w tym upodobił się zupełnie do ludzi. Zwłaszcza podejmując ciężką pracę w życiu ukrytym i publicznym wykonując ją w pocie czoła, podobnie jak człowiek po grzechu pierworodnym.

Według zamysłu Bożego praca jest potrzebna. Praca jest nabywaniem czegoś. Na przykład, aby sprzedawać trzeba mieć, aby kupować trzeba wpierw wyprodukować. Zwłaszcza praca nad sobą a szczególnie w czasie rekolekcji, jest jedną z najtrudniej-

szych prac do wykonania. Z tym łączą się: łaska ludu i łaska Boża, wdzięczność ludzka i upodobanie Boże. Umie prawdziwie dawać ten, kto umie zdobywać i dlatego wszystkie dokumenty Kościoła bardzo mocno podkreślają znaczenie pracowitości. Czasami niemalże ją gloryfikują podkreślając, że od niej zależy nasza współpraca z łaską Bożą i od niej zależy realność naszej nadziei.

W Ruchu „*Maitri*” często myślimy kategoriami człowieka ubogiego. Jest to dla nas swego rodzaju wzorzec osobowości. Według dokumentów kościelnych ubogi to nie ten, który żyje z jałmużny czy kapitału, ale ten, który utrzymuje się z pracy rąk własnych. To jest rzeczywisty udział w pracy Boga. Bóg pracuje dla człowieka a człowiek z Nim dla Jego chwały.

Wynika zatem, że praca to istotny element naszego życia chrześcijańskiego i zarazem istotny element naszej nadziei. Co by było, gdybyśmy w naszej modlitwie, która jest modlitwą nadziei, na przykład w Modlitwie Pańskiej zwracali się do Boga „*chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*” a jednocześnie nie pracowali na ten chleb tylko wyciągali rękę do Pana Boga, żeby go nam dał bez naszej pracy? Każdy przyzna, że byłby to absurd. Zawsze kiedy się modlimy, musimy pamiętać, że nie możemy przyjąć takiej postawy wobec Boga. Trzeba ciężko pracować na to, o co prosimy Pana Boga, a sam Bóg tego od nas oczekuje. To prawda, że bez modlitwy niczego nie osiągniemy w życiu duchowym, ale jest też prawda, że bez pracy nasze prośby są jakby nieudokumentowane. Nie są realnymi prośbami, bo jeżeli o coś prosimy, to naprawdę tego chcemy i do ich realizacji naszym działaniem się również przyczyniamy.

Ora et labora stanowią jedno. Modlitwa i praca są jak dwa wiosła. Tradycyjnie podkreśla się, że w życiu duchowym trzeba tych dwóch wiosł używać, żeby się rozwijać. Jednym wiosłem też można się posługiwać, ale wtedy, jeżeli nie ma steru, kręcimy się wkoło. Nie ma postępu w życiu duchowym.

Praca to nasz pierwszy i pierwszorzędny dobry uczynek. Bywa tak, że ktoś pracę zawodową traktuje amatorsko, a przy tym mówi o dobrych uczynkach. To co wynika z obowiązku pracy ma pierwszeństwo przed wszystkimi dobrymi uczynkami, działaniami. Mówi o tym liturgia: *Boże, który prawo pracy dałeś rodzajowi ludzkiemu...* Również w Księdze Rodzaju czytamy: *w pocie ... oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie* (Rdz 3,19). Jan Paweł II w encyklice *Laborem exercens* mówi: *Kościół jest przekonany, że praca stanowi podstawowy wymiar bytowania człowieka na ziemi*. Praca jest potrzebna, aby człowiek panował nad ziemią, aby realizowało się Boże wezwanie dane człowiekowi już na początku istnienia ludzkości. Jest również potrzebna, aby człowiek panował nad sobą, aby opanował siebie. W dzisiejszych czasach ludzie często denerwują się, tracą panowanie nad sobą. Tacy ludzie powinni być odsunięci od wszelkiego panowania, bo powodują więcej szkód niż dobra w jakiegokolwiek społeczności.

Hasłem organizacji Opus Dei jest „*uświęcenie przez pracę*”. Praca bardzo mocno koresponduje z nieustanną modlitwą. Nie musimy zaprzestać pracy, aby móc się modlić. Zostawiamy pracę wówczas, kiedy idziemy odprawić ćwiczenia duchowe, aby

przez nie uczyć się modlitwy. Natomiast modlić się trzeba zawsze i nie ustawać. To ewangeliczne wezwanie jest wciąż niezrozumiałe, a tym bardziej nie jest wprowadzane w życie. W tym duchu wypowiada się katolicki pisarz francuski i laureat Nagrody Nobla François Mauriac (1885-1970) w rozważaniu nad życiem świętej Małgorzaty z Kortony (1247-1297): *Obecnie więcej czynią ręce popękane praczki aniżeli dłonie naznaczone stygmatami*. Jest to wypowiedź charakterystyczna dla pewnego środowiska, które zrozumiało, jak cenną w oczach Boga, może być dobrze wykonana praca na Jego chwałę i dla dobra człowieka.

Praca wychowuje człowieka. Znaczenie dobrej pracy jest ogromne i jest dla niego źródłem prawdziwej radości. Edison powiedział, że geniusz człowieka składa się w 98% z pracowitości i tylko w 2% z geniuszu. Święty Hieronim z kolei mówił, że kto pracuje tego tylko jeden szatan kusi, a kto nie pracuje tego kusi wielu. Również święty Benedykt zaleca swoim braciom, by byli zajęci pracą. Brak pracy jest czymś złym, a jeszcze gorszym jest uchylanie się od niej. Jest to wielkim wyzwaniem w dzisiejszych czasach. Trzeba ratować człowieka, aby stał się człowiekiem pracy w pozytywnym znaczeniu. Człowiek który pracuje świadomie dla Boga gotów jest dla Niego nawet się zapracować. Niektórzy święci mówili, że dopiero w Niebie będą odpoczywali, a nawet umierali zamęczeni pracą – to była ich ofiara dla Boga. Taka praca jest inna od tej, którą wykonuje się bez właściwej motywacji. Podejmując pracę trzeba koniecznie odnieść się do rzeczywistości nadprzyrodzonej i postawić sobie pytania: dla kogo żyję? dla kogo pracuję? – czy dla własnej chwały czy dla chwały Boga i dobra innych?

Gdy naszej pracy przyświeca wielki cel, to się ją zupełnie inaczej wykonuje. Bardzo mocno podkreśla to Jan Paweł II w encyklice *Laborem exercens*, że jako ludzie królestwa powinniśmy dać przykład solidniejszej pracy, niż ta, która została wykonana tylko za pieniądze. Często jest odwrotnie – za pieniądze pracujemy lepiej, a bez zapłaty wykonujemy pracę tak, aby się jej pozbyć. Taka praca nie daje nadziei ani nam ani innym. Tam, gdzie praca jest źle wykonana wielu ludzi cierpi, wpada w gniew i przekleństwa. Cierpią, bo zostali źle potraktowani, oszukani. Nasza dobra praca może być zadośćuczynieniem Bogu za błędy ludzkie popełnione przy jej wykonywaniu.

Po tym, w jaki sposób praca została wykonana i z jakich motywów podjęta, możemy poznać naszą nadzieję. Zastanówmy się nad naszą pracą. Czego my się spodziewamy i dla kogo pracujemy? Od kogo spodziewamy się zapłaty – od człowieka czy od Boga? Czy jesteśmy zdolni do pracy bezinteresownej? Solidna praca jest podstawą naszej prawdziwie chrześcijańskiej nadziei. Praca jest dowodem, że nadzieja to nie tylko pobożne marzenia, oczekiwanie żeby Bóg wszystko da. Nadzieja jest rzeczywistością realną, która się spełnia w miarę jak Bogu ofiarujemy swoją pracę. Nic bez Boga, ale w pewnym sensie nic bez nas, nie dzieje się w Królestwie Bożym. Bóg mógłby w jednym momencie w cudowny sposób udoskonalić świat, ale On chce tego dokonać z nami. Świat nosi ślady naszych zaniedbań wynikających z niepodjęcia tego, co moglibyśmy zrobić. Trzeba mieć świadomość, że wielu ludzi czeka na naszą obecność, na nasz gest, nasze większe zaangażowanie.

Praca weryfikuje rzetelność i autentyczność naszej nadziei. O ile modlitwa rodzi nadzieję i ją pielęgnuje, to praca ją sprawdza i uwierzytelnia nie tylko w oczach ludzi, ale i w oczach Boga. Praca, aktywność, działanie człowieka to miejsca weryfikacji chrześcijańskiej nadziei. Bardzo mocno akcentuje to duchowość benedyktyńska. W



Kanie Helenowskie

regule św. Benedykta znajdujemy między innymi takie słowa: „*Bezczynność jest wrogiem duszy. Wiele klasztorów upadło bo zakradła się do nich pobożna gnuśność*”, oraz „*Praca powinna być wykonywana dla Boga*”. Tak więc intencja nadaje szczególną wartość naszej pracy. Oczywiście nie można pomniejszyć przy tym jakości pracy.

Pracujmy dla Boga sumiennie, w duchu posłuszeństwa i umartwienia nawet, jeżeli jakaś praca nam nie odpowiada, ale jest potrzebna. W zakonie ten problem rozwiązuje przełożony, który przydziela prace, niezależnie od tego czy to się komuś podoba czy nie. Ci, którzy nie podlegają posłuszeństwu przełożonego muszą sami zrozumieć, że sytuacja wymaga podjęcia określonej pracy. Choć

może to nie zawsze jest to dla nich dogodne, muszą mieć świadomość, że Pan Bóg o to woła. Drugorzędną sprawą wtedy jest rodzaj tej pracy. Dla kogo, dlaczego i w jakim duchu – to jest najważniejsze. Niebezpieczeństwem w pracy jest szukanie siebie, mówienie, że się w niej nie spełnia, podkreślanie własnej ambicji i pychy. Spełnianie siebie w pracy należy postawić na drugim miejscu. Na pewno każdy spełni się, jeżeli wykona to, czego chce od niego Bóg. Także w regule św. Benedykta jest przestroga aby nie traktować pracy jako celu samego w sobie zaniedbując obowiązki życia duchowego. Podobnie św. Paweł wzywa do ciągłej czujności nad tym, by wraz z aktywnością postępował rozwój życia duchowego.

CIERPIENIE SZKOŁĄ NADZIEI

Mówiąc o uczeniu się nadziei, jesteśmy w pozycji ucznia. Tak mi się kojarzy triada, którą omawia w swojej encyklice Benedykt XVI: uczenie się nadziei w modlitwie, w pracy i w cierpieniu. Są to jakby trzy stopnie: szkoła podstawowa, ponadpodstawowa i szkoła wyższa. Kiedy teraz będziemy mówić o cierpieniu jako szkole nadziei, wchodzimy na poziom szkoły wyższej.

O ile modlitwa i praca są miejscami, w których uczymy się nadziei, to tym bardziej takim miejscem jest cierpienie. „*Spe salvi*” w numerze 36. podkreśla, że człowiek słusznie zwalcza cierpienie jako zło. Słusznie stara się złagodzić ludzkie cierpienia, bo cierpienie nie jest zaplanowane przez Boga. I słusznie próbuje w różny sposób cierpieniu zapobiegać. Istnieje wielki sprzeciw wobec cierpienia, który dokonuje się w imię nadziei, że przyniesie rezultaty. Niektóre nadzieje w tej sprawie się spełniają, ale oczywiście nie wszystkie. Wiemy, że istnieją cierpienia, które trudno wyeliminować z ludzkiego życia. W cierpieniu nadzieja ujawnia się w szczególny sposób. Pokazuje swoje ostrze zwłaszcza w cierpieniu wielkim. Najgorzej jest cierpieć, kiedy nadziei w ogóle nie ma lub, gdy zostaje ona odebrana, zakwestionowana. Cierpienie jako zło, jest kontrastem dla braku cierpień. Brak cierpień uważamy za dobro. Nadzieja życia bez cierpień jest niemal powszechna. W tym kontekście cierpienie niekiedy traktowane jest jako największe zło, które powinno być przezwyciężone. Na przykład dla buddysty celem życia jest wyeliminowanie cierpienia. Cierpienie nie pełni w buddyzmie funkcji pozytywnej. Także w mentalności sekularystycznej cierpienie jest złem. Stąd środki przeciwbólowe, a nawet eutanazja, które mają być wyzwoleniem z cierpienia. Walka z cierpieniem nie przynosi jednak spodziewanych owoców.

Jeszcze większym niż cierpienie biologiczne i fizyczne jest cierpienie duchowe. Zwracał na to uwagę Jan Paweł II. Kto zapobiegnie cierpieniu, gdy człowiek czuje osamotnienie, pogardę i odrzucenie? Jest to jedno z największych cierpień człowieka. Nie wszyscy mają cierpliwość, aby znosić cierpienie. Zwłaszcza długotrwałe. Zwłaszcza, gdy w tym cierpieniu nie dostrzegają żadnej wartości. Wiadomość o terminalnej chorobie jest szokiem. Prawie każdy nie może się z tym faktem pogodzić, przeżywa bunt, niekiedy bardzo długi.

Dopiero, kiedy cierpienie zostanie pojęte jako środek do większego dobra, wówczas staje się zrozumiałe. Wtedy mniej istotna jest w cierpieniu nawet nadzieja na jego koniec niż owoce, które to cierpienie przynosi. O tym mówią świadectwa ludzi cierpiących. W takim przypadku nadzieja czysto doczesna na ustanie cierpienia zamienia się w nadzieję, którą daje samo przyjęcie cierpienia. Gdy bunt przeciw cierpieniu zostaje wyeliminowany przez świadomość nagrody, która jest przyobiecana tym, którzy w cierpieniu próbują upodobnić się do swojego Mistrza, Jezusa. Aby cierpienie było miejscem uczenia się nadziei, potrzebne jest dostrzeżenie jego sensu i wartości. Tak, by zło cierpienia przemieniło się w środek, który prowadzi do dobra.

Pan Bóg wciąż to czyni i pokazuje nam, jak ze zła można wyprowadzić dobro. Przypomina to Liturgia, zwłaszcza Wielkiej Soboty, która określa grzech Adama jako błogosławioną winę. Jeszcze bardziej mówi nam o tym Jezus, Który przyjmuje cierpienia Krzyża, aby zbawić świat. Pan Bóg, choćby mógł w jednej chwili usunąć cierpienie ze świata, nie robi tego.

W XVII wieku myśliciele mieli trudność ze zrozumieniem tego, jak możliwe jest, że wszechmocny Pan Bóg, który kocha jednocześnie zostawia światu cierpienie. Byłoby to zupełnie rzeczywiście niezrozumiałe i bezsensowne, gdyby Bóg z cierpienia nie wyprowadzał jeszcze większego dobra. Bóg chce, aby człowiek w tym Go naśladował. Aby cierpienie zrodziło myśl o czymś większym, o większych wartościach niż aktualnie posiadane. Stąd niesłuszne są pretensje ludzi do Pana Boga o tolerowanie w świecie cierpienia, zwłaszcza cierpienia ludzi niewinnych. Ludzie raczej powinni mieć pretensje do siebie, że nie umieją cierpienia wykorzystać dla swego dobra i dla dobra innych, że marnują swoje cierpienia. Można powiedzieć, że niejeden życiorys człowieka, to pasmo zmarnowanych cierpień, z którymi nie wiąże on nadziei na większe dobro, choć może być ono osiągnięte. Pan Bóg nie wypędził ludzi z raju. Oni sami, przez wybranie zła, porzucili swój raj, który został im dany. I skutkiem takiego wyboru przeważnie jest cierpienie własne a także innych.

Cierpienie świata uczy nas nadziei. Jest to wielki krzyk nadziei, którą człowiek często odrzuca. Nadzieja każe nam wybrać drogę, którą wybrał Jezus, gdy przyszedł do człowieka. Drogą nadziei jest cierpienie ludzkie zwalczone skutecznie własnym cierpieniem. Tej logiki trzeba się uchwycić. Są sprawy, których się ani nie wymodli ani się nie wypracuje, które trzeba wycierpieć, aby je osiągnąć. Gdy mam tę świadomość, to rodzi się radość, że oto mogę cierpieć. Było to dane apostołom, którzy się cieszyli, gdy spotkało ich cierpienie dla imienia Jezusa. Tak witał swego czasu krzyż święty Andrzej przed swoim męczeństwem. Do historii przeszło jego wołanie: „*ave crux, spes unica!*” – „*witaj krzyżu, jedyna nadziejo!*” Tak wołają wszyscy, którzy poznali wartość cierpienia, zwłaszcza ci, którzy doświadczyli jego wartości we własnym życiu. Wielu dzięki cierpieniu odnalazło Boga. Są tego niezliczone świadectwa. Wielu doszło dzięki cierpieniu do dojrzałości duchowej i świętości. Zauważmy, że żaden święty nie szedł na skróty do swojej świętości. Każdy przeszedł swoją mękę. Inaczej nie byłoby świętych. Wielu z nich zdobyło palmę męczeństwa.

Apostołowie, którzy w czasie pojmania Chrystusa puciekali, którzy stronili od krzyża, od cierpienia i gorszyli się męką Jezusa, po Jego Zmartwychwstaniu będą się cieszyć, że uczestniczą w Jego samym losie. Wielu przekonuje się, że ucieczka od cierpienia za wszelką cenę jest nielogiczna, nie ma uzasadnienia rozumowego. Píše o tym w pamiętniku XIX. wieczny wietnamski męczennik Paweł Le-Bao-Thin, który mocą nadziei przemienił swoje cierpienia w pieśń pochwalną. Podobną refleksję zapisał kiedyś pisarz Jerzy Zawieyski (1902-1969): *to nic, że świat błędzi, ale szuka i cierpi.*

Cierpienie ma ukryty sens, który jest odkrywany przez osobę cierpiącą, w miarę, gdy staje się ona coraz bardziej dojrzałą. Ciekawa rzecz, że stopień dobrowolnego cierpienia świadczy o stopniu dojrzałości człowieka. Dojrzewanie do apostołstwa

łączy się także ściśle z dojrzewaniem do cierpienia. Cierpienie uwalnia apostoła Piotra od pokusy użycia przemocy. Sprawia, że jego relacja do drugiego jest bardziej delikatna. W najistotniejszych sprawach apostolskich przez cierpienie osiąga się więcej niż przez inne działania, co podkreślają dokumenty Kościoła. Cierpienie to coś, co wyraźnie wyróżnia apostoła i nadaje jego życiu szczególną owocność. Na niższym stopniu aktywności apostolskiej preferuje się inne niż cierpienie środki działania i oddziaływania na ludzi. A wyżej wysuwa się ono na pierwszy plan, jest ukoronowaniem naszych efektywności w oddziaływaniu na drugiego człowieka. Śpiewamy w pieśni, że zbawienie przyszło przez Krzyż.

Z cierpienia wynikają nie tylko korzyści dla drugich - największe są korzyści osobiste. Człowiek nie tylko doskonali się, dojrzewa jego osobowość, ale lepiej widzi swoje wady, lepiej postrzega świat, poprawia hierarchię wartości. Rozwijają się także cnoty cierpliwości, męstwa, współczucia, delikatności i wrażliwości. Ktoś mi powiedział w jednym z klasztorów, że boi się takiego przełożonego, który nigdy nie przeszedł żadnego cierpienia, który nie wie choćby, co to znaczy ból zęba. Bo taki człowiek nie ma pojęcia, jak współczuć drugiemu i go zrozumieć. Ten, kto dużo przeszedł, ten ma właściwy stosunek także do swojego bliźniego.

Cierpienie wyzwala również z przywiązania do rzeczy drugorzędnych. Nawet do zdrowia. Owszem, o zdrowie trzeba dbać, ale nie można na siebie chuchać. Odsuwając tę troskę człowiek koncentruje się na rzeczach ważniejszych. Wielu ludzi cierpienie doprowadziło do Boga. Święty Ignacy Loyola nawrócił się w szpitalu, gdy cierpiał. Pascal w czasie choroby napisał modlitwę o dobry użytek chorób - zrozumiał, że ludzie marnują swoje choroby. Wielki filozof Schopenhauer, który zdrowy wygrażał Bogu, w swoim cierpieniu wołał „O Boże, mój Boże!”

Jan Paweł II wyraźnie w liście apostolskim o cierpieniu „*Salvifici doloris*” napisał: „*Cierpienie doczesne ma na celu ochronić człowieka przed złem, także przed wiecznym cierpieniem. Cierpieniem aż do śmierci przewartościowane są grzechy i śmierć wieczna człowieka*”. Cierpienie hartuje człowieka, sprawia, że idzie on naprzód w swym życiu duchowym. Ono, bardziej niż praca, potwierdza naszą nadzieję. Ono nas weryfikuje. Jest tajemnicą wielkiego owocowania. Pismo święte stwierdza: „*kto siewie we łzach, ten zbiera w radości*.” Dlatego powinniśmy zapytać sami siebie „*Jak umiemy cierpieć?*” i „*Za co cierpimy?*”

Czasem trzeba cierpieć za prawdę. Wówczas przed człowiekiem staje dylemat - narazić się, czy nie? Jest to taktowne, czy nie? Spójrzmy na Jezusa. On właściwie umarł za prawdę – powiedział, że jest Synem Bożym. Powiedział prawdę, która nie została przyjęta. My nie musimy myśleć o tym, czy każda nasza prawda zostanie przyjęta przez drugiego. Musimy się zgodzić z tym, że nasza prawda zostanie odrzucona. I to jest cierpienie. Wycofujemy się z różnych inicjatyw apostolskich i z pełnienia woli Bożej, bo boimy się cierpienia. Boimy się przejść przez próbę naszej nadziei. Zwłaszcza, gdy spotykają nas krytyki, posądzanie, ośmieszanie i dyskryminacja. Zapominamy wtedy o nagrodzie przyrzeczonej tym, którzy przyjmują negatywny stosunek do siebie.

Trzeba w tym miejscu powiedzieć, że Ruch „Maitri” przeszedł w tej dziedzinie próbę swojej nadziei, gdy swego czasu był mocno kwestionowany. Zanosilo się na jego rozwiązanie, bardzo oficjalne i hałaśliwe. Musimy jednak pamiętać, że przeciwności dla ucznia i uczennicy Jezusa Chrystusa są normalnością, a nie czymś nadzwyczajnym. Jezus to zapowiedział: *tam, gdzie dzieją się Boże sprawy, tam przeciwnik musi dać znać o sobie*. I nawet nie trzeba pytać, dlaczego tak się dzieje. Nie pytali o to pierwsi uczniowie Jezusa, bo pamiętali dobrze, co im mówił: *mnie prześladowali i was prześladować będą; błogosławieni jesteście, gdy was prześladowają i mówią o was wszelkie zło z mojego powodu; ciescie się i radujcie*. Dla człowieka tego świata jest to nienormalna sytuacja.

Trzeba pamiętać, że Jezus jest zawsze znakiem sprzeciwu wobec wszystkiego, co jest nie-ewangeliczne. Czyli oszczerstwa nie są niesprawiedliwością, która nas spotyka. Są wypełnieniem obietnicy, którą dał nam Jezus. Jeżeli spełnia się obietnica, to powinniśmy się cieszyć. To jest dotrzymanie słowa i okazja, aby uczestniczyć w Jego błogosławieństwach. My najczęściej buntujemy się, gdy jesteśmy źle odczytani, gdy przekręca się nasze intencje, a Bóg zdaje się milczeć. Wtedy mówimy: *Boże, Boże czemuś mnie opuścił? Czy nie obchodzi Cię to, co dzieje się ze mną?* Podobnie na jeziorze mówili uczniowie: *Ty sobie śpisz i nie wiesz, że tonimy. Dlaczego przeprowadziłeś swój lud z Egiptu? Po to, by pomarli tu, na pustyni?* – pytał Mojżesz.

Bóg naraża swoją cześć, dopuszczając na nas próby, które doprowadzają do tego, że nawet krzywo na Niego patrzymy. Chce też, żebyśmy narażali się innym dla prawdy i sprawiedliwości. Gdy idziemy za Nim aż na Krzyż, okazuje się, że właściwie nie mamy w życiu żadnego innego ważniejszego celu, jak tylko Jego miłość. Dziś nie można być neutralnym. Dziś, a zresztą zawsze w historii tak było, trzeba być po którejś stronie. Ewangelia mówi, że gliniana cegła musi być wypalona. Przeciwnicy dobrej sprawy dostarczają nam środków do tego. Po to oni są. To wiemy ze Starego Testamentu - Pan Bóg dopuścił na Hioba cierpienia i nawet dał wolną rękę szatanowi, żeby go dręczył.

Dziś chrześcijańskie wartości, prawda, szacunek do życia, prawa osoby ludzkiej, nie są w wielkiej cenie. Powinniśmy jednak o tym pamiętać, że Królestwa Bożego nie budują ludzkie sukcesy. Trzeba być gotowym na niepowodzenia. Niepowodzenia w tym sensie mogą być wartościowsze aniżeli powodzenie. Nasza porażka może być ważniejsza niż zwycięstwo. Niepowodzenie bowiem uczy nas pracować bez względu na owoce, jakie z tej pracy wynikają. Zadaniem naszym jest po prostu siać, podlewać. Rzeczą Bożą jest dawać wzrost. Jezus nie mówi do nas: *idźcie i nawróćcie wszystkich, ale idźcie i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu*. Nie powinniśmy tej pracy uzależniać od sukcesu. Pełna nadzieja jest wtedy, gdy nie widzimy owoców własnej pracy. Przykładem jest życie błogosławionego Karola de Foucauld (1858-1916), który nie zobaczył owoców swojej pracy. Oglądali je dopiero po jego śmierci inni.

Jezus w ciągu 24. godzin doświadczył zarazem sukcesu i porażki. Sukcesu – gdy rozmnożył chleb dla zgłodniałego tłumu i gdy niemalże obwołano Go królem, a porażki – kiedy następnego dnia został zaproszony do synagogi i tam przeczytał frag-

ment zwoju mówiący o mannie na pustyni. Po jego odczytaniu nastąpiła cisza i oczekiwanie na Jego komentarz. Wszystko było dobrze dopóki Jezus nie odniósł przeczytanych słów do słuchaczy. Wtedy sytuacja od razu się zmieniła i wiemy jak źle mogło się wtedy skończyć.

Przypominam sobie czasy reżimu komunistycznego w Polsce. Wtedy to księża, zwłaszcza kaznodzieje, misjonarze i rekolekcjoniści byli nagrywani i podsłuchiwani. A potem wzywano ich na przesłuchania. Otóż, gdy mówili w swych kazaniach o historii, a więc o wydarzeniach przeszłych, wszystko było w porządku. Natomiast każde odniesienie do aktualnej sytuacji było niebezpieczne. My też czasem tacy jesteśmy. Słuchamy różnych tekstów i myślimy, że to mowa o innych. Trudno nam odnieść jakieś słowa do nas samych. Jest to rodzaj faryzeizmu. Według faryzeuszów wszystkie napomnienia odnosiły się do innych, do grzeszników, ale nie do nich.

O tym, czy sprawa jest Boża nie decyduje brak problemów i trudności oraz prób. Przeciwnie. Nawet święty Paweł Apostoł nie został uwolniony od problemów, choć o to prosił. Pozostawiony mu został „oścień dla ciała”. Problemów nie trzeba się bać. Jezus mówi: *na świecie doznacie ucisku, ale ufajcie. Jam zwyciężył świat!* Problemy i trudności oczyszczają nasze intencje. W nich ukazuje się wartość naszego działania. Chciałbym bardzo mocno podkreślić, żeby nie mieć przed oczyma wizji sukcesu i to natychmiastowego. To, że coś było klęską, wcale nie oznacza, że nią rzeczywiście było. Mogło być przyczyną refleksji i nawrócenia po jakimś czasie. Tak krystalizuje się i oczyszcza nasza nadzieja – najbardziej w cierpieniu. Jest to wielkie sito naszej autentyczności, gdy obracają się, zwłaszcza w perzynę, inne ludzkie nadzieje. Jezus ludzkich nadziei nikomu nigdy nie robił. Nie ma ani jednego tekstu świadczącego, żeby komuś robił taką nadzieję. Przeciwnie, dementował bardzo szybko płytkie nadzieje, które w kimś się rodziły. Zarówno nadzieje synów Zebedeusza, którzy chcieli zająć pierwsze miejsca przy Jego boku, jak nadzieję człowieka, który chciał pójść za Nim, dokądkolwiek by się On nie udał. Słowa Jezusa: *lisicy mają nory, ptaki – gniazda, a Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę skłonił*, spowodowały, że ów człowiek zrozumiał, że nie jest to droga dla niego.

Cierpienie jest bardzo ważnym miejscem uczenia się nadziei. Można powiedzieć, że jest kulminacyjnym punktem tego uczenia się. Nazwałem je wyższą szkołą uczenia się nadziei. Nie wszyscy są równomiernie zaproszeni do tej szkoły, niektórzy tę szkołę przerabiają szybciej, inni później. Ci, którzy nie zdążą, muszą przerabiać ją jeszcze później, po śmierci. W trosce o nadzieję trzeba się zmagać ze sobą, trzeba rozwiązywać wiele dylematów. Trzeba wyzbywać się tych nadziei, które stoją w poprzek nadziei najważniejszej. I trzeba tę nadzieję rozpoznawać. Szatan, który kusi, też daje nadzieję człowiekowi. To jest też siewca nadziei, tyle że innego typu. Dobrze jest śledzić i analizować swoje życie. Jak wychodzimy z trudnych momentów? Załamani, czy z entuzjazmem? Smutni, czy radośni? Ubożsi duchowo, czy ubogaceni? Okazji do uczenia się nadziei w cierpieniu jest dostatecznie dużo. Nikt na to nie może narzekać. Chociaż znam takiego jednego, który narzekał - błogosławionego Henryka Suza (XIV w.). Jego życiorys opisuje, że modlił się: *Panie Boże, Tyś o mnie zupeł-*

nie zapomniał. Od dwóch tygodni nikt na mnie nie nastaje, nikt o mnie nie mówi złego słowa, nikt mnie nie dręczy. Naprawdę o mnie zapomniacieś. Widocznie miał za mało okazji do uczenia się nadziei, ale na ogół jest ich dość. I to jest po prostu wielka łaska Boża. Cieszcie się i radujcie, bo nagroda wasza jest w niebie – mówi Jezus. Momenty życia związane z cierpieniem trzeba przemieniać na momenty wielkiej nadziei. Jeśli sami to potrafimy, będziemy uczyć tego innych. Uczyć można dwojako: teoretycznie i nawiązując do własnego doświadczenia. Świadection jest o wiele lepsze niż teoretyczne nauczanie, bardziej przekonuje.

SĄD OSTATECZNY NASZĄ NADZIEJĄ

W tej ostatniej konferencji rekolekcyjnej chcę jeszcze powiedzieć o jednym miejscu uczenia się nadziei. Tym miejscem nie jest tylko modlitwa, nie jest tylko praca, nie jest nawet cierpienie. Jest nią jeszcze coś, co nie jest całkowicie teraźniejszością naszego życia. Jest to mianowicie świadomość tego, co nas czeka w życiu przyszłym: bezpośrednio, albo później, po odejściu z tego świata. A zwłaszcza jest nim – tak to wybrał Benedykt XVI – sąd ostateczny. Więc na końcu tych rekolekcji też sąd ostateczny.

Według encykliki *„Spe Salvi”*, w numerze 41. oczekiwanie powtórnego przyjścia Chrystusa i sądu ostatecznego to jedno z bardzo ważnych miejsc uczenia się życia nadzieją. Jednym z najważniejszych aspektów nadziei jest obietnica sądu ostatecznego. Może to paradoksalnie brzmieć: jak to, sąd? Dlaczego? Bo jest to nadzieja pełnego zwycięstwa sprawiedliwości, dzięki której żyjący sprawiedliwie otrzymują nagrodę, a popełniający niesprawiedliwości – karę. Zapowiedź tego sądu budzi w sprawiedliwych nadzieję i mobilizuje ich do tego, aby unikać tego, co zasługuje na karę.

Św. Teresa od Dzieciątka Jezus podkreślała, że ona nie chce iść do czyśćca – jej czyśćcem będzie pobyt na ziemi. Pamięć o sądzie ostatecznym jest szczególnie podkreślana w życiu kontemplacyjnym. Dawniej wyrażała się ona między innymi w pozdrowieniu *„memento mori”* – *„pamiętaj o śmierci”*. Niektórzy święci podkreślali nawet w życiu ascetycznym, że to pamiętanie o śmierci ustawia prawidłowo całe życie doczesne. Robili po prostu tak i radzili żyć tak, jak gdyby aktualny dzień był ostatnim dniem życia ziemskiego.

Bóg jest sprawiedliwy. On jest stróżem sprawiedliwości. Mówi o tym nawet Psalm 94: *„Jak długo, Panie”* – woła psalmista – *„jak długo występnicy będą?”* Niektórzy są zniecierpliwieni szerzeniem się zła, przestępstw, bezkarności i dlatego też wołają – jak to długo potrwa? *„Jak długo pienieć się i gadać beczelnie i chwalić się będą złoczyńcy?”* – pyta psalmista – *„mordują wdowę i przybysza, zabijają sieroty. Mówią: <Pan tego nie widzi, nie dostrzega tego Bóg Jakuba> Pomnijcie na to, głupcy w narodzie! Kiedy zmądrzejecie, bezrozumni? [...] Znane są Panu ludzkie myśli, wie że są marnościami”*.

Po prostu istnieje wielkie domaganie się sprawiedliwości. Ojciec święty Benedykt XVI w omawianej encyklice zwraca uwagę na to, że niekiedy sąd ostateczny przedstawiany jest jako coś groźnego i posępnego, a nawet przerażającego, tak że niektó-

rych odstrasza myśl o nim. Blask nadziei tego sądu niemal całkowicie zanika. Wyraziło się to także swojego czasu w architekturze i sztuce sakralnej kościołów. W czasach nowożytnych złagodzone wymowę sądu ostatecznego w ludzkim pojmowaniu. Dzisiaj nie maluje się zatrważających scen tego sądu, jak to niektórzy lecą gdzieś tam, w czeluście - przerażone twarze. Mniej podkreśla się grozę tego sądu. Mówi o tym papież w numerze 42. encykliki.

Powiada jednak, że *„sama prawda i oczekiwania sądu nie zniknęły; nie tylko u ludzi wierzących, nie tylko u chrześcijan, ale i u niewierzących.”* Zauważa papież, że niewierzący XIX i XX wieku wyrażają tę prawdę w proteście przeciwko niesprawiedliwości świata. Zresztą tak jak sobie przypominam czasy komunizmu, to sprawiedliwość była bardzo mocno podkreślana – tak zwana *„sprawiedliwość społeczna”*. Komunizm miał być od tego, żeby zaprowadzić w świecie sprawiedliwość, wbrew *„zgniłemu kapitalizmowi”*. Tu miała być sprawiedliwość, a tam ucisk. Po prostu była to jakaś idea wiodąca. Podkreślano bardzo mocno, że taki świat nie może być dziełem Boga, jeśli Boga uważa się za sprawiedliwego.

Jeśli przyjmie się, że Boga nie ma, to człowiek sam zaczyna wymierzać sprawiedliwość. Trzeba porządek zrobić bez Boga, skoro Bóg tego nie robi. I powstała teza, że człowiek powinien zrobić to, czego Bóg nie zrobił, czyli zaprowadzić porządek i sprawiedliwość. Za tą tezą poszły oczywiście różnego rodzaju okrucieństwa, terror, jakiego dopuszczają się różne rządy w różnych krajach do dziś. To jest sprawiedliwość tworzona przez człowieka. Który rząd przyzna się, że jest niesprawiedliwy? Która opcja pójdzie na to? A więc idea sprawiedliwości jako taka jest podtrzymywana, sprawiedliwość musi być. Ustanawia się sądy w państwie, niby niezależne od rządów, które mają strzec sprawiedliwości. I jest majestat prawa i sprawiedliwości.

Takie przekonanie otwiera drogę władzy ludzkiej do wszelkiego rodzaju nadużyć. Bo władza, która zaprowadza sprawiedliwość, nie ma nad sobą żadnej innej władzy, nie ma żadnej innej sprawiedliwości. Jest taka sprawiedliwość, jakie ustanowi się prawo. Prawo, które nie musi się liczyć ani z prawem naturalnym, ani z prawem boskim, niezależnie od tego, jaki to jest ustrój polityczny. Dlatego znawcy tematu bardzo mocno krytykują zarówno ateistów jak i ludzi wierzących, którzy poddają się tezie prawa stanowionego jako ostatecznej instancji sprawiedliwości.

Z tej sytuacji po krótkich analizach Benedykt XVI wyprowadza wniosek, że trzeba zrezygnować koniecznie z obrazu Boga, którego przedstawiają w fałszywym świetle, jako kogoś, kto nie jest sprawiedliwy, bo człowiek jest sprawiedliwszy od Niego; prawa stanowione są lepsze niż prawa Boże. Taką wysuwa się tezę - niezależność od Dekalogu, niezależność od Ewangelii, niezależność od chrześcijańskich wartości. Obraz Boga sprawiedliwego jest tutaj kreowany na wzór ludzkiej sprawiedliwości. Po prostu na wzór sprawiedliwości wyobrażonej przez człowieka.

Podkreśla to bardzo mocno teologia negatywna oraz Sobór Lateraneński czwarty (1215), według którego między Stwórcą i stworzeniem istnieje większe niepodobieństwo niż podobieństwo. Człowiek wyobraził sobie sprawiedliwość Boga na wzór

swojej sprawiedliwości ziemskiej. W tej konkurencji, w tym porównaniu między sprawiedliwością Boga, a sprawiedliwością ludzką, oczywiście sprawiedliwość ludzka jest lepsza.

Trzeba zauważyć, że słusznie Pan Bóg zabronił w Starym Testamencie czynienia Jego obrazów. Czekał, aż przyszedł Jego obraz we własnym Synu na świat – i dopiero ten obraz pokazał jakim jest Bóg, jaką jest Boska sprawiedliwość. Odtąd, jeżeli nie studiujemy sprawiedliwości Chrystusa, którą On ukazuje w Ewangelii, po prostu chodzimy po omacku. Nie mamy pojęcia o tym, czym jest prawdziwa sprawiedliwość. W Chrystusie Bóg wchodzi w rolę kogoś, kto dzieli dołę człowieka i staje się nadzieją człowieka właśnie przez swoją sprawiedliwość, którą zaprowadza w świecie. To On będzie stróżem także na Sądzie Ostatecznym. Pan Bóg w Chrystusie zaprowadza swoją boską sprawiedliwość, która zdecydowanie różni się od sprawiedliwości ludzkiej. To ona jest ostatnim słowem nad światem, a nie sprawiedliwość ustanawiana przez człowieka. Nie da się bowiem utworzyć na ziemi namiastki Boga przez ludzi. Nikt z ludzi nie jest w stanie tego dokonać. I dlatego bez sensu i bez podstaw jest protest człowieka przeciwko Bogu w imię sprawiedliwości.

Ojciec święty podejmuje tu problem, że czasy nowożytne zwróciły się przeciw Bogu w imię sprawiedliwości. A Bóg jest samą sprawiedliwością. Człowiek chce zaprowadzić swoją sprawiedliwość, a jego sprawiedliwości Bóg przeszkadza. Świat nie jest w stanie dać sobie nadziei na zaprowadzenie sprawiedliwości, ale do tego dąży.

Według Benedykta XVI obraz sądu ostatecznego dla sprawiedliwych jest obrazem nadziei, że zwycięży sprawiedliwość Boża, a nie ludzka. Że każdy pokrzywdzony otrzyma rekompensatę właściwą, nawet gdyby wszystkie sądy ludzkie pobiły – a dużo sądów błędzi – to dla niego pozostanie nadzieja, że istnieje sąd właśnie ten ostateczny, który powie, kto miał rację, kto został skrzywdzony, a kto nie. Na sprawiedliwości tego świata nie kończy się sprawiedliwość. Jest to zasadnicza teza związana z istnieniem Sądu Ostatecznego. Bóg jest sprawiedliwością i gwarantem sprawiedliwości bardziej niż ludzkie, choćby najwyższe trybunały sprawiedliwości. Wiemy zresztą jakie one są, jak często stawiają się one ponad prawem Boga.

Sąd ostateczny jest nadzieją dla tych wszystkich, którzy nie mają się do kogo odwołać. On też najskuteczniej wzywa do poznania własnej odpowiedzialności za czynny. Nawet Immanuel Kant (1724-1804) uważał iż z tej racji trzeba przyjąć istnienie Boga jako postulat, bo inaczej moralność nie ma żadnej sankcji. Ale to jest jedna strona medalu.

Papież również pyta w swoim dokumencie, czy obraz sądu nie jest również zatrażający i straszny, jak był w tradycji Kościoła przedstawiany. I odpowiada, że jest tu pewna racja. Jest straszny dla tych, którzy popełniają niesprawiedliwości i nie chcą zawrócić z tej drogi. I dlatego on napęnia lękiem, zwłaszcza gdy człowiek nie wie dokładnie, czy czegoś nie ukrył, czy coś jeszcze nie jest na jego sumieniu. Ale, można powiedzieć, że sąd ostateczny jest łaską ogromną i nagrodą dla sprawiedli-

wych. Wiemy, że granica między sprawiedliwymi a niesprawiedliwymi nie zawsze przebiega między ludźmi. Często biegnie przez środek serca człowieka. W jakiejś części możemy być niesprawiedliwi – i to jest ten moment, który czasem może wzbudzać w człowieku lęk: co będzie ze mną? Nic dziwnego, że wielki apostoł narodów mówił, że z drżeniem sprawuje troskę o swoje zbawienie.

Tak, w każdym bądź razie pozostaje wołanie o to, aby taki sąd był. Zwłaszcza wołają pisarze i poeci. Fiodor Dostojewski w powieści „*Bracia Karamazow*” protestuje przeciwko niebu, według niego takiemu, gdzie na uczcie niebiańskiej złoczyńcy zasiadą ostatecznie przy stole razem ze swoimi ofiarami, jakby nie było między nimi żadnej różnicy.

My tak często podkreślamy braterstwo. Istnieje jednak problem, na ile sprawiedliwość będzie również zachowana w niebie? Gdy analizujemy przypowieść o bogaczu i Łazarzu, to sens tej przypowieści jest jasny - istnieje przepaść pomiędzy jednym i drugim. Jak ta przepaść zostanie wyrównana? Oto jest pytanie. Pan Bóg, który jest miłosierny, jest również sprawiedliwy. Z pojęciem zaś sprawiedliwości łączy się pojęcie kary. Czyn zły podlega karze. To zresztą akceptuje ludzkość – właściwie wszystkie religie świata. Zły czyn musi być zrównany w jakiś sposób, wyrównany dobrem. Musi istnieć zadośćuczynienie, osobiste lub przez kogoś. Jeżeli człowiek sam tego nie dokona, to słuszną staje się kara.

Kara za życie grzeszne przed ostatecznym wyrokiem po śmierci jest akceptowana także w starym judaizmie. Daje ona możliwość oczyszczenia, uleczenia i dojrzewania do komunii z Bogiem i do komunii z drugim człowiekiem. O tej karze za zło mówi św. Paweł, że złe czyny będą spalone w ogniu – i nawet ci, którzy ocaleją, przejdą jakby przez ogień. Tak pisze w 1 Liście do Koryntian. Przejście przez ogień jest jednak, jak to komentuje Benedykt XVI, „*sprawiedliwym cierpieniem i błogosławionym*”, aby należeć całkowicie do Boga. Sam Chrystus oczyszcza jako ogień.

Sąd ostateczny będzie doświadczeniem zwycięstwa miłości Chrystusa nad złem świata. Jego miłość jest bowiem większa niż zło tego świata. To będzie zwycięstwo miłości. Sąd Boży jest więc w tym sensie nadzieją, zarówno dlatego, że jest sprawiedliwością, jak i dlatego, że jest łaską. Gdyby sąd był tylko łaską, Bóg byłby pytany o sprawiedliwość, jak ktoś słusznie zauważa. Gdyby był tylko sprawiedliwością, byłby dla nas przyczyną lęku. A tak, nie lękając się Boga, jednocześnie nie przekreślamy sprawiedliwości. Dlatego, jak stwierdza św. Paweł, wszyscy oczekujemy naszego zbawienia z bojaźnią i drżeniem, ale też wszyscy mamy nadzieję, ponieważ Sędzia jest naszym rzecznikiem i orędownikiem.

Tak więc, nad sądem góruje u Boga miłosierdzie – i jest to zasadnicza prawda, której zwyczajnie w ludzkich rozważaniach, zwłaszcza prasowych doniesieniach, nie bierze się pod uwagę. Miłosierdzie Boże broni grzeszników przed sprawiedliwymi karami – podkreśla to cała teologia. Grzesznik często zasługuje na to, aby był surowo ukarany, a Bóg go oszczędza – gdy ten się nawraca, oczywiście. Psalmista wzywa do ukarania grzesznych. Są takie psalmy, które odmawiamy przecież, a Bóg mówi: „nie

chcę śmierci grzesznika, lecz by się nawrócił i żył”. Bóg jest jedynie bezradny wtedy, kiedy tego nawrócenia nie ma. Choć On wszystko czyni, co możliwe dobrego dla tego człowieka. Jak jest powiedziane, że Jego słońce wschodzi nad dobrymi i złymi. Bóg boleje nad zaślepieniem człowieka. Gdy mówimy o karze ze strony Boga, to trzeba wiedzieć, że Bóg nie karze tak, jak karze człowiek. Po prostu my nie mamy pojęcia o Jego nieskończonej miłości i nieskończonym miłosierdziu. On karze tak, jak karze ojciec, który kocha – bo Bóg jest miłością. Nie może karać inaczej, jak tylko z miłości.

W rodzinie dziecko ukarane z miłości i z miłością przyjmuje karę. Niektórzy – ja znam takich, też w mojej rodzinie – którzy po latach wspominają: jak to dobrze, że ojciec mnie ukarał, nie wiem na kogo bym wyrósł, jak już wchodziłem na złe drogi. Podobnie Bóg karze, ale tylko aby zawrócić człowieka ze złej drogi – taki cel Mu przyświeca. Niestety człowiek w karaniu nie zawsze kieruje się takim celem i taką miłością. Często jest to kara odwetowa, a więc człowiek ma inny styl karania. I wtedy to swoje postępowanie przerzuca na Boga – i myśli, że Bóg w ten sposób karze jak on: bezwzględnie, bez miłości i bezdusznie.

Trudność jedynie, która występuje, ma miejsce przy karze wiecznej. Tutaj jest wiele pytań. Tam, gdzie nie ma miejsca na poprawę, gdzie wyrok jest nieodwołalny, jak podkreśla wiele tekstów Pisma świętego. Trudność tę rozwiązuje świadomość, że Bóg wszystko co czyni, czyni z miłości; że ta kara wieczna jest dziełem Jego miłości. Bo każda Jego decyzja podyktowana jest dobrem człowieka. Moim zdaniem jeszcze nie rozwiązaliśmy tej trudności.

Kara ze strony Boga w każdym przypadku jest lepsza, niż gdy jej nie ma. Miłosierdzie Boże jest nad wszystkim i na wieki, dlatego nie można przyjąć, że miłosierdzie Boże dotyczy tylko ludzi żyjących na ziemi. Tak często się mówi: tutaj jest czas miłosierdzia, a po śmierci miłosierdzie się skończyło. Czyżby Bóg zmienił się po śmierci człowieka? Już chociażby, co do tych, którzy w czyśćcu cierpią – przecież Pan Bóg wyprowadza ich z tego czyśćca.

Trudnym problemem do rozwiązania jest piekło. Oczywiście ten problem nie oznacza, że piekła nie ma – bo niektórzy to postulują dzisiaj. Niektórzy wracają do tak zwanej „*apokatastazy*” i mówią: piekła nie ma; „*hulaj dusza, piekła nie ma*”. Kościół oficjalnie na razie nie widzi pogodzenia tych poglądów ze swoją nauką, choć toleruje, muszą powiedzieć, książki, które wychodzą na ten temat. Między innymi takie książki w dużej objętości publikuje ksiądz Wacław Hryniewicz, pod wpływem teologii prawosławnej. Bo w prawosławiu sądy są podzielone. Mianowicie piekło jest tam również interpretowane mówiąc najkrócej w sensie czasowego trwania, że istnieje apokatastaza, którą głosił kiedyś Orygenes.

Gdy weźmiemy jednak Pismo św. pod uwagę, to znajdujemy tam ostre sformułowania, np. „*Idźcie precz ode mnie, przekłęci, w ogień wieczny*”, lub „*Bójcie się tego*” – ostrzega Chrystus – „*który duszę i ciało może zatracić w piekle*”. Jezus mówi o gorszyce-lach maluczkich, że lepiej by było, gdyby im kamień młyński uwiązano u szyi i

wrzucano w głębiny morskie. Jezus rzuca przekleństwo na niepokutujące miasta itd. – i cała tradycja chrześcijańska, np. św. Chryzostom, zalicza prawdę o piekle do prawd wstrząsających. Tak mówi 2 List do Tesaloniczan, czy św. Augustyn, który nazywa ją prawdą przerażającą w dziele „*Państwo Boże*”. Kościół przyjmuje wieczność piekła, to znaczy wiekuistą mękę potępionych, jako że Pan Bóg ma do tego pełne prawo – i takie wnioski można wyciągnąć z tekstów świętych.

Choć niektórzy są skłonni, żeby mówić o piekle na ziemi. Tak mówił Jean-Paul Sartre (1905-1980), że piekło jest tu na ziemi, czyli że piekło to jestem ja sam na przykład. Piekło to rzeczywistość społeczna, czy jakaś sytuacja ludzka. Czasem o okresie okupacji ludzie mówili: to było piekło! Otóż papież Benedykt XVI w swojej encyklice o nadziei mówi także o tych, którzy całkowicie zniszczyli w sobie pragnienie i gotowość do kochania, jako o tych, którzy nie nadają się do tego, żeby wejść do Królestwa. Dla nich wszystko stało się kłamstwem, którzy żyli w nienawiści, podeptali w sobie miłość, których już nie można uleczyć, u których zniszczenie dobra jest nieodwołalne. To jest to, mówi papież, na co wskazuje słowo „*piekło*”.

Z tym że znam takich, którzy mówią, że nie ma człowieka takiego, który by był do szczętu zły, żeby nic w nim nie było dobrego. No, ale to są refleksje, które służą innej opcji. Gdy weźmiemy np. objawienia fatimskie: jest tam charakterystyczna wizja piekła, jaką otrzymały dzieci oglądające Matkę Bożą w Fatimie. Ujrzały morze ognia, a w nim – czytamy – demony, dusze, które wyglądały jak przezroczyste czary lub brunatne żarzące się węgielki w ludzkiej postaci. Unosiły się w pożarze, uniesione przez płomienie, które wydobywały się z nich razem z kłębam dymu, opadały na wszystkie strony jak iskry w czasie wielkich pożarów, wśród bolesnego wycia, rozpaczliwego krzyku. Podobnie demony były przezroczyste. Biorąc pod uwagę objawienia fatimskie, wielu podkreśla, że Pan Bóg nam sugeruje, żebyśmy zajęli się prawdą o piekle. Tam Matka Boża skarżyła się między innymi, że wiele ludzi idzie właśnie dzisiaj do piekła. Opis piekła znajdujemy też u św. Faustyny Kowalskiej. Píše bardzo wyraźnie: „*Dziś, gdy byłam w przepaściach piekła, prowadzona przez anioła[...]* Jest to miejsce wielkiej karni” itd. I tu następuje opis tego, co widziała. Wizja piekła znajduje się także u św. Teresy Wielkiej, w jej pismach.

W każdym razie wielu nie umie pogodzić miłości Boga z karami, które zsyła Bóg na człowieka, zwłaszcza z karami wiecznymi. Jak gdyby te kary sprzeciwiały się miłości. Oczywiście, jest to bardzo trudna prawda, to musimy sobie powiedzieć. Wiemy jednak, że pewne kary człowiek, jakby przewiduje. Nie ma kary potępienia nieświadomej, czy niedobrowolnej. To jest wielka tajemnica. Znam księdza biskupa, który powiedział, że „*piekło na pewno istnieje (oczywiście był to wierzący biskup), ale ja uważam, że ono jest puste*” – takie miał trudności z piekłem. Ja osobiście myślałem nad tą sprawą i widzę tu pewien mankament wielki: na pewno piekło jest, ale pojęcie wieczności jest niesprecyzowane. Co to znaczy piekło wieczne? My np. uważamy, że wieczność to jest czas nieskończony. To nie jest żaden czas, nie ma czasu wieczności. A więc jest to temat, który nie został zupełnie w eschatologii zgłębiany. Zresztą wszy-

scy mówią, że eschatologia, czyli teologia rzeczy ostatecznych, jest w powijakach, a ta prawda w największych. Co to znaczy piekło?

Ksiądz Hryniewicz, gdy ukazała się encyklika, ogłosił wielki protestujący artykuł „*Nadzieja czy strach*” w „*Gazecie Wyborczej*”. Podkreśla w nim, że papież odbiera ludziom nadzieję. Ksiądz Hryniewicz twierdzi, że Benedykt XVI podtrzymuje oczywiście naukę Kościoła, który straszy niesłusznie ludzi piekłem. Chociaż, jak ja przeczytałem dokładnie ten jego artykuł, on wiele rzeczy tam przeoczył. Oczywiście odwołuje się między innymi do teologii prawosławnej, ale tylko do niektórych teologów prawosławnych, którzy jakąś książkę wydali we Francji, że oni nie przyjmują wieczności piekła itd. A więc w każdym bądź razie ksiądz Hryniewicz uważa, że Ojciec święty stanął na stanowisku, że nie ma nadziei dla wszystkich, tzn. ci, którzy idą do piekła nie mają nadziei. To co Dante umieścił na bramach piekła: *„Wy, którzy tu wchodzicie, porzućcie wszelką nadzieję.”*

Oczywiście Kościół tych poglądów, takich bezradnych, gdzie człowiek sobie nie może pewnych prawd wytłumaczyć, nie odrzuca. Nie było żadnej rewolucyjnej odpowiedzi na tę bardzo grubą książkę, zresztą dlatego, że ksiądz Hryniewicz powołuje się na Ojców Kościoła, a zwłaszcza na Orygenesę, który głosił apokatastazę. Chcę powiedzieć w związku z tym na samym końcu: Pan Bóg postanowił każdemu pokazać swoje miłosierdzie – to jest pewne. Postawił człowiekowi pewne warunki. Spełnienia tych warunków może oczekiwać, ale Kościół nigdy, w całej swojej historii nie orzekł personalnie, kto poszedł do piekła, tak jak orzeka się dogmatycznie, kto jest w niebie przez kanonizację. Nie ma czegoś takiego. Że piekło jest, to jest pewne, ale kto idzie do piekła – chociaż są postawione warunki – tego nie wiemy. To jest tajemnica Bożej sprawiedliwości i Bożego miłosierdzia. I my Panu Bogu, moim zdaniem, nie możemy tak bardzo zaglądać w karty. Bo wiemy, że to nasze myślenie o sprawiedliwości jest ciasne, a jeszcze ciaśniejsze jest nasze myślenie o nieskończonym Bożym miłosierdziu.

Może na zakończenie powiem coś, co ma charakter kawału. Właśnie na temat piekła. To jest anegdota o góralu, który po śmierci znalazł się u bram raju, gdzie wazono jego czyny na wadze, jak to spektakularnie się robi. Po zważeniu okazało się jednak, że dokładnie jest tyle samo zła i tyle samo dobra. Był problem. Te czyny wazył Piotr. Drapał się w głowę, co tu z tym fantem zrobić. Zawołał Pawła, mówi: *„Ty jesteś mądrzejszy, powiedz mi, jak rozstrzygnąć tę sprawę?”* Paweł przychodzi, mówi: *„Wiesz co, pozwól, niech sobie góral wybierze, jest równo – albo niebo, albo piekło”*. Góral mówi: *„Mogę wybierać? No to świetnie, no to dobrze, to ja zobaczę, ja sobie porównam.”* Piotr oprowadza go po niebie. Wszystko ładne, chóry anielskie śpiewają itd. Piotr mówi: *„Dobrze, jak to, chyba zostajesz tu?”* Góral na to: *„No, ale jak mam wybierać, to muszę zobaczyć też piekło”*. A więc prowadzą go do bram piekła, tam go zabierają diabły, oprowadzają: do jakiegoś stołu, bankiet, likiery, napoje, smakołyki, obsługa, kelnerki, wszystko, muzyka gra – niesamowicie, fantastycznie! Poczł się tam bardzo dobrze. No i potem, gdy Piotr mówi: *„To co? Idziesz?”*, mówi: *„Tak mówili, że w piekle jest tak źle, a tu się okazuje co innego. Ja tu chyba zostanę”*. Piotr na to: *„No, ale wiesz, na-*

prawdę? Wiedz, że powrotu nie ma". Góral na to: „Ja jednak się przekonałem, że to jest coś dla mnie". Wraca – a tam już go od bram biorą na jakieś koło męki, a on krzyczy: „Gdzie te napoje? Gdzie to wszystko?" A diabeł: „To ty się nie znasz na reklamie?" Więc tak to jest z tym piekłem. W każdym razie to piekło może być w jakimś sensie reklamowane i tak być może, że dzisiaj jest.

Jest to temat, który chciałem tylko dopełnić. Myślę, że podejmując go w encyklice Ojciec święty chce nas zachęcić, byśmy myśleli trochę na temat sądu ostatecznego. Czy on jest dla nas nadzieją? Uczynić go nadzieją dla siebie, a także uczynić ten sąd nadzieją dla innych. Jest tu potrzebne dobre prezentowanie sylwetki Pana Boga, pokazywanie właściwej wizji, bo to co jest przyczyną ateizmu, odrzucenia Boga, stronięcia od Boga, to jest rzeczywiście fałszywe pojmowanie kim On jest. My nie poznamy Go dokładnie, ale często zbyt fałszywie myślimy o Bogu. Myślę, że podkreślanie, że miejscem naszej nadziei powinien być sąd ostateczny, łączy się z pojmowaniem Boga, Który – do tego trzeba wracać – Który jest miłością i sprawiedliwością, Który łączy w sobie te dwie cechy.

HOMILIA Z 24. 07. 2008 R. ŚWIĘTEJ KINGI

Jest sensowne, aby we Mszy św., która inauguruje rekolekcje święte, postawić sobie pytanie, jakie jest pierwsze słowo Boga, które On chce do nas skierować. Kiedyś ksiądz profesor Włodzimierz Sedlak (1911-1993), znany w świecie uczony, prowadził lekcje religii w szkole średniej. Ktoś pisał wypracowanie – najgorsze było pierwsze słowo. A on mówi do dziewczyny, której z tym słowem nie szło: *„Opuść pierwsze, a pisz następne”*. Jednak tu nie da się opuścić pierwszego słowa.

To pierwsze słowo, które Pan Bóg ma nam do powiedzenia, trzeba wysłuchać. Myślę, że chce On nam powiedzieć mniej więcej to samo, co kazał głosić prorokowi Jeremiaszowi publicznie w Jerozolimie. Kazał przypomnieć Jerozolimie jej wierność w młodości, jej miłość narzeczeńską, bo tak została ona nazwana. Potem wspaniały entuzjazm, przebywanie z Bogiem na pustyni, to właśnie, co się dzieje w trakcie rekolekcji, łaskę Boga i Jego troskę o nią jak o swoją własność. Kazał prorokowi uświadomić Izraela, że mimo tych dobrodziejstw ze strony Boga, Izrael zbezcześcił Jego ziemię. Kapłani nie szukali już Boga, jak słyszeliśmy. Nie mówili: *„Gdzie jest Pan?”* Uczeni w Piśmie nie uznawali Go. Pasterze zbuntowali się przeciw Niemu. Prorocy zaczęli prorokować na cześć Baala i chodzili z tymi, którzy nie dają pomocy (Jr 2,8). *„Co się stało z Tobą, Jerozolimo?”* – mówi do niej Bóg przez proroka Jeremiasza – *„że Mnie, źródło wody żywej, opuścili, żeby wykopać sobie cysterny popękane, które nie zatrzymują wody”* (Jr 2,13). Czasem człowiek może stać się taką popękaną cysterną, do której wpływa dużo wody, ale która przecieka. Tak mogą się nie zatrzymywać w nas słowa, które Bóg do nas mówi, a gdzieś ulatują, jak to mówił Jezus w jednej z przypowieści. To jest obraz duszy, który Bóg przed nami kreśli.

Na początku tych świętych rekolekcji tekst Pisma ukazuje lata miłości, wierności, które porównuje do miłości narzeczeńskiej. Jest to czas przebywania z Bogiem

na modlitwie. Ale są też chwile odejścia od Niego, kiedy człowiek stygnie w miłości, kiedy nie szuka Boga, kiedy się buntuje, kiedy oddaje cześć jakimś innym bożkom. Bóg powiada, że odejście człowieka od Niego jest prawdziwie głupim posunięciem. Jest popadaniem w głupotę na własną szkodę. Tak, jak można było odejść od źródła, aby wykopać sobie dziurawę cysternę, tak dziś zamienia się czasem rzeczy cenne na byle jakie, bezwartościowe. Niestety człowiek umie tak postępować. W pewnym stopniu dotyczy to każdego. Dlatego Pan Bóg na początku tych rekolekcji pyta nas, ile razy kopaliśmy sobie taką dziurawą cysternę, ile razy odchodziłem od źródła wody czystej, żywej, pijąc jakieś napoje, które nie przynoszą zdrowia ani nie orzeźwiają człowieka.



Kanie Helenowskie

Dlaczego tak jest? Na to pytanie odpowiada Ewangelia święta. Przedziwne jest serce człowieka, które może powiedzieć „tak” i „nie”. Przedziwna jest jego tajemnica. O tym mówi Jezus w Ewangelii, cytując proroka Izajasza: „*Słuchać będziecie, a nie zrozumiecie, patrzeć będziecie, a nie zobaczycie*” (Iz 6,9; Mt 13,14). Ilu to słucha i nie rozumie. Weźmy tymczasem takiego przeciętnego katolika - przeciętność w chrześcijaństwie zawsze jest czymś złym. Słucha, ale nie rozumie i nie wyprowadza z tego żadnych wniosków. Patrzy, a nic nie widzi. Można wybrać się na ciekawą wycieczkę, oglądać skarby i nic nie zobaczyć. Przyjechać takim, jakim się było. Dlaczego tak jest? Jezus tłumaczy: „*Bo stwardniało serce tego ludu*”. Co znaczy twarde serce? Kiedy twardnieje moje serce? „*Uszy stępiały*” (Iz 6,10; Mt 13,15). Dzisiaj coraz więcej ludzi, zwłaszcza młodych, jak wykazują badania, traci słuch. Wychowani w hałasie, noszą-

cy różnego rodzaju aparaty na uszach. Albo oczy mają zamknięte, nie otwarte, aby się nie nawrócili.

Tu dotykamy sedna naszych rekolekcji. Są ludzie, którzy nie chcą się w niczym zmienić. Przy takim założeniu przyjazd na rekolekcje jest nieporozumieniem. Nie ma człowieka, który by nie powinien czegoś zmienić, bo grzesznik – mówi Pan Bóg gdzie indziej – ma się nawracać, a święty ma się jeszcze bardziej uświęcać, kto kocha, ma jeszcze bardziej kochać. Granica tej miłości nigdy nie jest przez człowieka całkowicie osiągnięta. Tajemnicą odwrócenia się od Boga jest twarde serce, zamknięcie uszu, oczu, jakieś stępienie, niewrażliwość. Człowiek czasem jest taki, że usłyszy, co chce. Nastawia uszu tam, gdzie nie trzeba. Tam, gdzie powinien nastawiać uszu, nie nastawia. Dlatego Jezus mówi: *„Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha”*. Nie od parady mamy nosić swoje uszy. One mają swoją funkcję.

Rekolekcje są otwarciem się na to, co mówi Bóg. O tym mówi dzisiaj epilog: *„[...] szczęśliwe oczy wasze, że widzą, i uszy wasze, że słyszą”* (Mt 13,16). To powinno być naszym szczęściem. Wtedy naprawdę rozpiera człowieka szczęście, że widzę, tak jak niewidomi, których Jezus uzdrawiał – ja widzę! Otwieram oczy! To mają być chwile szczęścia – zobaczyć, usłyszeć Boga. Chwile wyjścia z Nim na pustynię.

Do tego zachęca nas święta patronka dnia dzisiejszego: mieć w wielkiej czci te chwile. Zachęcał nas do wejścia w te chwile Duch Święty – na Jego cześć śpiewaliśmy na początku tej Mszy św. Wiemy, że On jest autorem wszelkich prawdziwych rekolekcji. Żaden rekolekcjonista, żaden wysiłek ludzki nie może spowodować tego, co jest istotą rekolekcji: usłyszeć Boga. Dlatego Jezus dziś w Ewangelii staje przed nami, odkrywając nam tajemnice.

Uczniowie Go pytają, dlaczego naucza w przypowieściach (Mt 13,10), i Jezus nam wyjaśnia, dlaczego musi mówić w przypowieściach. On jest przymuszony do tego, bo to jest jedyna szansa dla wielu ludzi, żeby Go przyjęli, bo przypowieść jest to mówienie o czymś, co jest znane. To jest tak, że niektórzy wolą słuchać różnego rodzaju przykładów w czasie kazań, bo nie muszą dużo myśleć, ale niekiedy bywa tak, że przykład zapamiętują, ale nie biorą przykładu do siebie. Przykład może być jednak wstępem do zrozumienia.

Odpowiedź na pytanie, które uczniowie postawili Jezusowi, była zaskakująca. Jezus wyjaśnił, że w przypowieściach mówi do tych, którym nie dano poznać tajemnic Królestwa Niebieskiego (Mt 13,11). Można by w tym momencie zapytać, czy my nie mamy oporów, słuchając tej Ewangelii. Jak to? Już z góry są na to przeznaczeni, aby nie poznać tajemnic Królestwa? To po co do nich mówić? Jakaś predestynacja? Nie, nie o to tutaj chodzi. Chodzi o to, że niektórzy ludzie nie są otwarci i mówienie do nich wprost w ogóle nie ma szans. Nie są zdolni w danej chwili rozumieć tych tajemnic. Jest im potrzebne jakieś przybliżenie i dlatego trzeba do nich mówić w przypowieściach. Taki jest sens przypowieści ewangelicznych. Jezus dokładnie wyjaśnia: *„mówię do nich w przypowieściach, że otwartymi oczami nie widzą i otwartymi uszami*

nie słyszą ani nie rozumieją". Na nich spełnia się przepowiednia Izajasza (Mt 13,13n). Powiada Jezus: „*Słuchać będziecie, a nie zrozumiecie, patrzeć będziecie, a nie zobaczycie*".

Osobiście spotykam się z czymś takim, nie tylko w duszpasterstwie – także w swoich zajęciach seminaryjnych. Są tu wśród Was nauczyciele i chyba mają podobne odczucia, że kiedy omawia się jakieś trudne problemy, słuchacze nagle wypadają z szeregu, nie idą za tokiem myśli, nie rozumieją, o co chodzi, i często proszą, aby podać jakiś przykład, jakieś porównanie. Dopiero wtedy wszystko staje się zrozumiałe. Ilustruje to potrzebę takich porównań. Dlatego w ludowych rekolekcjach często są stosowane porównania i przykłady. Podobnie jest w sprawach Królestwa Niebieskiego.

Kazania wygłaszane do tłumów różnią się od konferencji, w których wnika się w głębsze sprawy, w meritum rzeczy. Przykłady i porównania owszem, przybliżają. Dlatego Jezus tak dużo mówił w przypowieściach. Chciał, żeby Ewangelia rozeszła się jak najszerzej. Jest bardziej zrozumiała dla dzieci i ludzi prostych. Niekiedy w trudnych sprawach przypowieści nie są potrzebne, ale trzeba też przejść do języka prozy. Mamy taką sytuację w Ewangelii, kiedy Jezus na osobności tłumaczy uczniom przypowieści – oni też byli w pewnym okresie na etapie wstępnym. Szli jednak dalej i pytali, co to wszystko znaczy. Inni może posłuchali i nie było takich, którzy by pytali. Słowa zapadały w ich świadomość, ale nie było kończącej refleksji.

Możecie zapytać, co to ma wspólnego z naszymi rekolekcjami. Pan Bóg do Was dzisiaj mówi Swoje pierwsze słowo. Na pewno jest w nim zawarte ogromne życzenie, ażebyśmy byli szczęśliwi, gdy Jezus mówi do nas wprost, gdy Go rozumiemy, gdy Go słyszymy, gdy Go nawet widzimy. Niektórzy byli z Nim tak blisko, że Go widzieli. Święta Faustyna widziała Go, rozmawiała z Nim a także inni święci. Warto zapytać siebie, na jakim etapie słuchania Jezusa jestem, już teraz na początku rekolekcji. Czy Jezus jeszcze musi do mnie mówić w przypowieściach, czy już może mówić otwarcie, z serca do serca. Czy już otwarte są nasze oczy, uszy i serce na rozumienie Jego słów. Bardzo ważne pytania. Kluczowa sprawa naszego życia duchowego.

Muszę powiedzieć, że w tych rekolekcjach mam określony, zadany temat, który jutro przedstawię w pierwszej konferencji. Nie wiem, kto ten temat wymyślił, ale nie nastawiłem się, żeby mówić w przypowieściach, tylko wprost, i gdy będziecie brać do ręki Pismo Święte, to trzeba wychodzić poza nie. Już bez przypowieści Jezus mówił Kazanie na Górze, które jest konstytucją ucznia Jezusowego. Wejście w sens rekolekcji jest wejściem w bezpośrednie słuchanie Jezusa.

Chciałbym, żeby moje słowo zostało potraktowane jako pomoc w uświadczeniu pewnych dziedzin, w które trzeba nam wniknąć. Z pewnością czujemy wszyscy, potrzebę tych dni, bo inaczej byśmy tu nie byli, aby posłuchać Boga w benedyktyńskim zaciszu. Myślałem o tym przechodząc przez szosę pełną samochodów w piękne zacisze. Gdy się wejdzie w ten gmach, a zwłaszcza do świątyni, to już się czuje ciszę.

Chcemy, jak zachęca prorok Jeremiasz, wspomnieć czasy, kiedy byliśmy w ścisłym kontakcie z Bogiem. Czas naszego z Nim narzeczeństwa, to znacz wszystkie chwile, które są naszą chlubą, wszystko, co Pan nam uczynił, czego przez nas dokonał. Jesteśmy też wezwani, żeby przypatrzeć się temu wszystkiemu, co Bogu jeszcze nie bardzo się podoba, naszemu zbyt słabemu szukaniu Boga, co wyrzucał Izraelitom przez proroka Jeremiasza, naszym buntom. Temu, czego nie chcemy tolerować, zwłaszcza żebyśmy nie kopali tych miejsc dla cystern popękanych, o których mówi Jeremiasz, że wody nie zatrzymują. To już jest taka mała przypowieść.

W tej naszej pracy jest już obecny Duch Święty, bo jest przekonanie, że modlitwa o Ducha Świętego zawsze jest wysłuchana. On jest, a więc już mówi i wiadomo, że będzie mówił, tylko nie wiadomo na pewno, czy ja będę Go słuchał tak, jak trzeba. Tego człowiek nie jest nigdy całkowicie pewien. Jest powiedziane, że On tchnie, kędy chce. Nie wiemy, które momenty dnia czy nocy będą najbogatsze w Jego tchnienie. Dlatego chcielibyśmy sobie uświadomić, że otwarcie się na Jego głos jest podstawą tych rekolekcji. Otwarcie jest warunkiem odmiany, która może się dokonać w naszym życiu. On jest od tego, żeby odnawiać oblicze Ziemi. Powinniśmy pamiętać, że On jest z nami bardziej niż my z Nim. Chce być zauważony. Chce nas prawdziwie spotkać. Ten czas się zaczyna, wielki czas, mało komu znany, kiedy rodzi się entuzjazm. Ten czas graniczy z duchową eksplozją: lepszym zaplanowaniem życia, gorliwością, postanowieniami, większą konsekwencją.

Święty Augustyn w takich chwilach modlił się: „*Panie, abym poznał Ciebie i siebie*” – tylko dwie rzeczy: kontakt z Nim i w jego kontekście zobaczenie siebie. Te dwie sprawy ściśle się ze sobą łączą. Jak powie po wiekach Błażej Pascal - jeżeli jest tylko poznanie Boga, to możemy wpaść w pychę; jeżeli znamy tylko siebie, możemy paść ofiarą rozpaczy, zniechęcenia. Dlatego te dwie sprawy muszą się łączyć. Wtedy mamy dopiero prawdziwe poznanie, prawdziwy fundament. Rekolekcje łączą ściśle kontemplację Boga ze spojrzeniem na siebie: patrzenie na siebie w świetle Bożym. Bez tego spojrzenia na Boga nie ma widzenia siebie, a bez widzenia siebie nie ma konsekwentnego spojrzenia na Boga. Pan Bóg nam pokazuje - zobacz, jakim jesteś. Zobacz, na jakiego Cię jeszcze stać. Zobacz swoje negatywy, ale zobacz też pozytywy, dary, które Ci dałem, których nie rozwinąłeś.

Jest to czas do wykorzystania i jest on ważniejszy niż niemal każdy inny czas, bo on pracuje na wszystkie czasy, jakie mamy w swym życiu. Tu Bóg się z nami umówił. Dlatego niech ten czas do Niego należy. Należymy do Niego w tej logice wiary i Ewangelii. On prawdziwie będzie naszym czasem, szczęściem patrzenia i słuchania, o którym mówi dzisiejsza Ewangelia.

Odprawiamy te rekolekcje wspólnotowo. Mogłyby być one odprawiane zupełnie, jak to czynią pustelnicy. Należy się za siebie modlić, żeby sobie pomagać, żeby być dla siebie wzajemnie przykładem. Niechże więc dzieją się te rekolekcje! Z pewnością spogląda na nas Ta, która najbardziej jest nimi zainteresowana – Matka Syna Bożego, Matka Słowa Bożego, Ona, Która wciąż rozważała Słowo Boże w swym sercu, i ciągle szuka tych, którzy by wstępowali w Jej ślady. Módlmy się o to,

aby te oczekiwania Boże, zanim będziemy mówić o innych oczekiwaniach, w nas się zrealizowały.

HOMILIA Z 25. 07. 2008 R. ŚWIĘTEGO JAKUBA

„Wtedy podeszła do Niego matka synów Zebedeusza ze swoimi synami i oddając Mu pokłon, o coś Go prosiła. On ją zapytał: „Czego pragniesz?” Rzekła Mu: „Powiedz, żeby ci dwaj moi synowie zasiedli w Twoim królestwie jeden po prawej, a drugi po lewej Twej stronie”. Odpowiadając Jezus rzekł: „Nie wiecie, o co prosicie. Czy możecie pić kielich, który Ja mam pić?” Odpowiedzieli Mu: „Możemy”. On rzekł do nich: „Kielich mój pić będziecie. Nie do Mnie jednak należy dać miejsce po mojej stronie prawej i lewej, ale [dostanie się ono] tym, dla których mój Ojciec je przygotował”. Gdy dziesięciu [pozostałych] to usłyszało, oburzyli się na tych dwóch braci. A Jezus przywołał ich do siebie i rzekł: „Wiecie, że władcy narodów uciskają je, a wielcy dają im odczuć swą władzę. Nie tak będzie u was. Lecz kto by między wami chciał stać się wielkim, niech będzie waszym sługą. A kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem waszym, na wzór Syna Człowieczego, który nie przyszedł, aby Mu służono, lecz aby służyć i dać swoje życie na okup za wielu.” (Mt 20, 20 – 28) Dzisiaj jesteśmy w szczególny sposób zaproszeni jako, że jest święto, do wsłuchania się w Liturgię świętą, która niesie dla nas bardzo ważne przesłanie. W centrum tego przesłania znajduje się święty Jakub zwany Większym. Tych, którzy słuchali Jezusa można podzielić przynajmniej na trzy kategorie. To znaczy na tłumy, na tych dwunastu, i jest jeszcze trzecia kategoria, w której znajduje się Jakub. Są to wybrani z dwunastu. Często Jakub znajduje się na czele różnych list, jest wymieniany nawet przed Piotrem w niektórych sytuacjach. Razem z Piotrem i Janem byli świadkami wydarzeń w życiu Jezusa, których nie widzieli inni apostołowie, np.: Przemienienia na Górze, czy modlitwy w Ogrójcu. Byli także świadkami wskrzeszenia córki Jaira. Ten starszy brat świętego Jana Apostoła, i jak on, syn Zebedeusza i Salome, urodzony w Betsaidzie, rybak znad Jeziora Galilejskiego, był znakomitością pierwotnego Kościoła. Powołany został z bratem Janem, gdy był na jeziorze i zarzucał sieci. Poszedł natychmiast za Jezusem po cudownym połowie ryb. Można wymieniać szereg sytuacji, które pokazują, jaką rolę święty Jakub odgrywał w tamtejszym Kościele. Był też bardzo poważany przez przeciwników Kościoła Świętego. Gdy został ścięty, to powstał nawet z tego powodu bunt wśród Żydów i musiał w związku z tym abdykować ze swojego stanowiska arcykapłan, który się do ścięcia przyczynił.

Ewangelia dzisiejsza pokazuje Jakuba razem z bratem jako tych, za którymi u Jezusa wstawia się ich matka. Czy coś złego zbroili? Nie, ona tylko chce, żeby Jezus im zagwarantował dobre miejsce w swoim Królestwie. Można powiedzieć - dobrą posadę. Z pewnością cieszyła się, że jej synowie poszli za Jezusem, ale chciała jeszcze przychylić im więcej szczęścia, aby owocem tego pójścia za Jezusem była maksymalna bliskość. Miejsca po prawej i po lewej Jego stronie w Jego królestwie to przecież największa bliskość, jaką można sobie wymarzyć, największy zaszczyt. A tu wyszło - że tak powiem - przysłowiowe „szydło z worka”. Odpowiedź Jezusa wskazuje, że to

nie ona sama od siebie przyszła do Niego z tą prośbą. To nie była dla jej synów żadna niespodzianka, bo mogli na przykład zaprotestować, czego na pewno nie uczynili, a jeszcze nadto odpowiedź Jezusa na to wskazuje, że to oni właśnie o to prosili i może wyszli nawet z inicjatywą. Święty Jan Chryzostom komentując ten tekst powiada wręcz: „*Synowie Zebedeusza nalegają na Zbawiciela*”. Widocznie oni sami nie mieli śmiałości, zatem poprosili matkę. Zresztą jakby wyglądali wobec kolegów, że chcą się wysunąć przed nich na pierwszy plan? Już nieraz przecież, jak ukazuje Ewangelia, kłócili się o to, kto będzie większy w Królestwie Niebieskim. Przecież doszłoby wtedy do awantury, może najlepiej będzie, gdy to zrobi ich matka. Jezus jednak wiedział dobrze, że to oni są główną sprężyną i dlatego nie odpowiada matce, tylko im: „*Nie wiecie, o co prosicie*”. Nie mówi: „*Matko, nie wiesz, o co prosisz*” ale „*Nie wiecie, o co prosicie*”. Pewnie mieli się w tym przypadku dość z pyszna, gdy to usłyszeli. Jak On przeniknął ich myśli, że mają takie ambicje.

Jezus odpowiada im pytaniem: „*Czy możecie pić kielich, który Ja mam pić?*” To znaczy, że miejsce jakie zajmuje się w Królestwie Niebieskim zależy od tego, jak głęboko jesteśmy zdolni wychylić kielich męki z Jezusem. To jest właśnie zasadnicza sprawa. Wszyscy interpretatorzy tego tekstu zdecydowanie powiadają, że w tym momencie Jezus udzielił im łaski. Dobrze, jeżeli mają takie pragnienie, to zgadzam się, będziecie pić ten kielich, ale mimo wszystko inni być może lepiej wypiją ten kielich, będą cierpieli więcej, bardziej bezinteresownie, bez ambicji, w większej pokorze i dlatego tym najbardziej pokornym należą się pierwsze miejsca w Królestwie. Przecież przed wami jest moja Matka, być może święty Józef i inni. Jaki jest klucz bliskości z Chrystusem w chwale? Tutaj nam wyjaśnia, im więcej jesteśmy zdolni zaofiarować Jezusowi, im większe ponieść dla Niego ofiary, tym większa jest chwała. Kto chce być wielkim niech będzie sługą, jeżeli staniesz się ostatnim w służbie, to znaczy ostatnim wśród ludzi, tak, ażeby w pełni służyć, oddać siebie, to jesteś pierwszy w Królestwie. Jest to zasada. Prawda, że ci ostatni w sensie pokory jakiegoś myślenia o sobie, oni będą pierwsi w Królestwie.

Synom Zebedeusza dostało się potem nie tylko od Jezusa ale i trochę od kolegów. Powiada Ewangelia, że gdy nadeszli, zobaczyli tę sytuację i oburzyli się mocno. Pisze Mateusz, że „*gdy dziesięciu to usłyszało, oburzyli się na tych dwóch braci*”. A więc nie udało się uniknąć awantury, której oni chcieli uniknąć, ale Jezus wszedł zdecydowanie w spór i tutaj widzimy znowuż, jakimi ambicjami żyli nie tylko ci dwaj bracia, ale i inni, którzy im zazdrościliby tej bliskości. I wtedy powiedział jak to jest w świecie i jak jest w Jego Królestwie, żeby sobie raz na zawsze to zapamiętali. Że wśród władców i wielkich tego świata jest właśnie ta pogoń, kto jest pierwszy, a wśród uczniów Jego tak być nie może. Kto chce być wielkim, powinien chcieć być sługą, a kto chciałby być pierwszy, powinien być niewolnikiem wszystkich. A więc racją bytu Jego uczniów jest tylko być sługą i być niewolnikiem innych. Być człowiekiem, dla którego „*ja*” nie istnieje, najważniejszy jest ten drugi. Żadne wysuwanie się do przodu, żadne „*zadzieranie nosa*”. Jezus przyszedł, tutaj przy okazji określa On swoją misję, jako Ten, Który służy i oddaje życie za innych. Tę naukę z pewnością dobrze sobie

zapamiętali wszyscy, nie tylko ci dwaj. Kościół jest sobą, kiedy służy. Ruch jest sobą, kiedy służy. I w tym stopniu, w jakim służyć jestem jego uczestnikiem. Jestem wielki, gdy jestem sługą. Jestem pierwszy, gdy jestem niewolnikiem wszystkich, to znaczy spełniającym życzenia wielu. Oczywiście życzenia racjonalne, gdy są w potrzebie.

Jak ta nauka koresponduje z treścią naszych rekolekcji? Nie można myśleć o swojej chwale nie myśląc o drodze, która do tej chwały prowadzi. Nie można uczestniczyć w chwale Jezusa nie uczestnicząc z Nim w Jego trudzie, w Jego męce, w Jego trosce o świat. Nie można zasiadać w Królestwie z Jezusem, nie pijąc kielicha razem z Nim. Największa więc chwała Boża, najwyższa także świętość, one domagają się najwyższej ofiary. Praktycznie ofiara ta nie musi wyrażać się w niezwykłych czynach, może wyrazić się w zupełnie prozaicznych gestach. Chcesz być świadkiem – mówi Jezus – bądź sługą, nie chciej nad nikim panować, nikomu nie dawaj odczuć, że jesteś kimś, stań się niewolnikiem wszystkich tak, jak Syn Człowieczy, który przyszedł, aby służyć. Więc Jezus powiada, że konsekwentnie iść za Nim, to przyjąć ideał Jego życia, a więc służbę. Dziś więc uczy nas święty Jakub, świadek głównych cudów Jezusa, razem z Janem, którego opanowało pragnienie bycia w chwale z Jezusem, jaką drogą iść do tej chwały. Po rozmowie z Jezusem zmienia się całkowicie jego życie. Wkrótce złoży to życie w ofierze. Zauważcie, to jest pierwszy męczennik wśród apostołów. Wypije, jak to zapowiedział Jezus, kielich Jego męki do dna.

Inni uczniowie uchwycili – można powiedzieć – część rozmowy Jakuba i Jana z Jezusem, więc oburzali się, ale potem też, gdy się dowiedzieli o tym dalszym ciągu, już się nie oburzali. Wiedzieli już, że oni są tacy sami, muszą nad sobą pracować. A więc dzisiejsze święto pokazuje, że ten, który był z Jezusem na Górze Przemienienia, widział Jego chwałę i zapragnął być w tej chwale. Jego pragnienie bliskości Jezusa właściwie było prawidłowe. Któż by powiedział, że ktoś z nas nie chce być blisko Jezusa? Tę bliskość jednak określa Pan Bóg, my nie możemy jej określić i ona nie może być naszym tytułem do wywyższania się nad innych. Niektórzy nam – ludziom religijnym – zarzucają, że się wynosimy nad drugich jako lepsi. Tymczasem nasza religijność nie powinna być tytułem do wynoszenia się. To, co jest lepsze w nas to jest dar otrzymany od Boga, to nie jest żadna nasza zasługa, żeby się tym chwalić. I dlatego dzień dzisiejszy, dzisiejsze święto, jest wezwaniem do porzucenia różnych ambicji i ambicyjek, które czasem są naszą pokusą. Jezus wzywa nas do zmiany myślenia, żeby nie myśleć w kategoriach dominacji – jakiegokolwiek, bo to jest myślenie tego świata, myślenie królów i książąt i panów. Jego uczniowie powinni myśleć kategoriami służby.

Pytamy się zatem w czasie tych świętych rekolekcji: co jest moją ambicją? Paradoksalnie powiedziałbym: czy moją ambicją jest brak ambicji? Brak wynoszenia się nad innych? Są tak zwane „zdrowe ambicje”. Można powiedzieć, że zdrową ambicją jest naśladowanie Jezusa. Zdrową ambicją jest być ostatnim, być niewolnikiem wszystkich, tak, jak pokazuje to dzisiejsza Ewangelia. Tego trzeba chcieć. Co ja wolę? Czy wydawać rozkazy innym, czy słuchać poleceń? To też jest jakieś kryterium, co jest moją ambicją. Ustawiać innych, czy być ustawianym przez innych. Korygowa-

nym, poprawianym, krytykowanym nawet. Święci świadomie często wybierali tę drugą alternatywę; chcieli być nawet odrzucani, chcieli być pogardzani. Nie lubili honorów, pochwał. Dla nich ważniejszy był plan bliźniego aniżeli ich własny. To „ty” było i jest u nich na pierwszym miejscu. W czasie rekolekcji chciejmy przypatrzyć się słabościom, które mamy w tej dziedzinie. Mieć właściwy stosunek do siebie samego, to jest wielka sztuka. Umieć po prostu z humorem popatrzeć na swoje błędy, słabości, niedoskonałości, nie tragizować drobiazgów. Pan Bóg, mimo naszej pracy nad sobą, pozostawia nam pewne słabości, abyśmy sobie nie przypisywali zbyt wielu sukcesów, byśmy się nie wynosili. Bo nie ma dla Niego gorszych błędów, wad i grzechów niż pycha, bo ona jest cechą charakteryzującą „Księcia Ciemności”. Pokora, mimo błędów, bardziej podoba się Bogu niż jej brak, choćbyśmy błędów nie popełniali. Jest to nauka, która płynie z dzisiejszego święta. Zresztą do tego zachęca nas święty Paweł, we fragmencie czytanego dzisiaj 2 Listu do Koryntian mówiąc, że przechowujemy nasz skarb w naczyniach glinianych. To znaczy, że powinniśmy pokornie mniemać o sobie. Jeżeli nie trwamy w postawie pokory, to łatwo mogą nas złamać różne cierpienia i niepowodzenia życiowe. Możemy nie mieć dość siły, aby nie zwątpić, nie zginąć.

Także święty Jakub i dzisiejsza liturgia wnosi w nasze życie ogromne światło, jak zostać typem szczęśliwca. Człowieka oddanego służbie, zachowującego pokorę, wykorzystującego swoje słabości. Dlatego w tej mszy świętej prosimy Pana Boga za wstawiennictwem świętego Jakuba o cnoty tak elementarne i tak ważne w naszym życiu. Które nam są potrzebne, abyśmy dostrzegli, że w naszym trudzie, nawet poniżeniu można ujrzyć blask chwały. Wtedy żaden dzień nie będzie dla nas niemiłym zaskoczeniem. Wszystko, cokolwiek nas spotka, będzie pomagało nam ku dobremu. Te pozorne przeciwności i trudności będą szczeblami, po których się idzie do chwały. Nie ma innej drogi. To właśnie znaczy pytanie Jezusa, które On stawia nam wszystkim: „Czy możecie pić razem ze Mną z kielicha, z którego Ja piję?” Amen.

HOMILIA Z 26. 07. 2008 R. ŚWIĘTYCH JOACHIMA I ANNY

Dzisiejszy dzień z punktu widzenia liturgii jest dniem szczególnym. Jak zauważyliśmy na wstępie do mszy świętej, chodzi o wspomnienie świętych Joachima i Anny. Przez wiele lat obchodzone jako wspomnienie jedynie świętej Anny. Różne jednak były losy świętej Anny właśnie w tej Liturgii. Raz ją oddzielano od świętego Joachima, to znowu łączono. Teraz, jest obchodzone łącznie, choć na Śląsku ma jeszcze formularz rozdzielny. Łączne obchodzenie w Liturgii świętych Joachima i Anny sprawia, że Liturgia akcentuje to, co jest im wspólne. Przede wszystkim fakt, że oboje są rodzicami Najświętszej Marii Panny. Chciałbym to mocno podkreślić. Stąd w Liturgii, w czytaniach przeznaczonych na to wspomnienie czytany jest fragment z Księgi Syracyclesa, w którym mamy do czynienia z różnymi pochwałami odnoszącymi się do przodków, zwłaszcza rodziców, którzy wsławili się sławnym potomstwem. Wiadomo, że dzieci zazwyczaj bardzo dużo zawdzięczają swoim rodzicom.

A w pewnym sensie wielkość dziecka stanowi świadectwo o wielkości duchowej rodziców. W dużym stopniu dziecko jest podobne do swoich rodziców nie tylko zewnętrznie ale również wewnętrznie. Jak to się mówi: jabłko nie pada daleko od jabłoni. Każdy człowiek, choć jest dziełem Boga, jest przecież owocem miłości i życia duchowego swoich rodziców.

Odnosi się to również do Najświętszej Marii Panny. Ona jest ich dzieckiem. Zauważmy, że to oni otrzymali łaskę od Boga, że ich dziecko poczęło się niepokalane. Nie ma takiego drugiego małżeństwa. Nawet w małżeństwie Zachariasza i Elżbiety, Jan nie począł się niepokalany. On został dopiero uświęcony po jakimś czasie, w łonie swojej matki. A więc ich zasługą, Joachima i Anny, jest że nie uczynili niczego, co mogłoby naruszyć wielki plan Boga w stosunku do Maryi. Aby nie tylko poczęła się bez grzechu, ale także, aby całe życie przeżyła bez grzechu. Jest to wielkie dzieło ich współpracy z Bogiem. Dlatego oddajemy im taką cześć i słusznie chyba Kościół podkreśla, żeby taką cześć oddawać im wspólnie, żeby nie rozrywać tego świętego małżeństwa, nie tylko liturgicznie. Mając na uwadze zrodzenie przez nich Najświętszej Marii Panny, możemy odnieść do nich pochwałę, podobną do tej, jaką wypowiedziała pewna kobieta z Ewangelii pod adresem Jezusa: „*Błogosławione łono, które Cię nosiło i piersi, któreś ssał*”. Te słowa, niektórzy Ojcowie Kościoła, odnoszą także do świętej Anny. Błogosławiona Anna, wołają Ojcowie Kościoła, która nosiła w swoim łonie tę, która miała być Matką Zbawiciela Świata, która pochylała się nad nią, gdy przyszła na świat, która była pierwszym świadkiem jej najświętszego życia, która też razem z Józefem upatrzyła jej człowieka, jak mówi tradycja, który jako mąż uszanuje wielką tajemnicę Maryi. To było wielkie ich dzieło współpracy z Bogiem. Byli pierwszymi czcicielami, można tak powiedzieć, Najświętszej Maryi Panny.

Sławia ich teksty Liturgii godzin przeznaczonej na dzisiejsze wspomnienie. Tę godzinę czytań wczoraj odprawiliśmy wieczorem razem z Braćmi. Jest tam hymn, który mówi: „*Raduj się Matko pełna łaski, wesel się Anno razem z Joachimem, rodzice gwiazdy jaśniejącej blaskiem*”. Wspaniałe poetyckie wyrażenie tej prawdy. Wysławia ich święty Jan Damasceński, jeden z Ojców Kościoła, we wspaniałej homilii, kiedy podkreśla, że Anna była długo bezpłodna, ponieważ natura nie ośmieliła się wyprzedzić łaski. Ojcowie Kościoła mają niesamowite sformułowania tej tajemnicy. Bo wypadało - powiada on - aby pierworodną była ta, która miała urodzić Pierworodnego wszelkiego stworzenia. Tutaj te skojarzenia są niesamowite. Z owocu poznaje się drzewo. Dziecko świadczy o czystości i świętości swoich rodziców. Jezus świadczy jak mówi Jan Damasceński : „*o ustach, które okrywały go pocałunkami*”. Wiele tu bardzo ciepłych rodzinnych określeń.

Joachim i Anna pierwsi wiedzieli to, co wielu pragnęło widzieć, a nie widziało. Oni widzieli - o tym mówi Ewangelia - Matkę Zbawiciela świata, mogli ją oglądać na co dzień z bliska. Kult Joachima i Anny nie byłby pewny i pełny, gdyby poprzestać jedynie na wysławianiu słowami. Oni powinni być naśladowani w swoim stosunku do Maryi. Chciałbym to podkreślić. Może mało kto o tym myśli, żeby naśladować w swoim życiu Joachima i Annę. Dlaczego ich naśladować? Dlatego, że ich rodziciel-

stwo jest nie tylko fizyczne w stosunku do niej, jest przede wszystkim duchowe. Zresztą wszelkie macierzyństwo i ojcostwo z natury swej, jest przede wszystkim duchowe. Fizyczne macierzyństwo, biologiczne, czy ojcostwo, jest konsekwencją duchowego poczęcia. Oni uczą nas jak wprowadzić Maryję w nasze życie. Tak jak wprowadzili Ją w życie swoje. Jak Ją przyjąć, jak ukochać, poznawać, odkrywać. Jak sprawić, aby mogła dobrze pełnić swoje zadanie wśród ludzi, a potem zgodziła się na przyjęcie Jezusa we własne życie.



Częstochowa

Joachim i Anna jawią się przed naszymi oczyma jako wzór troski o obecność Maryi w życiu ludzkim, bo dzięki nim wchodzi w życie Jezus. Zauważcie, Maryja toruje drogę Jezusowi. Jest bardziej czczony, gdy Ona bardziej jest czczona. Maryja w tradycji chrześcijańskiej jest tą, która kształtuje nas do Jezusa, która w nas rodzi Jezusa. A więc troska o Jej cześć, jest troską o większą cześć dla Jezusa. Podkreślamy, że przez Maryję trzeba iść do Jezusa - „*per Mariam et Christum ad Jesum*”. Powstaje też pytanie: czy nie lepiej, nie trafniej idziemy też do Maryi przez Joachima i Annę? Właśnie. Lepiej rozumiemy Maryję oddając Jej taką cześć, jaką oddawali Jej Joachim i Anna. Wnioski, jakie chcielibyśmy wyprowadzić z tej refleksji: Joachim i Anna jawią się jako wzór pracy i życia, które mają swoje echo w dalekich pokoleniach następnych. Po prostu, było to dzieło życia, które pracuje dla całych pokoleń, bo wszystko inne jest jakby ich konsekwencją. Powstaje pytanie, jak pracujemy dla przyszłości, dla przyszłości Kościoła, dla przyszłości Ruchu? Jest taka pieśń, która mówi: „*przyjdą po nas inni ludzie*”. Czy są inni, którzy wchodzić w nasze dziedzictwo, co my im zostawimy? Kościół podziwia dzisiaj to, co dali światu Joachim i Anna. A co my zostawimy?

wiamy dla następnych pokoleń? Joachim i Anna można powiedzieć, nawiązując do naszego tematu, są to ludzie nadziei, ludzie perspektywy, nie tylko własnej, lecz perspektywy całej ludzkości. Przede wszystkim długo pielęgnowali w sobie nadzieję na to, żeby przyszło dziecko w ich małżeństwie. A ta nadzieja choć późno zrealizowana przeszła wszelkie ich oczekiwania - zrodzili dziecko niepokalone. Od wieków przewidziane przez Boga na Matkę Zbawiciela.

Tak mi się kojarzy, że pierwsze pokolenie „maitrowców”, do którego będą nawiązywały następne pokolenia, ma podobne zadanie. Mówi się czasem o pokoleniu założycielskim. Jeżeli żyje ono prawdziwą nadzieją, to owoce tej pracy mogą być większe niż własne oczekiwania. Rolnik, który sieje nie wie, co z tego wyrośnie. Bo czasem plon przerasta jego najśmielsze oczekiwania. I dlatego jakimś znakiem do naśladowania Joachima i Anny jest szerzenie też ducha odpowiedzialności ojcowskiej i macierzyńskiej, można by powiedzieć. Miłość ojcowska i macierzyńska, to coś więcej niż braterska i siostrzana. To nie tylko braterstwo. To jest duża odpowiedzialność. A myślę, że ona jest szerzona w czymś takim szczególnym, co się nazywa Adopcją Serca, gdzie wyraźnie zaakcentowany jest prymat wychowania. Inwestycja w edukację, ważniejsza niż inwestycja w jakieś nowe budowle, nowe struktury i urządzenia. Te i tym podobne refleksje niech nam towarzyszą, kiedy przed nami Bóg stawia te dwie świetlane postacie Joachima i Annę.

HOMILIA Z 28. 07. 2008 R.

Jr 13, 1-11; Mt 13, 31-35

W dzisiejszej Liturgii jesteśmy zapraszani przez Pana Boga, aby być Jego dumą i pięknym pasem, a nie pasem zbutwiałym. Oglądamy proroka Jeremiasza, któremu Pan Bóg każe kupić lniany pas, włożyć go na biodra, a potem iść nad Eufrat i schować ten pas w rozpadlinie skały. Po wielu dniach każe mu ten pas zabrać po to, żeby prorok zauważył, że pas zbutwiał i do niczego się nie nadaje. W opisaney sytuacji Pan mówi do Jeremiasza - *„Tak oto zniszczę pychę Judy i bezgraniczną pychę Jerozolimy. Przewrotny ten naród odmawia posłuszeństwa moim słowom, postępując według swego zatwardziałego serca; uganiania się za obcymi bogami, by im służyć i oddawać cześć – niech więc się stanie jak ten pas, który nie nadaje się do niczego”*.

Kupić pas – oznacza tutaj dla Izraela, być jak pas, który przylega do bioder mężczyzny. To znaczy być dla Boga zaszczytem i dumą, bo piękny pas jest często takim zaszczytem. Schować ten pas w rozpadlinach skały, oznacza zdjąć go, odrzucić go nawet od siebie, sprawić, że on zbutwieje i nie będzie się już nadawał do niczego. Pas jest też synonimem wierności Bogu, a odrzucenie go oznacza bezgraniczną pychę i nieposłuszeństwo, a nawet przewrotność i zatwardziałość, uganianie się za obcymi bogami i oddawanie im czci.

Pierwsze czytanie stawia nam pytanie rekolekcyjne: kim jestem dla Pana Boga i czym? Czy jestem pasem zaszczytu i dumy? Tak jest wtedy, gdy daję o Nim dobre świadectwo. Czy też jestem pasem zbutwiałym, który się nie nadaje do niczego? Tak

się dzieje, gdy uganiam się za innymi nadziejami. Pan Bóg robi nam dzisiaj rachunek sumienia. Uświadamia nam zakres naszej pychy - nasze ambicje, nieposłuszeństwa, próby realizowania własnej woli, decydowania o tym, co do nas nie należy, ugania się za różnymi ciekawostkami, nowinkami, które są nieprzydatne dla naszego życia duchowego. To jest ten odrzucany butwiejący pas. Każdy grzech i każda ziem- ska nadzieja są krokiem w tym kierunku. Ale jesteśmy też dziś wezwani, aby jak pas lniany, tchnący świeżością, przylegający ściśle do Boga, stać się zaczynem Jego Kró- lestwa. Aby dać swój skromny wkład w rozwój tego Królestwa, co dokonuje się, ile- kroć angażujemy się w spełnienie Jego woli, kiedy odpowiadamy na potrzeby czasu, na potrzeby biednych, najbiedniejszych, nie patrząc na to, że nasze ziarno jest małe i wydaje się być bardzo skromne. Gesty, niby nic nieznaczące, ni stąd, ni zowąd, znaj- dują swój oddźwięk, okazują się jednak gestami znaczącymi. Tak jak to najmniejsze ziarno z przypowieści – z niego wyrasta wielkie drzewo, wielki plon. I dlatego to małe ziarno trzeba wrzucić w ziemię „*mimo wszystko*” jak powiedziała błogosławio- na Matka Teresa, która też miała swój pierwszy krok - jedną osobę.

Każda inicjatywa ma swój mały, mizerny początek. Aż rozrasta się w dzieło. To Pan Bóg daje wzrost naszemu ziarnu, my nie możemy przewidzieć losów plonu. A po jakimś czasie, stopniowo to najmniejsze z wszystkich nasion wyrasta i staje się największe – *tak że ptaki przylatują z powietrza i gnieźdzą się na jego gałęziach* – jak mówi Ewangelia. To, co małe, jest tak bardzo ważne w naszym życiu, jest ważne dla roz- woju Królestwa. Od wierności w małych rzeczach zależy wierność w wielkich rze- czach, zwłaszcza wierność Bogu.

Podobnie jest z zaczynem, który jest też nikły. W Ewangelii świętego Mateusza Pan Jezus sam mówi o Królestwie Bożym, porównując go do *zaczynu, który pewna kobieta wzięła i włożyła w trzy miary mąki, aż się wszystko zakwasiło*. Taki jest sens Kró- lestwa, które ma się rozszerzyć po całym świecie – być zaczynem dla świata, sprawić wzrost i rozwój we właściwym kierunku. Świat potrzebuje tego zaczynu, bez niego traci smak, traci wartość, traci kierunek, traci nawet sens istnienia. On jest stworzony po to, aby był Królestwem Boga.

Małe ziarno i zaczyn – to też postawa skromności i pokory. Nie powinniśmy udawać, że to, co robimy, jest czymś wielkim, bo to jest nasz nikły, mały wkład. Czy ten, kto rzucił ziarno, ma wielki wkład w jego wzrost? Powinniśmy żyć z perspekty- wą na to, co ma być na końcu. Mieć wizję tego, co Pan Bóg czyni z naszymi drobnymi wkładami, jak one procentują w Jego rękach. Ta refleksja niech sprawi, żebyśmy czas rekolekcyjny wykorzystali na przyjrzenie się temu procesowi i zauważenie, jak Pan daje wzrost. Samemu trzeba to zauważyć. Powinniśmy w naszym dziele nazy- wać się sługami nieużytecznymi, jak do tego zachęca Jezus. Jesteśmy użyteczni tylko wtedy, kiedy jesteśmy z Nim, kiedy okazujemy Mu posłuszeństwo, kiedy rzucamy ziarno. Wtedy wzrastamy także w naszej osobowości na ludzi większych niż dotąd. Wtedy znajdują w nas schronienie i oparcie inni ludzie. Nasza nadzieja staje się ich nadzieją, gdy jesteśmy niewidoczni, tak jak ten zaczyn, który jest zupełnie niewi- doczny, a jednak zakwaszający całe ciasto. Te rzeczy ukryte i skryte od założenia

świata są najważniejszą sprawą. Jesteśmy więc dziś wezwani, aby głębiej wejść w tajemnice Królestwa, w tajemnice naszej pracy dla Bożego Królestwa. Tyle jest spraw do załatwiania. Mając przed sobą ogrom tej pracy, powinniśmy zwrócić uwagę nie na to, co jest do zrobienia, ale na to, co należy do nas, co może uruchomić całą lawinę dobrych czynów stających się wielkim drzewem, które będzie rosnęło w Kościele Bożym. Dzisiaj o to się modlimy szczególnie. Już jest czas na spojrzenie perspektywiczne i na obudzenie w sobie wielkiej nadziei, żeby to, co teraz jest rzeczywiście drobne w naszych myślach, w naszych pragnieniach, pobłogosławione przez Boga stało się wielkie.

HOMILIA Z 29. 07. 2008 R. ŚWIĘTEJ MARTY

Łk 10, 38-42

Na koniec rekolekcji Pana Bóg stawia nam świętą Martę, jako wzór życia. Patronka dnia dzisiejszego jest dla nas przykładem, jak powinniśmy pozwolić się kształtować naszemu Mistrzowi. Gdy Pan Jezus zawitał do niej w gościnę czyniła wszystko, aby Go jak najlepiej przyjąć. Jest to dla nas wezwanie, gdy Jezus przychodzi do nas, a przychodzi i chce przychodzić często. Marta jednak zaniedbała jednego: za mało była obecna przy Tym, Który przyszedł. Jezus przyszedł, a Ona była bardziej obecna w krzątaniu. Warunki zewnętrzne, które chciała stworzyć jak najlepsze dla swojego Mistrza, były dla niej ważniejsze. Taką postawę można jeszcze zrozumieć. Mniej zrozumiałe jest, że Marta miała za złe Marii, że ta usiadła u stóp Pana. Zobaczmy ten dylemat: usłużyć zewnątrz, czy być przy kimś i słuchać go. Na ogół nie zostawia się gościa samego przy stole, niezależnie od tego, co później poda się do jedzenia.

I oto Jezus jak garncarz, zaczyna kształtować jej wnętrze. Zwraca się do niej: „*Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba mało albo tylko jednego*” (Łk 10, 41-42). Chce jej powiedzieć troszczysz się, o tak wiele rzeczy, a ja przecież chcę z tobą rozmawiać. Dało to Marcie dużo do myślenia. Słowa Jezusa „*potrzeba tak niewiele*”, Marta z pewnością wzięła sobie do serca. Jej świętość to potwierdziła. My również pod wpływem Słowa Bożego zmieniamy swoje myślenie o tym, które chwile są najważniejsze. Czy te zewnętrzne? Na przykład, żeby uprzątnąć świątynię, czy położyć do stołu wszystko, co trzeba? Czy też żeby nasz kontakt z tym, który przychodzi był jak najlepszy? Znam takie wizyty, które szybko się skończyły, gdy gość zauważył, że ci którzy wokół niego się krzątają wcale nie mają czasu na rozmowę z nim, a on właśnie po to przyszedł. Dzisiaj, więc, jesteśmy szczególnie wezwani do refleksji nad tym jakie decyzje podejmujemy w takich sytuacjach, jak rozstrzygamy takie dylematy, aby swoją krzątanie zewnętrzne jeszcze bardziej połączyć z modlitwą i kontemplacją. Usiąść spokojnie i posłuchać, co Jezus ma nam do powiedzenia.

Czas tych rekolekcji był dla nas takim czasem próby. Na ile jesteśmy zdolni by porzucić wszelkie sprawy, by usiąść przy Jezusie i słuchać Go. Dzisiaj, kiedy rekolekcje się kończą, patrzymy na chwile spędzone w klasztorze benedyktynów. Na pewno pierwszą myślą, która się rodzi jest wdzięczność dla Boga i tych wszystkich

krzątających się wokół nas. Dzięki nim był możliwy nasz przyjazd tutaj i przyjęcie postawy Marii, która poświęca się modlitwie. Myślmy tu również o osobach, które troszczą się o zakony kontemplacyjne i różne ośrodki rekolekcyjne dla grup i wspólnot.

Święta Marta, dziewczica z pierwszego wieku mieszkała w Betanii. Betania, to znaczy dom biednych. Ona też może być, w jakimś sensie, patronką tych, którzy wychodzą naprzeciw ludziom biednym. Dom Marty, Marii i Łazarza w Betanii był domem otwartym dla wszystkich. Pan Jezus chętnie tam zachodził. Ich dom może być dla nas znakiem byśmy tworzyli takie miejsca, takie domy dla każdego, do których każdy może przyjść i spotkać się z kimś, kto byłby jak Łazarz i jego siostra Maria, kto krzątałby się wokół nas jak Marta.

Chciałbym jeszcze podkreślić, że kiedy Jezus upomniał Martę, to nie zgañił ją za jej posługę, ale za to, że usługiwanie Mu postawiła ponad bliski z Nim kontakt. Ponad poświęcenie swego czasu tylko Jemu. On ją zmobilizował do zintensyfikowania jej świętości. To nie prawda, że wielki Gość był niezadowolony z jej posługi, jak niektórzy to komentują, ale pomógł jej w uzupełnieniu tego, czego jej jeszcze w danym momencie brakowało. Chciał, aby na chwilę przerwała pracę. Podobnie ma być i w naszym życiu. Gdy jesteśmy zagonieni, pochłonięci różnymi zajęciami, Jezus chce byśmy potrafili na chwilę przerwać nasze czynności i z Nim porozmawiać. Wszystko jest ważne ale najważniejsza jest rozmowa z Nim.

Dom Marty, Marii i Łazarza stał otworem dla Jezusa i dla jego uczniów. Także wtedy, gdy już czyhano na Jezusa, aby Go zabić. Tę gościnę organizowała Marta i Jezus często zachodził do ich domu, czuł się tam dobrze. Możemy w tym brać przykład z Marty, aby dom, w którym jesteśmy przyciągał innych, aby oni czuli się dobrze, aby było w nim wszystko dobrze zorganizowane, aby nie było zaniedbań w gościnności. Tekst dzisiejszej Ewangelii jest wezwaniem do gościnności połączonej z kontemplacją. Można by powiedzieć im więcej jest kontemplacji, tym więcej gościnności. Czasem jest to trudne, bo więcej jest gościnności niż kontemplacji. Pan Jezus w Ewangelii uczy nas jak należy łączyć te dwie czynności. Również w pierwszym czytaniu usłyszeliśmy *„Nie zapominajmy też o gościnności, gdyż przez nią niektórzy, nie wiedząc aniłom dali gościnę”* (Hbr 13, 2).

Gdy kończą się nasze rekolekcje jesteśmy wezwani by zastanowić się nad tym jakim będzie moje środowisko, mój dom, w którym mieszkam? Jak będzie przyciągał? Jak będzie odwiedzał ten dom Jezus i inni jego uczniowie - nasi bracia i nasze siostry? Co zrobić, by być główną gospodynią, by zapraszać Jezusa i troszczyć się o Niego jak Marta?

Święty Łukasz pisząc o tym wydarzeniu: *„pewna niewiasta, imieniem Marta, przyjęła Go do swego domu”* nawet nie wspomina o Marii i Łazarzu. Słusznie więc redaktor dzisiejszej perykopy zatytułował ten fragment: *„Jezus w gościnie u Marty”*. Mamy dzisiaj wspomnienie świętej Marty, módlmy się w czasie mszy św. aby nasze całe życie było prawdziwie czynem i kontemplacją, bo jak powiada św. Wincenty Pallotti: *„do-*

brą rzeczą jest życie czynne, życie pracowite, życie pełne zatroskania o drugich ale lepsza jest kontemplacja, ale najlepszym jest życie kontemplacyjno-czynne. To również wyraziło się w dewizie świętego Dominika „contemplata aliis tradere” - „kontemplować i przekazywać innym”. To co jest przedmiotem kontemplacji mamy przekazać innym, bo na kontemplacji otrzymujemy najważniejsze informacje: Jezus określa nasze posłannictwo na teraz. To co usłyszymy od Jezusa po takim jakby „posiedzeniu”, „naradzie” z Nim mamy przekazać innym. Jezus wskazuje nam gdzie mamy iść, co jeszcze jest do zrobienia gdzie On chce przyjść. Niech przesłanie z dzisiejszej liturgii mszalnej o świętej Marcie, będzie dla nas wezwaniem na ten czas do następnych rekolekcji, do następnego dnia skupienia. Amen.

ks. Roman Forycki, teksty autoryzowane

z nagrań spisali: Bożena i Weronika (Racibórz), Konrad i Roman (Wrocław), Agnieszka (Lublin), Ewa i Anna (Gdańsk), Dorota i Jacek (Warszawa)

Drogi Jacku,

Po Twoim ostatnim e-mailu miałem wątpliwości, co robić z uwagami do przesłanego mi tekstu rekolekcji o nadziei. Rzeczywiście, poprawienie tekstu tak, jakby należało, przekracza moje aktualne możliwości czasowe. Postanowiłem więc zwrócić uwagę na to, co szczególnie rzuciło mi się w oczy przy bardzo pobieżnym przeglądaniu tekstu. Czytając tekst zauważyłem, że korekty są coraz mniej potrzebne. I przy okazji podziwiałem Twoją ogromną pracę nad spisaniem tekstu w tej formie, w jakiej jest, łącznie z poszukianiem odnośników do tekstów cytowanych. Nawet powstały u mnie wyrzuty sumienia, że to z mojego powodu.

Niemniej po pierwszych przeczytanych tekstach miałem już chęć powstrzymać jego dalsze rozpowszechnienie; tak „bardzo” mi się to moje prowadzenie myśli „spodobało”. Tyle niepotrzebnych powtórzeń i niezręcznych wyrażań. Już zaplanowałem, ale na późniejszy czas, całkowite przepracowanie tego tekstu, łącznie z jakimiś podtytułami i bardziej logicznymi akapitami. Narazie jednak powstrzymałem siebie przed tą ogromną pracą i postanowiłem przestać tylko te uwagi, które już częściowo przesłałem, nie wdając się jednak tym razem w takie szczegóły, jakie są widoczne w korekcie strony pierwszej, aby się to nazywało, że od strony merytorycznej tekst jest autoryzowany.

Roman

CHARYZMAT PODLEGA ROZWOJOWI

Uczestnicy Ruchu „*Maitri*” określając i pogłębiając rozumienie charyzmatu Ruchu mogą i powinni skorzystać z bogatego doświadczenia Kościoła. Ma on swoje doświadczenia z charyzmatem różnych wspólnot, które w nim powstały i powstają. Widać to najlepiej na przykładzie różnych zakonów i zgromadzeń zakonnych. Zwykle zgromadzenia te powstały dla ściśle określonego celu. Na przykład powstało zgromadzenie od wykupu niewolników i gdy problem niewolnictwa stał się nieaktualny były tendencje, aby zgromadzenie to zlikwidować. Zamiast jednak tego dokonano reinterpretacji słowa „*niewolnik*” i okazało się, że w ten sposób zgromadzenie nie tylko nie rozwiązało się lecz nawet pogłębiło swój charyzmat.

Coś podobnego może być w Ruchu „*Maitri*”. Nie chodzi tu oczywiście o nieaktualność któregoś z zadań, które sobie Ruch stawia, ale chodzi o głębsze, coraz głębsze ich rozumienie. Wydaje się, że coraz głębiej trzeba rozumieć pojęcie „*Trzeci Świat*”, które wciąż się zmienia. To nie tylko terytorium, ale konkretni ludzie, którzy żyją w największej nędzy. Tak jak zmieniło się po Soborze Watykańskim II pojęcie „*misje*” (to nie tylko tereny, ale ludzie, którzy jeszcze nie spotkali Chrystusa, a ci są wszędzie). Jest więc problem, gdzie dla Ruchu „*Maitri*” znajduje się Trzeci Świat. Matka Teresa z Kalkuty twierdzi, że Kalkuta jest wszędzie i w tym duchu pracują Siostry na całym świecie, nawet w krajach bogatych. Uważam, że to jest podstawowy problem, który Ruch „*Maitri*” powinien rozstrzygnąć: gdzie dla Ruchu znajduje się „*Trzeci Świat*”? Czy tym światem jest dla Ruchu tak zwany „*Czwarty Świat*” – świat wtórnej nędzy, który powstaje wciąż? Czy też granice zainteresowań nędzą świata zamykają się dla członków Ruchu na pewnym etapie historii?

Wiadomo, że „*Trzeciemu Światu*” można różnie pomagać. Osobistą obecnością – to najskromniejsza forma pomocy. Wysyłanie paczek, pieniędzy – to najczęstsza i najbardziej tradycyjna forma realizacji charyzmatu. Ale wiemy, że praca na rzecz „*Trzeciego Świata*” to także budzenie sumień ludzkich, organizowanie pomocy, to także duchowa pomoc, modlitwa, ofiara, pokuta. Czyżby do tych form pomocy „*Trzeciemu Światu*” nie mogła należeć pomoc najuboższym, którzy są wśród nas? Czy za Matką Teresą nie możemy powtórzyć, że „*Trzeci Świat*” jest wśród nas?

Nadto trzeba zdać sobie sprawę, że charyzmat Ruchu „*Maitri*” to nie tylko zapis historyczny. Charyzmat, jak wszystko, co żywe podlega rozwojowi; nawet dogmaty podlegają rozwojowi. Charyzmat to także żywi ludzie, którzy ten charyzmat noszą i nim żyją dlatego nie wolno tego Bożego zapisu w człowieku lekceważyć, chyba gdyby on kwestionował wartość dotychczasowego zaangażowania. Trzeba się wsłuchać w Ducha Bożego, który tchnie kędy chce. Ducha nie można gasić, bo wtedy grozi stagnacja. Może właśnie konieczna jest dyskusja, która otworzy nam oczy na cały „*Trzeci Świat*”, na jego rozumienie bardziej teologiczne, a nie tylko socjologiczne, tak jak poszerza nam to pojęcie Jan Paweł II w „*Sollicitudo rei socialis*”.

Charyzmat Ruchu nie oznacza, że każdy realizuje wszystkie jego aspekty. Ci, którzy uważają, że ich powołaniem jest tradycyjna forma pracy Ruchu powinni to realizować, ale powinni szanować też tych, którzy mają inne rozumienie „Trzeciego Świata”.

Analogicznie trzeba patrzeć na sprawę członkostwa w Ruchu. Oczywiście, że nie można jej wiązać ściśle z obowiązkiem podjęcia funkcji w Ruchu. Tak nie jest w żadnej organizacji, ani w żadnym instytucie kościelnym. Członek organizacji lub instytutu, gdy mu się proponuje objęcie jakiejś funkcji może na nią się zgodzić lub nie. Przed członkostwem nie stawia się nigdy tego warunku. Czym innym jednak jest gotowość wypełnienia proponowanych zajęć i prac. To leży po linii pewnej subordynacji, pewnej dyscypliny, którą dana społeczność przyjmuje. Tu właśnie chodziłoby taką gotowość, która wskazuje na to, że Ruch „Maitri” w życiu danej osoby znaczy coś więcej niż przelotne hobby, że udział w nim jest rzeczywiście wyrazem głębszego spojrzenia na swoje powołanie.

ks. Roman Forycki „Wspólna Radość” nr 2 (78) 2009

List z 30.09.2010

Drogi Jacku,

mając na uwadze, że po rekolekcjach w Kaniach na jakiś czas nie będę potrzebny, zwłaszcza z tematyką o bł. Matce Teresie, pozwoliłem sobie na przyjęcie w niedzielę od godz. 8.00 w Radomiu konferencji do pracowników Hospicjum i umówiliśmy się już, że przyjadę tam z Częstochowy wieczorem. Po sprawdzeniu jednak PKP na tej trasie z Częstochowy okazuje się, że muszę wyjechać już o godz. 15.45, a do Radomia dojeżdżam o godz. 19.38. I w takiej sytuacji mój pobyt w Częstochowie zamknąłby się w godzinach od 12.00 do 15.00. I powstaje pytanie: co w takim czasie można zrobić? I to organizatorów Zjazdu na pewno nie urządza. Chyba, że będzie jakieś inne rozwiązanie. Co o tym myślisz?

*Z pozdrowieniem w Panu
Roman*

SPOTKANIE KRAJOWE 23.10.2010 R., CZĘSTOCHOWA

Homilia

Słowa z listu do Efezjan, z pierwszego czytania, dotyczą każdego z nas, mówią bowiem, że „każdemu z nas została dana łaska według miary daru Chrystusowego”. Oznacza to, że nikt nie może powiedzieć, że nie otrzymał łaski Bożej, że na przykład, nie ma możliwości, zdolności do wykonania jakiegoś zadania. Oczywiście nie możemy zaradzić wszystkim ludzkim potrzebom, chociaż bardzo byśmy tego pragnęli, ale możemy uczynić tyle na ile otrzymaliśmy Boży dar. Dzięki niemu możemy zrobić o wiele więcej niż nam się to wydaje. Nie wolno więc nam zmarnować tej szansy jaką jest obdarowanie łaską.

Święty Paweł mówi także o różnych charyzmatach: Jezus „ustanowił jednych apostołami, innych prorokami, innych ewangelistami, innych pasterzami i nauczycielami”. Charyzmatów nie możemy „chować pod kocem” jak czytamy w Ewangelii. One powinny ujawnić się w działaniu. Powinniśmy sobie nawet pomóc w rozpoznawaniu i lepszym wykorzystaniu naszych możliwości. Jeden ma większy talent organizacyjny, inny dar słowa, modlitwy, radości rozeznania. Nie wszystko trzeba umieć robić najlepiej. Nie na wszystkim trzeba się znać. Nie należy też z tego powodu wpadać w kompleksy. Możemy zatem powiedzieć, że nasze zaangażowanie w tej sprawie, której służy Ruch może i powinno być różne. W Liście do Efezjan czytamy, że Bóg tych, których posyła (apostołów, proroków, pasterzy) wybrał do pełnienia różnych ról. Taki podział ról istnieje również w Ruchu „Maitri”. Wiemy jaka jest misja Ruchu „Maitri”. Już sama nazwa ją wyjaśnia, ale konieczne jest również rozpoznanie sposobów pełnienia tej misji. Kim powinniśmy być dla ludzi, dla świata? Komu przede wszystkim powinniśmy głosić Dobrą Nowinę? Jakie potrzeby człowiek powinien stawiać na pierwszym miejscu? Czy z naszego powodu jest jeszcze wielu opuszczonych, nieobjętych pomocą? Jakiej pomocy oni potrzebują?

W Ewangelii w przypowieści o drzewie figowym, Jezus wzywa nas do rachunku sumienia z pracy nad sobą. Zachęca nas do tego, byśmy wydali owoce z życia, byśmy nie stali się uschniętym drzewem figowym. Jezus zadaje pytanie o to, co jest naszym największym grzechem. Czy jest nim na przykład brak zapału, zniechęcenie, oglądanie się na innych. To wszystko może niweczyć naszą pracę. Pan Jezus wspomina również o karach, które spadły na ludzi, którzy mieli mniejsze grzechy niż ci, do których Jezus kierował swoje słowo. Powinniśmy uświadomić sobie, że w jakimś sensie te słowa skierowane są również do nas. Przestroga Jezusa powinna w nas zrodzić pytanie o to, co mamy uczynić w naszym życiu.

Takie pytania stawiała Bogu Matka Teresa. Będąc jeszcze w domu rodzinnym pytała o to, czy ma wyjechać na misje? Kiedy wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Loretańek i wyjechała na misje do Indii pytała, czy w tym zgromadzeniu jest jej miejsce i czy spełni w nim swoje zadania. Pytała o to czy Pan Bóg nie żąda od niej czegoś więcej.



100-lecie urodzin Matki Teresy, Kanie Helenowskie

Pan Bóg chce, abyśmy w tym, co robimy doskonalili się. Temu służy między innymi nasze spotkanie w Dolinie Miłosierdzia, podczas którego będziemy szukać lepszych, skuteczniejszych sposobów realizacji naszego charyzmatu, aby nie kręcić się tylko wokół własnych spraw, ale zdobywać to, co Pan Bóg wciąż na nowo stawia nam przed oczy. Aby nasza praca była zachętą dla innych, pragniemy uczynić naszą wiarę bardziej konsekwentną. Jesteśmy wezwani do religijności nie powierzchownej, płytkiej ale dojrzałej i odpowiedzialnej.

W roku obchodów setnej rocznicy urodzin Matki Teresy chcemy wziąć do serca Jej słowa i tak jak Ona poważnie potraktować swoje życie. Dla Matki Teresy, która objęła troską tak wielu ludzi na całym świecie, wszystko co robiła wynikało z przeświadczenia, że Jezus jest dla Niej wszystkim. Takie jest też hasło tegorocznego Spotkania Krajowego „*Jezus jest dla mnie wszystkim*”. Pamiętam jak na wielu spotkaniach, w których uczestniczyłem Matka Teresa mówiła tylko o Jezusie, o tym, którego kochała, dla którego żyła i dla którego my wszyscy powinniśmy żyć.

Niech słowa dzisiejszych czytań i hasło spotkania będą wołaniem o ich realizację. Niech współzawodnictwo dobra i zła świecie wzywa nas do uruchomienia wszystkich naszych rezerw duchowych. Powinniśmy w tym dotrzymać kroku bł. Matce Teresie, w takim tempie jak ona realizować Boże wezwania. Kiedy ona usłyszała wezwanie – podjąć je natychmiast – było jej dewizą. Wiemy to między innym z jej korespondencji do arcybiskupa Kalkuty. Dla niej czymś niezrozumiałym była taka sytuacja, w której musiała czekać na odpowiedź, aż władze kościelne się zastanowią. Dla niej było to trudne do przyjęcia, bo czas naglił. Jeżeli i my będziemy mieli taką gorliwość jak Matka Teresa, będziemy mogli zmieniać świat jak ona.

KONFERENCJA

WRAŻLIWOŚĆ NA CZŁOWIEKA BIEDNEGO

W czasie tegorocznych rekolekcji dla uczestników Ruchu „*Maitri*” w Kaniach Helenowskich, które były poświęcone bł. Matce Teresie przyglądaliśmy się jej życiu rodzinnemu, które nie pozostało bez wpływu na jej powołanie. Towarzyszyliśmy jej w rozwoju i powołaniu. Koncentrowaliśmy się szczególnie na odkrywaniu jej powołania oraz na tym, jak ona to powołania chciała najwierniej wypełnić przezwyciężając trudności. Zwróciliśmy uwagę na otrzymywane przez nią natchnienia, którym starała się być wierna. Przekonaliśmy się o jej wielkiej konsekwencji, ponoszeniu niezwykłych ofiar, aby Jezusowi niczego nie odmówić. O owocach, które ostatecznie wydało jej życie w postaci bardzo odważnych decyzji podjętych nie tylko przez nią samą ale i władze Kościoła. Zauważyliśmy również, że to, co dla niej samej i dla przełożonych początkowo było niezrozumiałe, stało się w końcu zrozumiałe i pożądane dla niej samej i całego Kościoła.

W tej konferencji chcę zatrzymać się nad tymi wątkami powołania, które dotyczą samej istoty charyzmatu. Bez nich ona sama nie byłaby sobą. Jednym z nich jest szczególna wrażliwość na człowieka biednego. To stało także u podstaw powstania Ruchu „*Maitri*”. Dzięki wrażliwości Matki Teresy ożyła oryginalna propozycja rozwiązania problemu ludzi najbiedniejszych na całym globie.

Pierwsze, czego nas uczy Matka Teresa to zrozumienia kim są ludzie najbiedniejsi. Mówi o nich: „*Biedni to głodni, którzy potrzebują chleba i ryżu ale także miłości i żywego Słowa Bożego. Biedni są spragnieni – trzeba dać im nie tylko wody, ale też pokoju, prawdy, sprawiedliwości. Biedni są bezdomni – pragną nie tylko schronienia zbudowanego z cegieł, ale także radosnego serca, które będzie ich rozumiało, wspierało i kochało. Biedni są nadzy, po-*

trzebują nie tylko ubrania, ale także przywrócenia im ludzkiej godności współczucia. ... chorzy są spragnieni nie tylko opieki lekarskiej, ale delikatnego dotknięcia i ciepłego uścisku". Tym wszystkim biedom trzeba wyjść naprzeciw, mówiła Matka Teresa i tak postępowała. Ona zawsze miała przed oczami szeroką panoramę ludzkich bied i nędz. Do nich wszystkich chciała wyjść naprzeciw, do wszystkich wyciągała ręce. To jest coś pięknego.

Biednych trzeba szukać, oni nie przyjdą do nas. Najbiedniejsi nie są ci, którzy wyciągają ręce ale ci, którzy są ukryci - w ukryciu, za zamkniętymi drzwiami umierają. Najbiedniejsi to ci, których trzeba szukać i odnaleźć, by dać im tego czego potrzebują.

Według świadectwa Matki Teresy, kiedy zapytano pewnego Hindusa, co to znaczy być chrześcijaninem, on udzielił bardzo prostej odpowiedzi: *„być chrześcijaninem to znaczy dawać”*. Tak samo mówi Matka Teresa: *„Istotą chrześcijaństwa, od samych początków, jest dawanie. Bóg tak umiłował świat, że dał swojego syna i to była pierwsza ofiara, którą Bóg złożył dla człowieka. Bóg będąc bogaty stał się ubogi dla ciebie, dla mnie. Oddał nam się całkowicie, ale to mu nie wystarczyło. On chciał dać coś więcej, on chciał dać nam szansę abyśmy Jemu mogli coś ofiarować”*. Tak Matka Teresa rozumie obdarowanie Boga. Uczynić Siebie Samego głodnym, nagim, biednym, po to byśmy i my mogli Go czymś obdarować. Obdarowywanie Jezusa stało się jej pasją. Czym możemy obdarzyć biednych? Nie wystarczy dawać tylko pieniądze. Matka Teresa mówi: *„Nie zadowolajmy się daniem pieniędzy. Pieniądze to nie wszystko. Pieniądze można zdobyć. Biedni potrzebują naszych rąk by im służyły, naszych serc by ich kochały”*. Cała pomoc kierowana na odległość jest bardzo ważna, ale kto może, powinien iść dalej – bo biedni potrzebują naszych serc by ich kochały, oczekują tego by im to powiedziano.

„Religią Chrystusa jest miłość, szerzenie miłości – mówi Matka Teresa – To co jest nam dane, jest dane po to by się tym dzielić”. Czasami mamy pełne ręce wszystkiego i nie wiemy co z tym zrobić. To wszystko trzeba rozdać a zwłaszcza wtedy, gdy mamy pełne serce. *„Dajemy umierającym – mówi Matka Teresa – czułą miłość, troskę. Wszystko co bogaci otrzymują za pieniądze, my dajemy z miłości do Boga. Jeśli ludzie w Stanach Zjednoczonych nie odpowiedzą na potrzeby innych ludzi – mówiła to będąc w tym kraju – miłą się w swoim życiu z dotknięciem Chrystusa. To co jest im dane, dane jest po to, by tym się dzielić, a nie po to by zatrzymywać dla siebie”*. Mocno przemawiała do serc bogatych w dobra materialne: *„Brak miłości to główne źródło biedy i nędzy człowieka”*. Brak wrażliwości na biednych, brak czasu dla człowieka potrzebującego, także w swoim najbliższym otoczeniu - o tym przypominała światu, to było jej świadectwo.

Nasz dar powinien być wyrażony przede wszystkim w stosunku do ludzi biednych i potrzebujących, a nie w stosunku do tych, którzy posiadają. Trzeba być w okazywaniu swojej miłości selektywnym. Wiemy, że ludzie tego świata szukają kontaktów z bogatymi, wpływowymi, możnymi. Według Matki Teresy należy postępować odwrotnie. Ważną rzeczą jest, by iść do człowieka potrzebującego i spełnić jego prośby, tym samym spełnić prośbę Jezusa, który stał się biednym. Dając pamiętajmy by nie był to podarunek, którego biedny nie potrzebuje. Dawanie powinno być ma-

dre, by obdarowany nie miał problemu, co z otrzymanym darem zrobić. To nie może być dar, który nam w danej chwili łatwo dać, bo akurat nam to zbywa, bo zrobiliśmy porządki i chcemy się wielu rzeczy pozbyć.

Dar, który dajemy, powinien nas kosztować. Może być darem również to, co i nam w danej chwili jest bardzo potrzebne, także pieniądze. Dając je biednym na pewno nie tracimy. Obdarować tym co jest potrzebne – to jest mądrość, to jest Ewangelia.

Prawdziwie istotnym darem jest serce. W Statucie Ruchu „*Maitri*” mowa jest o darze serca, darze miłości. Matka Teresa mówi o darze czystego serca. Jeden z pierwszych domów, założonych w Kalkucie nosi nazwę „*Nirmal Hriday*” czyli „czyste serce”. Definicja czystego serca według Matki Teresy brzmi: „czyste serce to serce wolne by dawać, by kochać aż do bólu”. Różnie potem Jej słowa były interpretowane, ale Ona mówiła o „kochaniu aż do bólu”, w kontekście czystego serca. A także: „miłość musi nas kosztować” oraz: „czyste serce łatwo dostrzeże Chrystusa w głodnym, nagim, bezdomnym, samotnym”. Jeżeli serce nie jest czyste, nie widzi Jezusa w niechcianym, niekochanym, w trędowatym, alkoholiku, w człowieku leżącym na ulicy, w zaniechanym. Serce jest jakby „zabrudzone”, podobnie jak zwierciadło, gdy jest brudne nie można się w nim nic zobaczyć. „Tylko czyste serce zobaczy Chrystusa” – słowa Matki Teresy są piękną interpretacją Chrystusowego błogosławieństwa: „*Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą*”.

Kto nie ma czystego serca nie zobaczy Boga. Do tego nawiązywał również św. Jan Maria Vianney. Gdy do niego przyjeżdżali wielcy z Paryża, dziennikarze, aby z nim podyskutować, może i po to by wyśmiać go za braki w wykształceniu, on mówił im by najpierw wypowiadali się, bo mają nieczyste serce. Troska o czyste serce to zasadnicza sprawa, bez niej nie będzie rozwiązania problemów związanych z prawidłową relacją do człowieka biednego, bo dzięki niej nawiązujemy również więź z Jezusem. Jezus każdemu, kto dostrzeża Go w biednym i obdarowuje, mówi jesteś błogosławiony, to jest twoje największe szczęście, życiowa wygrana, gdyż dając w ten sposób, jeszcze więcej otrzymujesz, bo Ja jestem tym który ci daję, Ja jestem tym, który jest ci winien.

Czyste serce jest warunkiem widzenia Boga w człowieku. Dar czystego serca jest darem błogosławionym, to znaczy takim darem, który przynosi szczęście nie tylko obdarowanemu ale i darczyńcy. Matka Teresa przytacza wiele przykładów z życia osób, które namawiała do tego, by kogoś obdarowywały. Mówiły one później, że były szczęśliwe i że dając stokroć więcej otrzymały. Widzimy więc, że inaczej dając ten, kto w potrzebującym widzi Boga a inaczej człowiek o nieczystym sercu, który chce być dobroczyńcą, uprawia filantropię lub daje jałmużnę. Sprawić by dar był darem czystego serca jest wielkim zadaniem, myślę, że także dla członków Ruchu „*Maitri*”. Realizacja tego wezwania byłaby powtórzeniem, nie tylko idei realizowanej w domu dla umierających „*Nirmal Hriday*”, ale powtórzeniem całej idei jej życia.

Wielkim aksjomatem bł. Matki Teresy są słowa: „*nie jest ważne ile dajemy ale ile jest miłości w dawaniu*”. Są one powtórzeniem maksymy św. Teresy od Dzieciątka Jezus,

która naśladowała jako swoją patronkę - „Czyny mogą być małe, ale wykonane z wielką miłością są czymś ogromnie wielkim”.

Biedni w oczach Matki Teresy to szczególne uobecnienie Jezusa – „w biednych przychodzi do nas sam Jezus. Spotkać biednego, to spotkać Jezusa, tylko trzeba go rozpoznać”. Cały problem w tym, że dzisiaj człowiek w biednym nie rozpoznaje Jezusa. On przychodzi w zniszczonych ciałach naszych bliźnich. Jest obecny również w tych, którzy zachłysłeni się bogactwem. Przychodzi zwłaszcza w samotności serc. Wtedy, gdy nie ma nikogo, kto by ich kochał. Jezus przychodzi do ciebie i do mnie, a my bardzo często przechodzimy obok nie spostrzegając go. „Po wielu latach pracy wśród umierających – zwierza się Matka Teresa – zdobyłam jedno doświadczenie. Kiedy próbowałam się wczuć w cierpienie tych ludzi zrozumiałam, co przeżywał Jezus, gdy przyszedł do swoich a oni go nie przyjęli. Dzisiaj Chrystus jest obecny w ludziach niechcianych, w tych o których nikt nie dba, którzy są głodni i bezdomni. Z punktu widzenia państwa czy społeczeństwa wydają się oni bezużyteczni i nikt nie ma dla nich czasu. To ty i ja jako chrześcijanie jesteśmy godni Chrystusa wtedy, gdy naprawdę kochamy. Powinniśmy odnaleźć tych ludzi by przyjść z pomocą. Oni są po to by ich odnaleźć”. W słowach Matki Teresy powraca motyw „trzeba ich odnaleźć”. Nasza praca wzywa nas byśmy zobaczyli Chrystusa w każdym człowieku. Chrystus powiedział nam, że On jest obecny w nich. Te słowa Jezusa są naszym skarbem. Biedni według definicji Matki Teresy są Jezusem. Każdy człowiek jest Jezusem w jego ubogim przebraniu. On patrzy na ciebie głodny, nagi – tu Matka Teresa cytuje słowa samego Jezusa z Kazania na Górze. Jest wiele nagranych, nie publikowanych rozmów z Matką Teresą, w których Ona swoim rozmówcą stawia wprost pytanie: „Kim dla ciebie jest Jezus i kim ty chcesz być dla Jezusa?” Matka Teresa uczy nas jak dojść do takiej postawy wobec człowieka biednego, żeby widzieć w nim nie tylko głodującego, ale samego Jezusa: „żeby dostrzec Jezusa w drugim człowieku, trzeba głębokiej wiary. Jak czyste muszą być nasze ręce skoro mamy dotykać Ciała Chrystusa, tak jak kapłan dotyka Go pod postacią Chleba na ołtarzu. Te same uczucia i my musimy żywić, kiedy podnosimy z ziemi ciało chorego, nędzarza. Nasza święta wiara nie jest niczym jak ewangeliczną miłością”. Mówiąc o wierze, podkreśla, że: „wiara aby, była prawdziwa, musi być złączona z miłością” – to jest jej wielkie przesłanie – nie ma wiary tam, gdzie nie ma miłości. Wiary i miłości nie można rozłączyć. Ludzie nie kochają ponieważ nie wierzą, że na przykład człowiek, który leży na ulicy jest ich bratem lub siostrą. Życie przepełnione wiarą rodzi miłość, zaś życie przepełnione miłością przetradza się w służbę.

Zakończę wezwaniem bł. Matki Teresy: „Nie odwracaj się od biednych plecami, gdyż oni są Chrystusem. Chory, biedny, niechciany, niekochany, trędowaty to Chrystus w przebraniu. To co czynicie dla nich, czynicie dla Chrystusa”.

Aby być dla biednych tym, kim była i jest Matka Teresa trzeba mieć taką duchowość jaką ona miała i karmić się duchowo tym, czym ona się karmiła. Tego uczy nas błogosławiona Matka Teresa z Kalkuty.

ks. Roman Forycki

OSTATNI LIST DO UCZESTNIKÓW RUCHU Z 27.12.2010

Podziękowanie za życzenia

Zaskoczony życzeniami, jakie składał mi Ruch „Maitri” na swoim XXXIV Spotkaniu Krajowym w Częstochowie w dniu 23.10.2010 r. z konieczności bardzo zdawkowo potraktowałem moje podziękowanie za złożone mi życzenia, tłumacząc się, że to nie teraz, a dopiero w przyszłym roku itp. Potem jednak, oglądając otrzymane z tej okazji pamiątki, uświadomiłem sobie, że to jednak był prawdziwy jubileusz, choć ja do niego nie byłem przygotowany.

Dlatego w tym okresie świątecznym, przesyłając na ręce Jacka moje życzenia świąteczne dla Ruchu, czuję się zobowiązany uzupełnić moje podziękowanie za złożone mi życzenia. Przecież sama Matka Teresa przez jakiś czas obchodziła swoje urodziny dzień później, czyli w dniu, który jest rocznicą jej chrztu! A to dlaczego nie mogłbym swego jubileuszu, zwłaszcza dla niektórych, obchodzić rok wcześniej, tym bardziej, że jest to jubileuszowy rok urodzenia bł. m. Teresy.

Składane więc mi życzenia rok wcześniej, choć chronologicznie nie uzasadnione, miały swoje głębsze uzasadnienie teologiczne ze względu na większy związek z Jubileuszem urodzin Matki Teresy. A Matka Teresa, uważając siebie za ołówek w ręku Pana Boga, miała wielką świadomość, że wtedy Pan Bóg sam pisze wydarzenia ludzkiego życia. To Pan Bóg sam zadbał o to, aby miała miejsce ta ludzka „pomyłka”.

I w tym sensie trafnie to ujęli organizatorzy moich jubileuszowych życzeń, gdy na wręczonej mi tabliczce wypisali słowa: „na pamiątkę obu pięknych rocznic”, załączając tam również wizerunek bł. M. Teresy i jej wiele mówiące nam słowa: „Gdy będą święci kapłani, to święte będą rodziny i święty będzie świat”.

Matka Teresa bowiem nie wyobrażała sobie pracy i życia swoich Sióstr bez współpracy z kapłanem, bez codziennej Eucharystii i gotowa była zlikwidować placówkę, gdyby Siostry nie miały tam zapewnionych niezbędnych warunków życia duchowego. I trzeba zauważyć, że dzięki takiemu stawianiu sprawy Pan Jezus Eucharystyczny razem z kapłanem udawał się tam, gdzie Siostry zakładały swoją placówkę, nawet do kraju, w którym Eucharystia i posługa kapłańska była zakazana.

Dlatego pozwolę sobie wyrazić mój podziw dla wszystkiego, co zostało uczynione, aby złożenie mi życzeń związać z naszym tegorocznym Krajowym Spotkaniem, mimo, że Jacek niezbyt jest zadowolony z tego, że nie udało się do albumu „50 lat z Nim, 22 lata z nami” skompletować zdjęć, podpisów i podziękowań. Samo już bowiem zestawienie fragmentu historii naszego Ruchu z Matką Teresą i moją w nim obecnością, to przecież najpiękniejsze, co można sobie wyobrazić. Także podziękowań pod moim adresem jest aż nadto.

A do tego jeszcze dochodzi wspaniały kwiat róży i niezwykley tomik poezji weteranki naszego Ruchu Teresy Klonowskiej, który zatytułowany „Santo subito”, stanowi swoiste echo wołania ludzi na Placu św. Piotra w Rzymie w dniu pogrzebu Jana Pawła II. W języku polskim można to tłumaczyć jako „zaraz” czy „jak najszybciej świętym”.

To „jak najprędzej” czy „wkrótce” nabiera coraz realniejszych kształtów, zwłaszcza w kontekście jubileuszu bł. Matki Teresy. W kontekście zaś mojego jubileuszu wyniesienie Jana Pawła II na ołtarze traktuję jako znak szczególnego Miłosierdzia Bożego dla mnie. Bo oto ko-

lejni człowiek, z którym często się kontaktowałem jako swoim profesorem, a potem kardynałem i papieżem, zostaje ogłoszony błogosławionym, a może nawet świętym.

W tym kontekście szczególnej aktualności nabiera broszurka „Subito Santo” i powstaje pytanie, czy nie należałoby pomyśleć o jej większym rozpowszechnieniu.



ostatnie zdjęcie ze spotkania ze wspólnotą gdańską 18.06.2011

Pani Teresie bardzo dziękuję też za wręczenie mi wspomnianych darów łącznie z kasetą „Jest na świecie miłość”, zawierającą pieśni oddające bardzo trafnie ducha zarówno bł. M. Teresy, jak i Sługi Bożego Jana Pawła II.

Dziękuję także wszystkim składającym mi życzenia i za związaną z nimi modlitwę. Ja zaś na to odpowiadam słowami Psalmisty, zawartymi w otrzymanych życzeniach: „Czym się Panu odplacę za wszystko, co mi wyświadczył” /Ps 116/. Mogę jednak zapewnić, że jesteście wszyscy w moich modlitwach i w moich ludzkich i kapłańskich troskach.

ks. Roman Forycki



Mostowo koło Koszalina 25.06.2011 godz 14:00

**POŻEGNANIE KSIĘDZA ROMANA FORYCKIEGO
OD RUCHU SOLIDARNOŚCI Z UBOGIMI TRZECIEGO ŚWIATA „MAITRI”
OŁTARZEW, 30.06.2011**

Ksiądz Roman był Krajowym Duszpasterzem Ruchu Solidarności z Ubogimi Trzeciego Świata - „Maitri” przez dwadzieścia cztery lata. W tym czasie pomógł naszej spontanicznie powstałej wspólnotie rozeznaczyć otrzymany charyzmat – praktyczną czynną miłość do ludzi najbiedniejszych. Pomógł nam ten charyzmat zwerbalizować. Zainicjował pisanie Statutu i asystował przy jego powstawaniu.

Przez te lata dzielił się z nami własnym doświadczeniem życia w obecności Jezusa i swoim zafascynowaniem Ewangelią. Utrzymywał nas w kręgu nauczania papieskiego. W setkach jego wystąpień i homilii przerabialiśmy treści encyklik, adhortacji i listów. Jednym z głównych wątków rozważań księdza Romana była zachęta do "nowej wyobraźni miłosierdzia", czyli do podejmowania zaniedbanych dziedzin miłości. W swoim przekazie był zarówno nauczycielem jak i współuczestnikiem. O agape mówił w taki sposób, że było oczywiste, że jemu na takiej właśnie miłości osobiście zależy.

Uczestniczył w naszym Ruchu inspirując cele duchowe, ale nam pozostawiał wybór. Potrafił nam towarzyszyć. Prawie zawsze spóźniony, ale zdążył być gdzie trzeba. Pozytywnie zatroskany karmił nas nadzieją, znajdował słowa otuchy. Nieustanny optymista, wciąż jakby wychylony w przyszłość. Jeszcze dwa tygodnie temu snuliśmy w tym domu plany na sierpień.

Przyjechaliśmy tu dzisiaj podziękować Panu Bogu za dar jego osoby. Jak to dobrze, że mogliśmy być razem. Ufamy, że nasza współpraca dzisiaj się tu nie kończy.

A Księdzu Romanowi dziękujemy za wyrozumiałość, serdeczność i za wierną przyjaźń.

Ksiądz nigdy nie chciał przyjąć od nas żadnej gratyfikacji, nie zgadzał się nawet na zwrot za benzynę, choć jeździł z nami po całej Polsce. Aby uszanować tę jego wolę postanowiliśmy zamiast kwiatów dołożyć się do dożywiania pallotyńskich kleryków w Younde w Kamerunie.

POSŁOWIE

Oddaję w ręce Przyjaciół z Ruchu kilka wystąpień księdza Romana. Miał do nas na tym Spotkaniu Krajowym w Lublinie przemówić. Niech przemówi choćby w ten sposób, niech podsyca raz jeszcze nasz entuzjazm i chęć wytrwania.

Trudno sobie wyobrazić jak wyglądałby nasz Ruch dzisiaj, gdyby nie ćwierć wieku obecności w nim księdza Romana. Współdziałał z nami w różnych wymiarach. Jego wieloletnie dyskretne czuwanie nad kształtowaniem się naszego Statutu było tylko jednym z przejawów tej roli. Działał też jak odgromnik w konfliktowych sprawach nie pozwalając zatracać się nam w zacierzwieniu. Dzięki taktownym i mądrym radom stał się punktem odniesienia. Może warto zrobić sobie rachunek ze spraw, w których zdarzyło się komuś z nas nie wziąć jego zdania pod uwagę.

Rozpoznał nasz charyzmat i pomógł go nam nazwać. Przy pierwszym kontakcie szczegółowo wypytywał mnie o przeszłość Ruchu, o moją motywację i nasze działania. Przesłuchanie zakończył radosnym okrzykiem: „*To przecież wy macie charyzmat!*” W setkach swoich rozmów z nami, w homiliach i konferencjach starał się ten charyzmat podsycać i kształtować. Jednym z najczęściej przewijających się w nich wątków było przywoływanie znaczenia wewnętrznej wartości daru. Zwracał nam uwagę, że w chrześcijańskiej ekonomii dawania nie liczy się ile innym daliśmy tylko ile zatrzymaliśmy dla siebie. Widział, że ten wymiar życia sprawia trudność każdemu z nas. I tym, którzy mając dużo ulegają złudzeniu, że dają więcej od innych. I tym, którzy w swojej starości i ograniczeniach ulegają złudzeniu, że nic nie mają do dania. Ksiądz Roman rozumiał lepiej niż większość uczestników Ruchu ideę wymiany – dawania i brania. To on najczęściej z nas wszystkich do tej idei powracał. Przypominał, że leżała u podstaw naszego powstania i jej wypełnianie jest niezbędnym elementem pełnego uczestnictwa. Żałował, że odniesienie do niej znikło z nazwy Ruchu. Bronił nas także przed atakami zewnętrznymi. To on sformułował frazę: „*Jeśli choć jeden z zarzutów stawianych Ruchowi jest prawdziwy, to ten Ruch powinien otrzymać natychmiast zakaz działania. Na szczęście żaden z nich nie jest prawdziwy.*” Uczestniczył niejednokrotnie w organizowaniu obrony Ruchu na terenie struktur Kościoła.

Duszpasterz może być traktowany jest przez uczestników Ruchu utylitarnie - jako osoba, która ma wykonać określone zadania. Tymczasem Opatrzność dała nam dużo więcej. Postawiła na naszej drodze człowieka uduchowionego a przy tym starannie wykształconego i otwartego. Łatwo było dostrzec jego częste chwile zatrzymania i modliwy. Jego wystąpienia oprócz solidnych podstaw i starannego przygotowania wyróżniały się osobistym emocjonalnym stosunkiem do przedstawianych spraw. To nie były wypracowania na zadany temat, ale relacja z osobistych duchowych przeżyć. Jego skromność i kulturę osobistą ilustrują choć trochę wplecione wyżej listy. Jego ubóstwo materialne, brak pychy, rzetelność w wypełnianiu zobowiązań i nieustający optymizm dodawały nam sił wewnętrznych. Nie miał dla nas taryfy ulgowej. Żądał od nas przyzwoitego chrześcijaństwa. Nie zapominajmy jego osoby i jego przesłania. To był nasz wierny Przyjaciel.

Jacek z Warszawy



WWW.WAW.MAITRI.PL

**WYDANO NAKŁ ADEM:
WSPÓLNOTA WARSZAWSKA**

**RUCHU SOLIDARNOŚĆ CI Z UBOGIMI TRZECIEGO Ś WIATA „MAITRI”
UL. BEMA 73/75, 01-244 WARSZAWA**